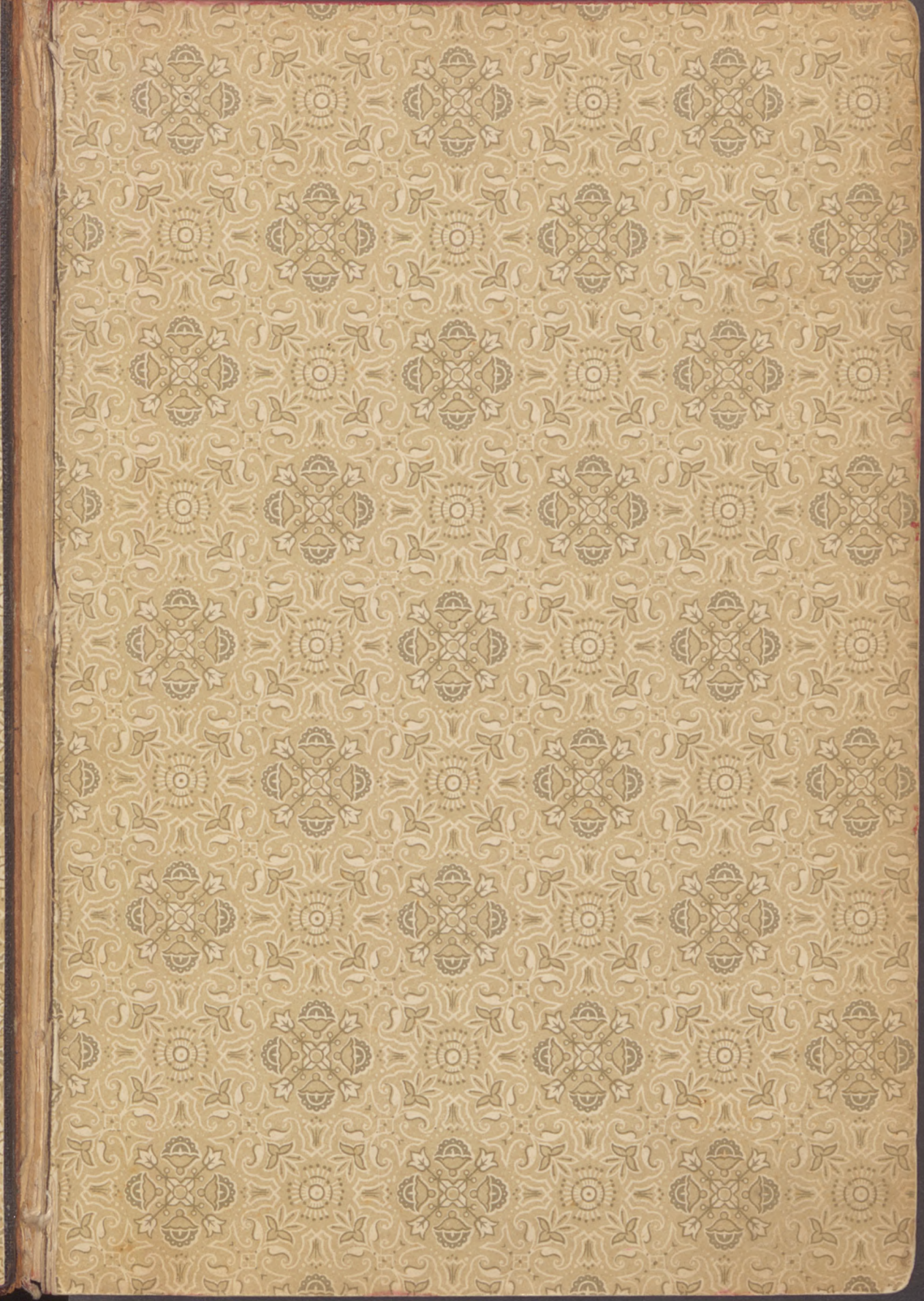


Biblioteka
UMK
Toruń

359052







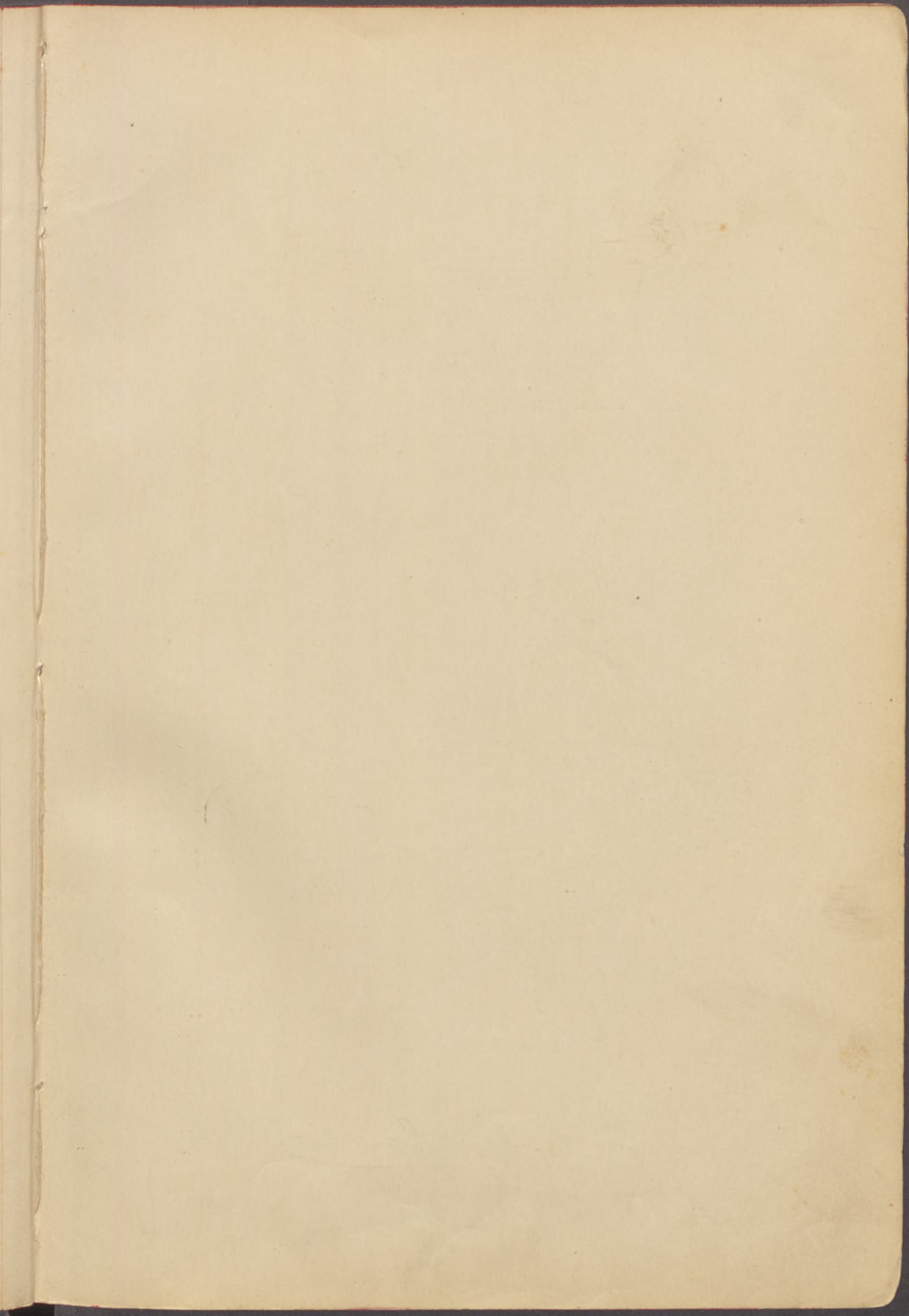
BENE NATI

1637

BENE NATI.

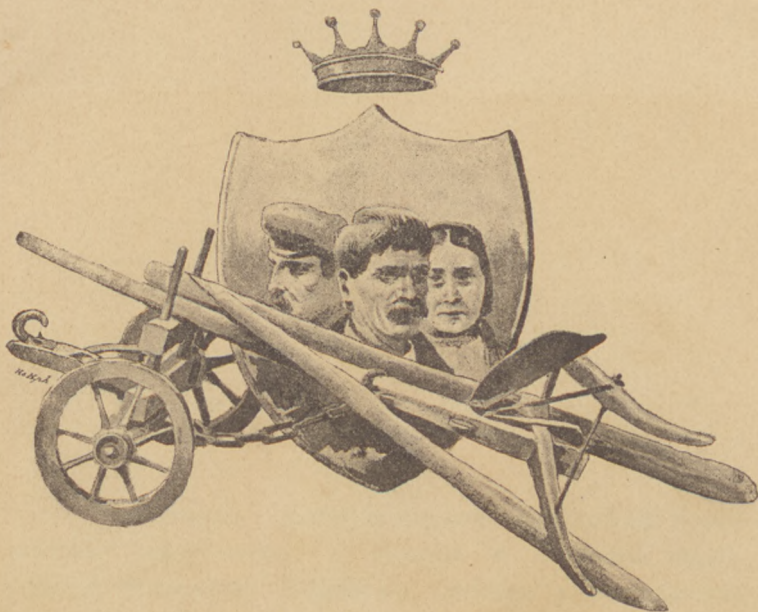


RENEE MATT





El Oreskova



ELIZA ORZESZKOWA.

BENE NATI

POWIEŚĆ WIEJSKA.

Z przedmową Dra Piotra Chmielowskiego,
rysunkami Piotra Stachiewicza i portretem Autorki.



Władysław Jankowski

KRAKÓW.

PETERSBURG.

G. GEBETHNER I SP.

BR. RYMOWICZ.

1891.



359052

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

W.2897/05

ELIZA ORZESZKOWA.

„Orzeszkowa — powiada Zygmunt Kaczkowski w najnowszej pracy swojej¹⁾ — zajmuje w literaturze współczesnej stanowisko wyjątkowe, którego powierzchowną błyskotliwością innych talentów olśnieni krytycy może jeszcze jej nie przyznali, ale którego z głębszym, a przeto i bezstronniejszym poglądem pisana historia literatury pewnie jej nie odmówi.“

Istotnie, część przynajmniej krytyki naszej, ta mianowicie, która w poglądach i opiniach swoich kieruje się zachowawczo-klerykalnemi zasadami, nie przyznaje znakomitej powieściopisarce, ani tego wielkiego talentu, z jakim tyle wspaniałych dzieł napisała, ani tych zasług społecznych, jakie działalnością swoją położyła wśród najtrudniejszych warunków czasu i miejsca. I dlaczego? Nie z estetycznych, zaiste, powodów, ale dlatego, że stała śmiało i otwarcie po stronie postępowych, wolnomyślnych i demokratycznych dążeń społeczeństwa, że zamiast za tradycją przesądów, nierozumu i zepsucia, wołała pójść za tradycją swobodnego badania, reform i ciągłego doskonalenia się, jaką nam lepsza częśćka przeszłości naszej przekazała.

¹⁾ „Słowo o romantyzmie,“ Lwów, 1891, str. 6.

Bene nati.

Byłoby jednak ubliżającą społeczeństwu niesprawiedliwością twierdzić, iż sąd lekceważący o działalności Orzeszkowej przeważa w kraju. Przeciwnie, utwory jej należą do najpoczytniejszych, a imię -- do najbardziej czczonych i szanowanych. Jeżeli nie sformułowana jasno, to instynktownie budząca się myśl, iż Orzeszkowa sercem i rozumem odczuła i zrozumiała najistotniejsze potrzeby chwili bieżącej i stała się wymowną ich rzeczniczką, że potrafiła wymagania trzeźwej myśli z pragnieniami gorąco czującej duszy połączyć, a w artyzmie zjednoczyć cześć dla ideału z wymaganiami realistycznego traktowania rzeczy: — myśl ta, powiadam, daje się odnaleźć w przekonaniach ukształconego ogółu i przebija się mniej lub więcej wyraźnie w zdaniach większości krytyków społecznych.

Postaram się myśl tę rozwinąć i uzasadnić w szkicu niniejszym.

I.

Jak większa część naszych szermierzy postępu, tak i Orzeszkowa nie wyszła ani ze sfer mieszczańskich, ani z ludu, ale ze szlachty. W tej okoliczności widzieć można jedną z przyczyn, iż postępowcy nasi nie są zazwyczaj krańcowymi radykałami, nie liczącymi się z uczuciami i przekonaniem ogółu, szczującymi warstwy na siebie, lecz przeciwnie, starają się myśl i dążność nową nawiązać do tego, co przeszłość pozostawiła analogicznego. Bo chociażby teoretycznie ktoś jaknajdalej odbiegał od poglądów rozpowszechnionych i ugruntowanych w masach, to kiedy przyjdzie do praktycznego przeprowadzenia teorii w czyn, znajdują się zawsze hamulce, wynikłe z przyzwyczajenia nabytych w dzieciństwie, lub tkwiące w najbliższem otoczeniu, hamulce, które nie dozwolą zapędom reformatorskim trącić bezwzględnie wszystkiego. Wy-

chowanie, stosunki towarzyskie, rozgałęzione pokrewieństwo, do pewnego stopnia nawet duch, przenikający całą warstwę społeczną, sprawiają, że myśl postępową, reformatorską uzna i zrozumie potrzebę, nie burzenia bądź cobydź, ale raczej przebudowywania tego gmachu, w którym się dzieciństwo i młodość przeżyło. Tak bywa mianowicie wówczas, kiedy, nie nagle z jednego stanu umysłowego do drugiego się przechodzi, lecz powoli nastrój swój zmienia, kiedy się metamorfoza dokonywa niejako organicznie.

Tak było właśnie z naszą powieściopisarką.

Ojciec jej, Benedykt Pawłowski, bogaty dziedzic Milkowszczyzny, w gubernii grodzieńskiej, był wychowancem „wieku oświeconego,” zwolennikiem hasel i dążeń reformatorskich we wszystkich dziedzinach życia, a więc i w zakresie poglądów religijnych. W młodości należał do jednej z łódz masonskich, które były u nas przedstawicielkami i propagatorkami idei humanitarnych. Lubił literaturę i sztukę; zgromadził znaczną bibliotekę, przeważnie z utworów literatury francuskiej w. XVIII złożoną, zebrał pokaźną galerię obrazów, wśród których znajdowały się i płótna znakomite. Te przekonania i zamiłowania dzielił z nim brat jego młodszy, Jan, stale zamieszkały w Milkowszczyźnie, mający niemałe zdolności malarskie, których wszakże z powodu choroby nerwowej (epilepsji) zużytkować nie mógł.

Zbyt wcześnie odumarł Benedykt Pawłowski córeczkę, ażeby na nią bezpośrednio swojemi poglądami mógł oddziaływać, ale wpływ w każdym razie miało najpierw przechowujące się w domu podanie o jego zwyczajach, a potem księgozbiór po nim pozostały. Lecz właśnie ta osoba, która najczęściej o Benedyku wspominała, rozwijała zarazem wprost odmienne od jego oddziaływanie. Była to matka jego żony, a babka przy-

szłej powieściopisarki, Elżbieta z Kaszubów Kamińska, kobieta wielkiej zacności, a naiwnie pobożna. Wryła się postać ta silnie w pamięci wnuczki, wraz ze sposobem, w jaki o ojcu jej się odzywała. Szanowała go ona i kochała, lubiła rozpowiadać siedzącej u kolan swych dziewczynce o jego cnotach i rozumie, ale ciężko zarazem wzdychała, to nad jego śmiercią przedwczesną, to nad jego niewiarą religijną. Oczywiście o tej niewierze nie mówiła nie wnuczce bezpośrednio, ale ta nieraz słyszała, jak o niej rozpowiadała innym, a pragnąc oczyścić od tej „skazy“ pamięć człowieka kochanego, usiłowała nawet we własnem przekonaniu zrzucić całą winę na jego brata. „To pan Jan wszystkiemu był winien — mówiła — to pan Jan go buntował! Obaj w nie nie wierzyli, do spowiedzi nie chodził żaden, ale pan Benedykt przez pana Jana był zbuntowanym, przez pana Jana!“ I widocznie w głębi duszy nabożnej, ale nie fanatycznej, czynne cnoty Benedykta przeważały winę nieuległości kościołowi, kiedy czasami stojąc przed portretem zięcia i cicho płacząc, spostrzegłszy przy sobie wnuczkę, pokazywała wizerunek i mówiła: „Pamiętaj, abyś była do niego podobną, pamiętaj, abyś była taką, jak on!“ Tak więc w samem zaraniu dzieciństwa przyszłej autorki już się łagodnie stykały dwa zupełnie odmienne prądy umysłowe, nie wykluczając się wzajemnie, nie stawiając młodej duszy w konieczności poddania się jednemu lub drugiemu wyłącznie, lecz nieświadomemu niemal różnouprawnieniu uległe.

Późniejsze wykształcenie szkolne nie wniosło pod tym względem jakiejś ważniejszej zmiany. Wprawdzie wpływów wolnomyślicielskich nie było, ale też i fanatyczny, klerykalny nacisk nie wywołał w młodej duszy oporu. Panna Pawłowska otrzymała wykształcenie klasztorne, przebywszy pięć blisko lat (1852—1857) na

pensyi pp. Sakramentek w Warszawie. Zazwyczaj wśród kół postępowych mówi się bardzo niepocholebnie o wychowaniu klauzurowem. Jest w tej opinii niewątpliwie dużo powodów słusznych, ale nie należy wniosków teoretycznych przenosić żywcem do praktyki; ta bowiem bywa bardzo rozmaita, stosownie do czasu i ludzi. Dzisiejszego wychowania klasztornego nie trzeba utożsamiać z dawniejszem. W tym mianowicie czasie, kiedy Elżbieta Pawłowska u pp. Sakramentek przebywała, jakkolwiek ogólny nastrój był niewątpliwie religijnym, i to w wyższym stopniu, aniżeli w dziesięcioleciu poprzedzającym, nie istniał jeszcze, przynajmniej w Warszawie, ten zazdrośnie fanatyczny kierunek, który w każdym oddaleniu się od praktyki nabożnej i w każdym swobodniejszym drgnieniu myśli widzi nieprzyjaciela Pana Boga a kandydata do piekła. Pobożność, oczywiście, w klasztorze była nieodzownym warunkiem wychowania, lecz ją praktykowano bardziej, niż o niej rozumowano; miała ona charakter rodzinny raczej, niż doktrynerski.

U pp. Sakramentek nie kładziono wówczas szczególnego nacisku na kierunek religijny. Zwyczajowe pacierze, wspólnie odbywane przez pensyonarki, pod dozorem zakonnic, w niedzielę chodzenie do chóru na sumę, we czwartki na nieszpory, spowiedź dwa razy na rok, post, tj. niejadanie mięsa w piątki i soboty zazwyczaj, a w środy, piątki i soboty w czasie wielkiego postu, lekcya religii trzy razy na tydzień: oto i ogół wpływów i przyzwyczajęń religijnych. Zakonnice, po większej części kobiety wykształcone, łagodne, lubiące dzieci, nie zajmowały się propagandą, książek religijnych do czytania pensyonarkom nie dawały wcale i nie robiły nic zgoda w celu skierowywania ich ku obraniu życia klasztornego. W ciągu pięcioletniego pobytu panny Pawłow-

skiej u Sakramentek jedna tylko pensyonarka, Janina Rutkowska, trochę garbata, została zakonnica.

Pod względem moralnym wychowanie to klasztorne miało dwa nieocenione przymioty: prostotę i czystość. Rozrywek niewinnych nie brakło, nie krępowano zbyt swobody ruchów w zakresie korytarzy klasztornych, dziedzińca i ogrodu; co sobota przychodziła na lekcye tańców baletnica pani Stolpe, którą pensyonarki bardzo lubiły, bo była piękną, wesołą i nazabój walcowała i polkowała z niemi. Ale nie wyprawiano tu balów, nie pozwalano na strojenie się, nic nie podbudzało próżności, przesady, pychy, kokieteryi. To też nie tylko w obyczajach, ale też w myślach i wyobraźni były to dziewczęta czyste. Oprócz dziecinnie egzaltowanych przyjaciół między koleżankami, oraz przywiązań do wybranej zakonnicy, zamykających się w granicach uwielbień i ubóstwień idealnych, nie dostrzegano tu ani śladu erotyzmu i romansowości. Jeżeli pensyonarki zapalały się do bohaterów powieściowych, to zawsze z jakichś pobudek moralnych, że to byli np. ubodzy i szlachetni, albo odważni, albo za ideę jakąś umęczeni ludzie. Nie obrażano i nie krzywdzono pensyonarek tutaj w niczem i w żaden sposób, a to czyniło ich dziecinne serca wolnymi od przedwczesnych goryczy i rozczarowań.

Umysł, takim trybem kształcony, nie doznawał nagłych wstrząśnień, rozwijał się normalnie, a jeżeli w latach późniejszych wpływ ducha nauki nowoczesnej wogóle, a lektura Renan'a w szczególności, zwróciły dojrzewającą kobietę na szlaki podobne do tych, jakimi szedł umysł jej ojca, jeżeli wzmocniły i ugruntowały poglądy niezgodne z tradycyjnemi; to przecież ewolucya myśli dokonywała się w niej powoli i stopniowo, a wspomnienia i otoczenie nasuwały jej przykłady ludzi starodawnego obyczaju a drogich jej: nie potrzebowała tedy

poglądów swoich objawiać jaskrawo, znajdowała w sobie i wyrozumiałość i zdolność zgłębiania myśli całkiem odmiennego kierunku i stała się tolerancyjną w szlachetnem tego słowa znaczeniu. Nie na zdeptaniu wiary wyznawanej przez ogół, ale na zrozumieniu jej społecznego znaczenia, przy zastrzeżeniu swobody dla mniemań odrębnych, zaszalała wówczas Orzeszkowa swoje wolnomysłne pragnienia i dążności.

Podobnie jak z rozwojem pojęć religijnych, rzecz się miała i z rozwojem poglądów społeczno-narodowych.

Zbyteczną chyba byłoby rzeczą przypominać, że w latach, w których umysł Elizy Pawłowskiej rozkwitał, nie mogło być na wsi litewskiej nawet mowy o jakichkolwiek dążnościach kosmopolitycznych, o jakimkolwiek zanieczyszczeniu atmosfery uczuć, ogólne dobro mających na celu. Wiemy owszem od niej samej, że atmosfera ta była czysta i podniosła i więcej może, niż w innych dworach owoczesnych przeniknięta czcią dla przeszłości. Oto co autorka nasza na czele wspomnień swoich „Z pożogi“ opowiada o swoim wieku dzieciennym:

„Miałam lat siedm, a siostra moja Klemunia zaczynała rok dziesiąty. Czytywałyśmy już wiele. W domu naszym istniała tradycya czytania i pisanja po macierzystym dziadku, który był jednym z tych, co spisywali ogromne i często ciekawe *Silva rerum*, i po ojcu naszym, uczonym prawniku, a niegdyś prezesie jednej z tutejszych łóż wolnomularskich. Księgozbiór ojca nappełniał dwie wielkie i ciężkie szafy; szafka lekka, nie duża, ze zbiorom lekkiej i nowej literatury, zdobiła pokój naszej matki. Pozwalano nam brać książki ztąd i zowąd, czytać, ile i co się nam podobało. Myśla i wyobrażnia wcześniej zaczęłyśmy błądzić w krainie przeszłości; umiałyśmy na pamięć pieśni Niemcewicza, żywoty wielkich ludzi czytywałyśmy razem, we dwie, skurezone w kątku jakiegoś

pokoju, z rozpalonemi czołami, co chwila w uniesieniu i zapale ściskając się za ręce. Kochaliśmy się bardzo. Klemunia miała zdolność do rysunku, rysowała więc i wycinała z papieru domy, drzewa, ludzkie i zwierzęce postacie, z których układaliśmy i ustawialiśmy sobie różne historyczne miejsca i sceny, jakoto: pałace i dwory królów, hetmanów, wojewodów, wjazdy poselstw do zagranicznych miast, orszaki ślubne itp. Raz w ten sposób upostaciowaliśmy przed sobą na stole, czy kobiercu, orszak weselny Zygmunta Augusta i Barbary; innym razem byłoto rozstanie się Jadwigi z Wilhelmem, to znowu rozmowa Goworka z Leszkiem Białym. Razu jednego takżeśmy sobie nabiły głowę historią Karola Chodkiewicza, że o szarej godzinie odegrałyśmy we dwie scenę jego śmierci. Ja, czyjąś łaskę ze sporym nagłówkiem w ręku trzymając, leżałam na sofie i cichym, przerywanym głosem, deklamując odpowiednie strofy Niemcewicza, tę hetmańską buławę oddawałam siostrze, która na tę chwilę była Lubomirskim. Gdy już umarłam, wstałam znowu, aby na środku bawialnego pokoju zwyciężąc zpod Chocima pogrzebać. I nie tylko pogrzebałyśmy go, ale jeszcze drobnemi naszemi rękoma zaczęłyśmy wznosić mu pomnik. Zaczęłyśmy ściągać wszystkie poduszki z kanap, na nich ustawiać krzesła, na krzesłach składać różne szkatułki i graciki, zbierane z całego mieszkania. Nagle subtelna ta budowa zachwiała się w swych podstawach, jedno krzesło upadło, pociągnęło za sobą inne, graciki rozsypały się z brzękiem szkła i metalu, do pokoju wbiegły babka i nauczycielka nasza i... kazały nam stanąć w dwóch przeciwnych kątach...¹⁾

Kara ta nie odstręczyła bynajmniej dziewczątek od układania i odgrywania innych scen dziejowych. Dopo-

¹⁾ Zob. w zbiorowem wydaniu Powieści Orzeszkowej, tom zatytułowany: „Drobiazgi“ str. 3—5.

magał im w tej mierze nauczyciel rysunków, niejaki Filipowicz, który, niewiele mając do czynienia przy małej i chorowitej Klemuni, zajmował się głównie rysowaniem i wystrzyganiem z papieru rozmaitych figurek, krajobrazów, grup historycznych, wedle życzenia swoich młodzieńskich uczennic. A te przedstawiane przez nie obrazy walk, klęsk, i śmierci bohaterów tak je nieraz przejmowały, że się aż zanosily od płaczu.

Tradycje zatem przeszłości w najznamienitszych postaciach, organicznie się niemal spajały z umysłem i stały się niezachwianą podstawą pojęć i uczuć, podstawą, której wzruszyć nie zdołały nurty kosmopolityczne, jakie w dojrzałych latach naszej autorki zaczęły się przedstawiać i na Litwę, owszem przyczyniły się do tego tylko, że autorka, poznawszy ich niebezpieczeństwo dla dusz nie mających takiego mocnego, jak ona, punktu oparcia, starała się ostrzegać niedoświadczonych a ufnych, kreśleniem całkiem nowych w naszej literaturze postaci, takich jak Porycki w „Elim Makowerze,“ jak bohaterowie „Widm“ itp., albo też rozwinięciem rozumowem i uczuciowem poglądów swoich w tak zajmującej, ważnej i wpływowej rozprawie, jak rzecz o „Patryotyzmie i kosmopolityzmie.“

O kolizjach społecznych, o rywalizacyi stanów nie było zapewne mowy w domu, za czasów dzieciństwa Elizy. Istniejący porządek rzeczy, w odniesieniu do stosunków wiejskich, przeciwieństwo dziedzica i poddanych, było uznawane prawdopodobnie za rzecz naturalną, zwykłą, z którą zżyły się pokolenia.

Na szerokim świecie i w samym kraju rzeczy te były w dobie dzieciństwa przyszłej powieściopisarki namiętnie roztrząsane, lecz echa tych dyskusyj nie docierały, jak się zdaje, do Milkowszczyzny. I jeżeli w dziewczynce powstawały jakie humanitarne skłonności już

wtedy, to objawiały się one na tle wyłącznie uczucio-
wem: żal jej było ludzi biednych, zapracowanych, cier-
piących. Ilekroć usłyszała, że łajano sługę czy włościa-
nina, uczuwała dla pokrzywdzonego życzliwość, zmie-
szaną z litością; bony swej, Niemki, Fechnerki, nie lubiła
dlatego głównie, że ta była złą dla służby.

W klasztorze, wiedząc już, że po zawczesnej śmierci
siostry swej Klemuni, jest jedyną, a bogatą dziedziczką,
nieraz roiła o wyzwoleniu włościan milkowskich.

Wyszedłszy zamaż i zamieszkawszy na Polesiu wo-
łyńskiem w Ludwinowie, doświadczała nieraz chęci dopo-
możenia chłopom; zbierał ją taki żal nad temi zapraco-
wanymi ludźmi, że od płaczu wstrzymywać się musiała. Nie
wiedziała wtedy jeszcze sama, co by jej zrobić wypadało,
jak objawić czynnie swe uczucia. Obchodziła się więc
tylko życzliwie, chętnie rozmawiała zarówno z liczną
i różnorodną służbą, jak i z chłopami, których przy da-
nej sposobności widziała. A sposobności takich nie bra-
kło. Przychodzili wieśniacy do ogrodu dworskiego na ro-
boty różne, do dziedzica z interesami, kobiety wiejskie
przynosiły na sprzedaż jagody, grzyby itd. Wielu więc
mieszkańców wsi ludwinowskich знаła młoda dziedziczka
po imieniu, miała pomiędzy nimi ulubieńców i ulubienice;
na dożynkach i weselach, które z „korowajem“ do dworu
przyjeżdżały, znajomości te rozszerzały się i utrwały.
Zresztą do czynniejszego zajęcia się losem mieszkańców
wiejskich nie wtedy nie zmuszało. Włościanie okolic
owych, posiadający dobre grunta i rozległe pastwiska,
żyli we względnym dostatku; żadna katastrofa: ani głód,
ani mór, ani pożoga, nie dotknęły ich w owej porze.
Chyba więc jakimś wstawieniem się za nimi do męża,
jakąś doraźną pomocą, okazywać się mogło społeczenie
młodej dziedziczki. Niebawem atoli nadeszła chwila, w któ-

rej uczucie instynktowe miało się zamienić w świadome dążenie.

W całym kraju zaczęto ponownie zajmować się sprawą włościańską; rozprawiano, pisano artykuły, broszury i książki, podawano projekty. Na Litwie, podobnie jak w cesarstwie, z woli i rozkazu cesarza Aleksandra II powstały komitety obywatelskie, mające rozpatrzyć sprawę uregulowania stosunków między dziedzicami i poddanymi, oraz wyrazić swoje poglądy i życzenia, ażeby po zebraniu opinii można było przystąpić do czynnego załatwienia jednego z najważniejszych zagadnień społecznych.

Oczywiście i do Ludwinowa doszły bardzo żywe odgłosy kwestyi, która jeszcze przed ustanowieniem owych komitetów poruszyła była z drzemki umysły obywatelskie. Krewni i bliżcy znajomi pani Orzeszkowej w komitetach samych czynny brali udział. Wielce poważany i rozumny Kalikst Orzeszko w Petersburgu, a Jan Żuk w Grodnie, byli członkami ich i po powrocie z tych miast zdawali swym spółobywatelom na Polesiu szczegółową sprawę z czynności swoich, a młoda dziedziczka Ludwinowa przysłuchiwała się im, z ubocza wprawdzie, ale z ciekawością wielką. Zrozumiała ona doniosłość sprawy i żywo zajmować się nią zaczęła, tem łatwiej, że całe grono znajomej jej młodzieży, wśród którego znajdował się brat młodszy jej męża, Florenty Orzeszko, entuzjastycznie tę sprawę witało. Pomiedzy starszymi, wygłaszano zdania rozmaite, ale z młodzieży, licznej w tamtych stronach i czasach, nie było ani jednego, któryby nie głosował za najszerszem wymierzeniem ludowi sprawiedliwości. Do tej grupy entuzyastów bezwarunkowych przyłączyła się pani Orzeszkowa odrazu i zaczęła o tym przedmiocie toczyć z tymi, którzy okazywali entuzjazm warunkowy tylko, dysputy zapalczywe. Było już w nich trochę rozumowania własnego, więcej cudzego jeszcze,

a sprawa sama, zaczepiając o strunę uczuciową, nadawała przyspieszone, namiętne tętno rozprawom. Miała zaś Eliza do walczenia pod tym względem z najbliższem, domowem otoczeniem; ztąd z dowodzeń i przekonywań w gniew, z gniewu w płacz i rozpacz nieraz wpadała.

Wtedy uświadomił się w jej duszy pogląd demokratyczny, którego miała zostać jedną z najwymowniejszych i najbardziej wpływowych, chociaż bynajmniej nie krańcowych, przedstawicielek; nie zawiść bowiem klasowa, ale idea sprawiedliwości jej przyświecała, myślami i słowami jej kierując. Sama pochodząc ze sfery szlacheckiej, nie mogła czuć jakiejś do niej nienawiści, a widząc jej błędy, prowadzące do ruiny materyjalnej i degradacyi moralnej, o ratowaniu jej raczej, a nie zagładzie, myślała. Dla ludu miała głęboką sympatyę, lecz wiedziała, że on, wśród dzisiejszych stosunków, szlachty zastąpić nie może, a cóż dopiero w okolicach, w których przebywała.

To ustalenie się przekonań społecznych nastąpiło w latach 1860—63. Na ten sam czas przypadło także dojrzewanie umysłu wogółności, dojście do samodzielnych poglądów.

Tryb wykształcenia panny Pawłowskiej był przez czas długi taki, jaki powszechnie natenczas w domach szlacheckich zamożniejszych panował. Bardzo wczesnie, bo już w 5-ym roku życia, umiała Ziunia czytać po polsku i po francuzku i mając zamiłowanie w czytaniu, dużo już wtedy książek stosownych i niestosownych dla jej wieku przebiegła. Miała bonę Niemkę, dla wprawy w rozmowie niemieckiej, i nauczycielkę, pannę Kobylińską, dla konwersacyi francuskiej i innych nauk elementarnych. Bony nie cierpiała, w niemczyźnie słabe robiła postępy; nauczycielkę zaś kochała, po francusku wyrażała się łatwo i czytała. Polszczyzna jednak nie była przez to za-

niedbywana. Z siostrą najchętniej zawsze po polsku rozmawiała i polskich książek najwięcej czytywała.

Kiedy miała lat dziesięć, oddano ją na pensję. Program szkolny, jak we wszystkich ówczesnych zakładach żeńskich, tak i u pp. Sakramentek, był nadzwyczaj szczupły, a sposób traktowania nauki — powierzchowny. Największy nacisk kładziono na naukę dwu języków cudzoziemskich i muzyki. Dwie bony: Niemka, p. Stephen i Francuzka, p. Marchand, dozoruujące aktów ubierania się i rozbierania pensyonarek, i znajdujące się co chwila na różnych punktach pensyi, miały za zadanie pilnować, francuskiej i niemieckiej rozmowy. Pensyonarki obowiązane były mówić dzień po francuzku i dzień po niemiecku. Za niespełnienie tego obowiązku była nawet kara w postaci zawieszającego się na szyi języka z czerwonego sukna. W klasach przepis ten spełniano dość pilnie, ale po za lekcyami, na korytarzach i dziedzińcach, gdy zwłaszcza uczennice rozbawiły się i rozswawoliły, żadna siła nie zdołała już zmusić ich do mówienia inaczej, niż po polsku. Bony, nauczycielki i sama mistrzyni gderwały i nawoływały do innego mówienia, czerwony język z szyi na szyję przelatywał, a pensyonarki wciąż trzepały i hałasowały po polsku. Często też dawano im z tem pokój i zmyślano głuchotę, dopóki nie zamknęły się za niemi drzwi klas, w których niepodobna już było uniknąć francuszczyzny i niemiezczyzny. Jak gdzieindziej, tak i tu powtarzał się objaw znamieny: pierwszego języka używały uczennice z łatwością i chętnie, drugiego — z trudnością i tylko z musu. Było to ogólne. Starszyzna szkolna utrzymywała nawet, że w dnie niemieckie klasy były daleko cichsze; istotnie mówiono znacznie mniej, byleby uniknąć niemiezczyzny. Oprócz bon byli oczywiście nauczyciele języków, wykładający je w klasach; francuskiego dawał Leroux, niemieckiego Caro.

Metrów muzyki było wielu; kilkanaście fortepianów dudniło na pensyi od rana do wieczora w różnych salach i nawet kaplicach. Metrem panny Pawłowskiej był Włoch jakiś, nazwiskiem Novi.

Dopiero po tych trzech przedmiotach głównych na pensyi, szły inne, traktowane o wiele obojętniej, aniżeli języki i muzyka. Historyą i geografją wykład Wróblewski, arytmetykę Jasiński; rysunków uczył Werner, ale panna Pawłowska, po krótkiej próbie, przestała się niemi zajmować. Natomiast poza programowemi lekcjami uczyła się historyi literatury powszechnej i francuskiej pod kierunkiem zakonnicy, panny Prezentacyi, która ją wogóle bardzo lubiła, pieściła, przynosiła jej różne przysmaczki: owoce, pierniki i t. p.

Ze wszystkich nauczycieli swoich najlepiej i najwdzięczniej wspomina autorka nasza Ignacego Kowalewskiego, który wykładał język polski oraz literaturę ojezystą. Był to młody, wysoki blondyn, łagodny, uprzejmy i wymowny. Lekcyje jego pensyonarki lubiły bardzo i korzystały z nich więcej, niż z innych. Miał wielki talent wykładu, a przy nauce literatury deklamował pięknie i w sposób taki, że obudzał w uczennicach zamiłowanie do dzieł i arcydzieł piśmiennictwa. To też zaznajomił je wybornie z piśmiennictwem XVI i XVIII stulecia; nie tylko na lekcyach czytywał ustępy z cenniejszych utworów, ale nadto dawał pensyonarkom samym do czytania Kochanowskiego, Reja, Skargę, Górnickiego, Krasickiego, Trembeckiego. Mickiewicz znajdował się w biblioteczkce pensyjnej; rozczytywały się w nim uczennice zarówno podczas godzin klasowych, jak i po za niemi. Poznały też wówczas wiele utworów Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Chodźki, Syrokomli.

Wogóle zapal do czytania wśród pensyonarek u pp. Sakramentek był dość znaczny. Panna Pawłowska wtedy

właśnie zaznajomiła się z wielu dziełami literatury francuskiej: czytała Marmontela „Contes moraux“ Lamartine'a, Chateaubrianda, a prócz tej dozwolonej lektury zajrzała i do przekradzionych na pensyę powieści Dumasa, Sue'go, Sand'a i Sandeau.

Z niemieckich autorów, znała, kończąc pensyę, przynajmniej ważniejsze nazwiska i ustępy najsłynniejszych dzieł i pamięta nawet wybornie, jak siedząc na schodach ogrodowych z Wandą Wasiłowską (siostrą Maryi Konopnickiej) i Leontyną Niemiryczówną, czytały we trzy Schillerowskiego „Don Carlosa.“

Ulubioną powieścią panny Pawłowskiej na pensyi była „Pojata“ Bernatowicza, którą ze trzy razy przeczytała i namiętnie do niej się przywiązała. Silne też wrażenie na młodziutki umysł i serce wywarła „Kollokacya,“ której bohater, Józef Starzycki, podobał się jej bardzo i po raz pierwszy w życiu ją rozmarzył. Wiedząc, że będzie majątną, obiecywała sobie, że, jak Kamilla z „Kollokacyi,“ poślubi ubogiego i szlachetnego młodzieńca.

Eliza Pawłowska opuściła pensyę, nie mając jeszcze w zupełności ukończonych lat piętnastu. Stosownie do ówczesnego zwyczaju i z woli matki, jakniemniej ojczyma, pana Widackiego, weszła, jak to mówią, odrazu w świat jako panna na wydaniu.

Nowość położenia oszołomiła ją, oderwała od myśli i zajęć, które jeszcze tak niedawno na pensyi w wysokim interesowały ją stopniu. Przepędziła lato 1857 r. na wsi przy matce w RumłóWKu, majątku o trzy wiorsty od Grodna położonym, który w czasie pobytu jej na pensyi, pani Widacka, za posagową sumę swoją nabyła. Wielu obieralnych urzędników z klasy obywatelskiej, wraz z rodzinami zamieszkiwało Grodno: Kiersnowski, prezes sądu gubernialnego, Klimaszewski, Bogatko, Wierzbicki —

sędziowie, Jancewicz, prezes sądu powiatowego itd. Niektórzy przebywali w mieście tylko dla zabawy, lub z innych pobudek; należały do nich rodziny Kościałkowskich, Buchowieckich itd. Wszędzie były panny, mniej więcej rówieśnice Elizy, a także młodzi panowie, bądź przebywający w mieście stale, bądź ze wsi często przyjeżdżający. Bawiono się jak w wielkiem mieście; były ustawiczne wizyty, wieczory, wieczorki, teatry amatorskie, w re-sursie obywatelskiej zebrania po kilkaset osób liczące, maskarady, loterye fantowe itp.

Panna Pawłowska bywała z matką wszędzie, a i w swoim domu przyjmowały mnóstwo osób. Mieszkały przy ulicy Brygidzkiej, w apartamencie złożonym z dziewięciu pokoi, z dużym salonem; sprzęty i obrazy przywieziono tu z Milkowszczyzny. Panna Eliza uchodziła za jedną z najmąglejniejszych panien w gubernii. Milkowszczyzna, wypuszczona w dzierżawę, przynosiła 5000 rubli czystego dochodu; prócz tego miała 30 włók bardzo pięknego i dobrze zakonserwowanego lasu. Ruchomości milkowskie w sprzętach i srebrach ocenione były w „Opiece szlacheckiej“ na 10,000 rubli. Nic więc dziwnego, że wkoło bogatej panny uwijał się rój wielbicieli i starających się, i że panna o czytaniu i dalszem kształceniu się ani pomyślała, oddając się całkowicie prądowi zabaw i rozrywek.

Ten fakt, że umysł, z natury skłonny do zadumy, zanurzył się na czas stosunkowo dość długi, bo przeszło dwuletni, w pustocie i próżnostkach, jest nie tylko psychologicznie ciekawy sam przez się, ale także w połączeniu z podobnemi objawami wśród ogółu ówczesnego, pomiędzy r. 1857 a 1860, ma też interes społeczny, stanowi znamienny objaw usposobienia narodowego w owej dobie. Warto więc szczegółowiej go rozpoznać; a że Orzeszkowa we wspomnieniach swoich „Z pożogi“ odmalowała dobitnie nastrój swój z owej chwili, posłużę się jej

słowami dla uprzytomnienia sobie obrazu 16-letniej panny, która z przyjaciółką swoją Melanią odgrywała wtedy rolę niemalą w tak zwanym „świecie“ grodzieńskim.

„Była-to po powrocie z pensyi pierwsza przyjaciółka moja — powiada nasza autorka ¹⁾. — Obie nas uznano za dorosłe panny i jako takie w świat wprowadzono, choć naprawdę byłyśmy jeszcze dziećmi, mając niewiele więcej nad lat piętnaście. Traf zrządził, że łączyło nas mnóstwo podobieństw i wspólności, powierzchownych zresztą i głębi istot naszych nie sięgających, ale które podówczas wystarczyły do wykrzesania żywej pomiędzy nami sympatii i zawiązania poufalego, pospolicie przyjaźnią nazwanego stosunku. Jednostajnego wzrostu, drobne i wątłe obie, miałyśmy jednostajny kolor włosów i oczu i jednostajną niezgrabność w długie suknie ubranych podlotków. Nietylko przecież nieukończony rozwój fizyczny sprawiał, że ruchy nasze, a potrosze i kształty przypominały młode gąski, po raz pierwszy puszczone na wodę. Jedna z nas tylko co opuściła klasztorną pensyą, druga — dom wiejski, wcale prawie nieuczęszczany. Moralne i umysłowe istoty nasze zostawały w fazie zaczątkowości, nieświadome świata, ludzi i siebie samych, najmętniejszem nawet przeczuciem nieodgadujące przyszłych swych sił i przeznaczeń. Byłyśmy sobie do tego stopnia rówieśnicami, że przyszłyśmy na świat nietylko w jednym roku, ale i w jednym miesiącu. Miesiącem tym był maj, co ówczesni znajomi nasi brali za asumpt do wróżb szczęśliwych, albowiem jestto najpiękniejszy i najweselszy miesiąc w roku. Wprawdzie, na przekór tym wróżbom, los uczynił nas współsierotami, mnie bardzo wczesnie ojca, jej matkę odbierając; ale niezmiernie zajęte rolą dorosłych panien, którąśmy z rozporządzenia starszych odgrywały, nie my-

¹⁾ Zob. „Drobiazgi“ str. 113—121.

ślałyśmy o tem podówczas i nie miałyśmy żadnych smutków, któremibyśmy dzielić się mogły. W zamian bawiliśmy się wspólnie.

„Dziwnem się to teraz wydaje i obszernych objaśnień wymaga, ale faktem jest, przez wielu jeszcze pamiętanym, że w przededniu najmniej pewno zabawnej epoki naszych dziejów dla całej licznej i możnej grupy ludzi jedy-nem prawie hasłem i najwyraźniejszym celem życia, była zabawa! Bawiono się wszędzie, zawsze, w sposoby naj-rozmaitsze i dla wszelkich możliwych pretekstów. Wizyty, obiady, wieczory, tańce, polowania, karty, majówki, kuligi, wrzały po wsiach i miastach. Dnie ciszy, skupie-nia i jakiegokolwiek pracy zdarzały się czasem, tygodnie bardzo rzadko, miesiące nigdy. Wiele rodzin, żyjących stale na wsi, przepędzało w mieście kilka zimowych mie-sięcy; że zaś, przy nieistnieniu kolei żelaznych, odległe podróże przedstawiały wiele trudności, miasta prowincjonalne napępniały się każdej zimy znaczną ilością tych przybyszów, salony i saloniki przedstawiały codziennie widok strojnych, gwarnych, grających, śpiewających i tań-czących zebranych, ulice roily się powozami i końmi, wną-trza kościołów płonęły często rześistem światłem, wśród którego tysięczne tłumy chciwie spoglądały na widowi-ska wspaniałych uroczystości ślubnych.

„W tym gwarze i zamęcie, pośród panien, naprawdę już dorosłych, i towarzyszącej im młodzieży, przed ba-czynym i spostrzegawczym wzrokiem weteranek i wete-ranów, dwie młode gąski przesuwwały się zawsze razem, z lękliwie wyciągniętymi szyjami i oczyma szeroko otwie-ranymi przez niezmierną ciekawość świata, lub ukrywa-jącemi się pod spuszczone powieki, przez wszystkie inne uczucia zwyciężającą, nieśmiałość...

„Przejażdżki, w celu użycia świeżego powietrza od-bywane, wolno mi było czynić bez towarzystwa starszych;

z radością zatrzymywałam się przed mieszkaniem Melki, lotem strzały wbiegałam na schody, zdala i głośno wołając, aby ubierała się coprędzej i ze mną jechała. Najczęściej wybiegała naprzeciw mnie, lekka, rumiana, z zawiniętymi rękawami sukni, w gospodarskim fartuszk... Porywała mnie i wodziła po wszystkich zakątkach obszernego i dostatniego mieszkania swego ojca... Pokazywała mi wszystko, opowiadała, wzywała rad moich co do zarządzania obiadami, przyjmowania ojcowskich gości, utrzymywania w rygorze dziesięcioletnich braciszków i sześćdziesięciu siostrzyczek. Wzajemnie, wszystkim, co mówiła mi i powierzała, przejmowałam się szczerze i głęboko: chwaliłam, ganiłam, doradzałam. Boże! jakież to być musiały sądy i rady!... Ale ona przywiązywała do nich wielkie znaczenie... Czasem, przy tych wszystkich bardzo poważnych rozprawach i naradach, ogarniała nas taka ochota do swawoli, że zaczynałyśmy biegać po wszystkich pokojach, gonić się, grać w chowanego, śmiejąc się przytem tak, jak niewolno nam było śmiać się gdzieindziej: głośniami, długimi gamami śmiechu. Nie miewałyśmy wtedy ani wyciągniętych szyj, ani zbyt szeroko rozwartych, lub lekliwie spuszczonej ku ziemi oczu, ani sztucznie poważnych ruchów, przypominających nastrzępione i nieruchome skrzydła uczących się pływać gąsek. Biegając, zaledwie dotykałyśmy ziemi, a w głowach, piersiach i na twarzach, czułyśmy upał najświeższej młodości. Gdy zdyszane, niewiedzieć czem tak niezmiernie rozweselone, z rozrzuconemi włosami i wykrzywionemi kokardami eleganckich sukien, wbiegałyśmy do salonu, Melka padała na taboret, stojący przed otwartym fortepianem i prędko, szumnie poczyniała wygrywać polkę lub walca. Młodsze rodzeństwo jej, które w roli widzów i aktorów przyjmowało udział w gonitwach i w grach naszych, uszczęśliwione rozpoczynało w takt jej muzyki różne skoki, z któ-

rych ona koniecznie prawidłowe tańce uczynić pragnęła. I oto zamieniałyśmy się obie w mistrzynię tańców, łącząc w pary chłopczyków i dziewczynki, nauczając je sposobów posuwania nóżkami w polce lub walcu, kręcąc się wraz z niemi i jedna drugą co moment przy fortepianie zastępując.

„Powóz, którym przybywałam, stał sobie i stał przed bramą domu; stangret, niestety, aby nie zmarznąć w ten dzień zimowy, z całej siły uderzał rękoma o piersi i boki, a myśmy się bawiły tak dobrze i wesoło, jak prawie nigdy nie zdarzało się nam bawić gdzieindziej.

„Potem, gdy, przypomniawszy sobie przejażdżkę, siadałyśmy obok siebie w powozie i jeździłyśmy czasem godzinę całą po ulicach miasta, dziw mię teraz zdejmuję na myśl, jak zupełnie byłyśmy nieświadome otaczającej nas ludzkości i doskonale dla niej obojętne! W mieście, podówczas bardzo ruchliwem i dość zamożnem, ludzie wszelakich stanów ruszali się, roili, szli, śpieszyli; myśmy jednak dla nich nie miały oczu, ani uszu, ani ciekawej, lub współczującej uwagi. Ktokolwiek nie należał do koła znajomych naszych i na widok nasz nie składał powitalnego ukłonu, nie istniał dla nas. Ani promyka wiedzy nie było w nas o tem, co ci wszyscy ludzie robią na świecie, jak żyją, myślą, czują i cierpią, i ani iskry chęci dowiedzenia się o tem. Gdyby podówczas ktokolwiek nam powiedział, że same kiedyś w ten tłum nieznany wpadniemy, zmieszamy się z nim, wraz z nim pracować, za niego cierpieć i walczyć będziemy; z jakimże zdziwieniem wyciągnęłybyśmy nasze szczupłe szyje i z jakim przestrachem rozwarłybyśmy oczy!... tak była doskonała nasza nieznajomość prawdziwego, wielkiego świata. O! świecie wielki, o! świecie piękny, a przecież nieszczęsny, który płyniesz oceanem niezliczonych i nieprzejrzanych w rozmaitości swej zjawisk, jakże małuczkami i bez winy

własnej śmiesznemi były te dwie twoje kropelki, ubrane w ciepłe futerka i białe kapelusiki, które, patrząc na cię, ani wiedziały, że cząstkę twoją stanowią, ani zapytywały, czem jesteś, ani myślały o tem, co dla nich gotujesz!..“

Z tą samą nieświadomą lekkomyślnością, z tym samym dziecinnyim jeszcze, pomimo ukończenia pensyi nastrojem, z jakim stosunki towarzysko-społeczne oceniała, zgodziła się też panna Pawłowska na konwencyonalne małżeństwo, zaprojektowane przez matkę, a popierane przez znajomych, wśród których wesołe wieczory spędzała. Piotr Orzeszko, stryjeczny brat marszałka gubernialnego, nie miał w sobie nic, coby odrazę w takiej 16-letniej panience obudzać mogło. Miał lat 35, był wysokim, przystojnym blondynem, o gęstych, mocno kręjących się włosach, tańczył zgrabnie, obejście się jego, jak wszystkich prawie ludzi ze sfery obywatelskiej, cechowały w towarzystwie: łatwość, uprzejmość, a nawet pewna wykwintność. Po dwu wizytach oświadczył się za pośrednictwem swego szwagra Antoniego Gлиндiczca, człowieka wielce poważanego, o rękę panny Elizy i został przyjęty. Panna nie miała sposobności poznać jego umysłowych i moralnych przymiotów, bo z nią zaledwie w tańcu parę zwykłych zamienił ogólników, zresztą przymioty te były jej wtedy obojętne, poprostu nie zastanawiała się wcale nad tą stroną istoty ludzkiej. Orzeszko podobał się jej więcej od innych z powierzchowności i sposobu tańczenia; cieszyło ją to, że za niego wyszedłszy, odjedzie zaraz w nowe, nieznane sobie strony, że zaznajomi się z mnóstwem ludzi, gdyż słyszała od niego, iż ma przeszło 40 domów krewnych, po różnych stronach gubernii rozrzuconych, w których bywa.

Po zaręczynach narzeczony pojechał do Warszawy, celem „ekwipowania się“; ślub wyznaczony został za tydzień po jego powrocie. Jak ten czas przeszedł narze-

czonej, dowiadujemy się również z cytowanych już wspomnień „Z pożogi.“ Po większej części wypełniały go wizyty i zabawy. Czasami tylko przepędzała chwil parę z przyjaciółką swoją Melanią, która także zaręczoną już była, na „poważnej“ rozmowie. Co było jej treścią? Posłuchajmy samej autorki:

„Gdy wypadkiem gości nie było i nigdzie zaproszonemi nie byliśmy, przy słabem świetle jednej palącej się w pokoju lampy, siadywałyśmy obok siebie na niskich, pod ścianą stojących stołeczkach i powtarzałyśmy sobie wszystko, cośmy kiedykolwiek słyszały i czytały o przeznaczeniu i obowiązkach kobiety. Zrazu było to rodzajem wydawania przed samemi sobą lekcyi, której od pierwszych dni życia uczyłyśmy się na pamięć; lecz stopniowo w głębiach naszych istot, mętnych i niczego dokładnie nieświadomych, zaczynały powstawać ruchy samoistne i żywe, choć błędne i bez stałego kierunku. Niewyraźne, lecz poetyczne obrazy przesuwwały się, a raczej szybko mknęły nam przed oczyma. Te dwory wiejskie, do których uwieść nas miano, nieznane nam jeszcze, stawały przed wyobraźnią naszą, otoczone wszystkiemi pięknościami i ponętami natury, a napelnione wdziękami i wykwiętami, o jakich tylko mogłyśmy mieć najsłabsze choćby wyobrażenie. Roiliśmy także o jakichś wzniosłych cnotach, dobrych czynach, których natury i formy nie określaliśmy sobie wyraźnie, ale o których mówiąc, czułyśmy silniejsze uderzenia serca i pomimowoli ścisnęłyśmy sobie ręce. Były to zapewne echa, które w tym ważnym momencie życia przybywały ku nam od nauk, któremi napelniano nasze dzieciństwo, od zasłyszanych rozmów i kiedykolwiek przeczytanych książek. Zarazem przecież były to samoistne, choć mętne popędy ku nieznanym jeszcze, lecz zdala dojrzanym wyżynom, belkotliwie jeszcze przemawiające odgadywania poetycznych, czystych, nawet

bohaterskich rysów świata i życia. I znowu, wśród tych rozmów, w głowach i na twarzach czułyśmy upał najświeższej młodości, a na strunach naszych piersi, niedobrze przez myśl określane i z trudnością wyrażane słowem, ale gorące nadzieje i porywy, grały pieśń o mnóstwie splecionych tonów, z których najgłośniejszym była wielka radość życia i wielka wiara we wszystkie jego piękne obietnice i wzniosłe rozkazy. Naturalnie, że w takim nastroju ducha długo trwać nie mogliśmy i że rozmowa nasza wkrótce z uśmiechami i prawie z dziecięcym szczebiotem ślizgać się zaczynała po gałgankach naszych wypraw i różnych błyszczących szczegółach przyszłego, nowego życia...¹⁾

Jeżeli jednak w tych kilku tygodniach, oddzielających zaręczyny od ślubu, błysnęła nawet kiedy myśl istotnie poważniejsza, nie stawiała się ona przecież kierowniczką postępowania, lecz znikiała wśród dźwięków muzyki tanecznej i pozostawiała narzeczoną dzieckiem, bawiącym się błahostkami.

Narzeczony powrócił z Warszawy z dwoma powozami: kareta i koczem, z jedenastu do nich końmi, z czterema służącymi, z których dwaj stangreci, dwaj lokaje, wszyscy w liberyach pełnych blach i galonów z wrytym na nich herbem Leliwa, który też jaśniał na drzwiczkach karety — z mnóstwem nakoniec kwiatów świeżych i sztucznych, bombonier, ładnych drobiazgów i garniturem złotym, tj. broszą, koleczykami i bransoletą, od szafirów błękitnemi, a stanowiącemi podarek ślubny... W tydzień potem, wśród którego narzeczeni widywali się ciągle, ale prócz konwencyonalnej, nie prowadzili żadnej innej rozmowy, odbył się wspaniały ślub na początku r. 1858,

¹⁾ Zob. „Drobiazgi“ str. 124—126.

kiedy pannie młodej kilku jeszcze brakowało miesięcy do skończenia lat szesnastu.

Parę tygodni po ślubie przebyło jeszcze młode małżeństwo w Grodnie, oddając i przyjmując mnóstwo wizyt, poczem w pewien dzień lutowy, mroźny i śnieżny, puściło się w podróż do Ludwinowa, położonego o mil 40 od Grodna, w powiecie kobryńskim, prawie na pograniczu Wołynia. Tu przebyła Orzeszkowa do końca roku 1863.

Ten sześćioletni blisko przeciąg czasu w jej życiu przedstawia dwie różne fazy. Pierwsze dwa lata pożycia małżeńskiego przeszły jej w takiej samej prawie pustej bezmyślności, na odwiedzinach, przejażdżkach, zabawach, jak owe miesiące po-pensyonarskie; następne zaś — na rozmyślaniu, wejściu w siebie, zajęciu się sprawami ogólnemi, cierpieniu, walce wewnętrznej, zakończonej rozstaniem się z mężem i zwrotem do zawodu pisarskiego. Ten drugi okres zwykła Orzeszkowa nazywać swoim uniwersytetem.

Przez owe pierwsze dwa lata była młoda pani Ludwinowa poprostu samym śmiechem, samą pustotą, samą próżnością; bo cieszyło ją, bawiło, nawet miłość własną przyjemnie głaskało wszystko: ślicznie urządzony dom, stroje, służba, niezliczone wizyty bliższe i dalsze, całe grona przyjaciółek, rówieśnic, sąsiadek i sąsiadów. Była wtedy moda zakładania do karety siedmiu koni, z forysem na przedzie, a do koczka — piątka po krakowsku; jeździła młoda dziedziczka w oba te sposoby, a raczej latała, bo mąż jej był zwolennikiem jazdy szybkiej, i do krewnych daleko mieszkających udając się, często mil dwadzieścia kilka lub trzydzieści przebywali w jedną dobę. Z Milkowszczyzny sprowadziła pani Eliza wszystko, co tam było pięknem i cennem: bibliotekę, obrazy, zwierciadła, staroświeckie ozdobne sprzęty i pyszniła się tem przed sąsiadami. Stosunek z mężem był wtedy koleżeński

i przyjacielski, bez sentymentów, ale i bez niezgody, owszem z chęcią wzajemnego dopomagania sobie w upięknianiu i rozweseleniu domu i życia.

Dopiero w r. 1860 przestały zajmować Orzeszkową tryumfy próżności i upojenia rozrywek. Zmiana, zaszła w ogólnym nastroju społeczeństwa, dyskusye, biorące początek z przebiegu kampanii włoskiej z r. 1859, oraz z ustanowienia komitetów do sprawy włoskiej, przeniknęły i na Polesie wołyńskie. W otoczeniu Orzeszkowej znajdowało się dosyć ludzi z wyższem wykształceniem i zajmujących się sprawami ogólnemi. Prócz wspomnianych już poprzednio Glindzieza i Jana Żuka, wymienić należy Rusieckiego, a zwłaszcza czterech jego synów, krórczy świeżo wtedy z uniwersytetów wrócili i nowe poglądy na literaturę, naukę i życie w rozmowach objawiali. Uczuła się wtedy Orzeszkowa częścią owego wielkiego świata i zapragnęła być świadomą tego, co tym światem włada, jakie są jego wielkie idee i interesa. Rzuciła się więc ponownie do czytania i pochłaniała całe stosy książek starszych i nowszych, to z biblioteki ojca, to z księgozbioru Janostwa Żuków, to z Warszawy sprowadzanych. Pomiedzy wyjazdami w sąsiedztwo i do dalszych okolic i przyjmowaniem gości znajdowała czas i gorączkową ochotę do przeczytania zdumiewającej liczby dzieł polskich i francuskich. Daleko jeszcze więcej oddawała się temu ulubionemu zajęciu w 1861 i 1862 r., kiedy zabawy wogóle stały się rzadszemi i przybrały inny niż przedtem, poważniejszy charakter, kiedy ona osobiście zaczęła nad niejedną rzeczą cierpieć, do niejednej tęsknić, a wszyscy uczeni powiew pełnego powagi i grozy momentu.

W lekturze tej nie było wtedy żadnego wyboru, ni systematu, nie przyczyniała się ona do skierowania umysłu w jakimś wybitnym kierunku, ale uświadomiła mnó-

stwo myśli, chęci i poglądów na świat i życie. Powstało w młodej, żywej, gorącej, namiętnej duszy, wiele pociągów i wstępow, wiele pragnień i zamiarów, poglądów i uczuć, których nikt przedtem, ani ona sama nawet w sobie nie przewidywała. Powstawał i coraz wyraźniej zarysowywał się, coraz potężniej ją nęcił ideał życia, z którym rzeczywistość, będąca jej udziałem, znajdowała się w sprzeczności rażącej i stanowczej. Ideał ten już wtedy określiła sobie dwoma słowami: „miłość i praca.“ Pragnęła kochać — miała lat 18 do 20 w owej dobie — pragnęła pracować, nie wiedząc jeszcze nad czem, jak, dlaczego, ale marząc o tem różnie, a zawsze górnie. Tymczasem w jej życiu rzeczywistem było wszystko, prócz właśnie dwu rysów tego ideału. Czuli się silną sercem i energią i to uczucie zaczęło wrzeć w niej, napełniając myśl i chęć pragnieniem porwania pęt konwencyonalnego małżeństwa. Zrazu z wahaniem i skrupułami, potem jasno i śmiało powiedziała sobie, że jest nieszczęśliwą. Zamiar wyjechania do Milkowszczyzny, nawet wzięcia rozwodu, zrazu także niejasny i odtrącany, uwybraźnił się wreszcie i sformułował. Nie miała dzieci; był niezależny, jakkolwiek w zrujnowanym i zadłużonym już domu ojcowskim, znaleźć jeszcze mogła. Po paru zajściach i wypadkach, które uczucia i pojęcia jej boleśnie zraniły, zamiar ten przeszedł już w fazę postanowienia głośno wypowiadanego.

Wykonanie odwlokły zdarzenia roku 1863, tak, że dopiero na początku następnego Orzeszkowa przeniosła się do Milkowszczyzny i z namiętym zapalem prowadziła dalej swoje wykształcenie umysłowe, żyjąc w samotności najzupełniejszej i mężnie stawiając czoło rozlicznym powikłaniom, jakie zarówno ze stosunków ogólnych, jak i jej osobistych wynikły. Czytania jej owoczesne przybrały kierunek systematyczniejszy; Orzeszkowa zapragnęła

zaznajomić się z najnowszymi prądami wiedzy; książki w tym kierunku pisane sprowadzała sobie i studyowała. Jedynym jej przewodnikiem pod tym względem w wyborze książek była wtedy „Revue des deux mondes,” stale od lat kilku prenumerowana i sumiennie odczytywana.

Jak na wiele, bardzo wiele umysłów społecznego pokolenia, tak i na nią silnie podziałało poznanie się z dziełem Buckle'a: „Historya cywilizacyi w Anglii.” Według własnego jej wyznania¹⁾, przy pierwszym czytaniu tej książki czuła, jak gdyby wzrok jej, wzmacniając się z dniem każdym, sięgać mógł dalej i wyżej, jak gdyby w coraz wyraźniejsze obrazy układały się pojęcia, wyobrażenia, dojrzewały zasady, które przedtem snuły się jej w myśli, jak mgliste widma.

Za Bucklem poszli inni wielcy przedstawiciele nauki nowożytnej i dopomogli młodej kobiecie do ułożenia swoich wiadomości w pewną jednolitą całość, mającą jej zastąpić ten częścią tradycyjny, częścią konwencyonalny pogląd na świat, na jakim poprzestaje niemyślący, a przynajmniej nie zagłębiający się w pojęcia ogół. Oczywiście całość ta nie mogła być odrazu zupełnie obrobioną i we wszystkich częściach wykończoną, owszem z biegiem lat, a raczej z pogłębieniem się myśli, uzupełnianą być miała jeszcze wielokrotnie; dawała już atoli umysłowi możność grupowania poglądów i wyprowadzania ich z jakiejś zasady, a równocześnie stawała się bodźcem do podzielenia się wynikami swych spostrzeżeń i rozmyślań z jak-najszerszą publicznością, ażeby pewne opaczne opinie sprostować i przedstawić rady co do usunięcia szkodliwych i zgubnych przyzwyczajzeń, zarówno w myślach, jak i postępkach. Obrala ku temu formę najpopularniej-

¹⁾ Zob. szkic biograficzny E. Orzeszkowej przez W. Kościolkowską w „Kłosach” 1881, Nr. 812—814.

szą, powieściową, częścią idąc za instynktową pobudką siły twórczej, częścią dla łatwiejszego oddziaływania na masę.

II.

Twórcza zdolność Orzeszkowej, której zarodka można by poszukiwać w artystycznym talencie rodziny Pawłowskich — przypominam, że stryj jej, jako malarz, rokował wiele — objawiała się od samego dzieciństwa. Wszakże owe, odegrywane wspólnie z siostrą, sceny historyczne bywały jej także pomysłu i dowodziły, że wyobraźnia jej nie tylko bierną, ale i czynną być potrafi. W czasie choroby siostrzyczki opowiadała jej przed ukończeniem jeszcze siódmego roku życia jakieś bajki i historie, które komponowała sama, a które spowodowały odezwanie się ukochanej przez nią nauczycielki, panny Kobylińskiej: „Ziunia będzie autorką!” — co znowu wywołało prawie gniewną odpowiedź matki: „Niech Bóg broni! proszę jej tem głowy nie nabijać.” Na pensyi u pp. Sakramentek pisywała zawzięcie wiersze i była jedną z tych uczennic, z pod pióra których wychodziły wszystkie ćwiczenia polskie i francuskie dla całej klasy. Nieraz dziennie po 20 takich wypracowań na jeden temat dokonywała, otrzymując w nagrodę przepisane ładnie własne swoje kajety, kaligrafią bowiem miała szkaradną. W końcu na tych kompozycjach poznał się nauczyciel języka polskiego, Kowalewski. „To panna Pawłowska pisała” — mówił odrzucając zeszyt jednej i drugiej z jej koleżanek, tak, że ona musiała zaprzestać szkolnego fałszerstwa i sama swoje kajety przepisywać na czysto. Potem, gdy myśl jej od r. 1860 nanowo pracować zaczęła, wróciła też chęć do pisania. Rzuciła tedy na papier myśli oderwane, uwagi o ludziach ją otaczających, tak nazywane przez siebie „strofy proza,” w których spowiadała

się z tego, czego nikomu jeszcze nie wypowiedziała żywym słowem. Z robót większych, podjętych wyłącznie dla przyjemności i wykształcenia własnego, do najdawniejszych należały: streszczenie jakiejś historii Napoleona, oraz przekład kilku utworów Byrona, dokonany z tłumaczenia francuskiego. Widzimy z tego, że studia poważne i poezya przeplatały się w tych próbach pióra. Umysł z natury skłonny do tęsknej zadumy i refleksyi, a z drugiej strony temperament żywy, walczyły niejako ze sobą, dopóki uczucie nie poddało się pod kierunek rozumu, nie tracąc przecież na swojej żywości i subtelności.

Wykształcenie estetyczne ogólne posiadała naturalnie Orzeszkowa, zasady muzyki znała nawet dokładnie; powieściopisarstwo krajowe i zagraniczne w głównych przynajmniej przedstawicielach ogarniała o tyle, że nie tylko pomysły cudze biernie wchłaniała w siebie, lecz umiała o nich wypowiedzieć zdanie krytyczne.

Ze zdania tego, ujawnionego drukiem zaraz w początkach zawodu autorskiego, wynika, że Orzeszkowa przenikniętą była już wówczas zagadnieniami społecznymi i że wartość i doniosłość powieści oceniała według jej myśli przewodniej, według tendencji przedewszystkiem, stronę wykonania pozostawiając na dalszym planie. Zwolenniczką hasła: „sztuka dla sztuki“ nie była wcale. Przeciwnieństwo romantyzmu i realizmu znała już wtedy, ale i tu upatrywała główną różnicę w nastroju wewnętrznym, w rozumowych, czy umysłowych objawach jednego i drugiego, mało zwracając uwagi na sposób wykonania pomysłów, na technikę artystyczną. Z natury rzeczy musiała pozostawać pod silnym wpływem powieściopisarzy ojczystych, a mianowicie: Kraszewskiego, Korzeniowskiego i T. T. Jeża.

Pierwszy i drugi wprowadzili do naszej powieści pierwiastek obserwacyi, liczenie się z rzeczywistością, obieranie osobistości i wydarzeń, nie nadzwyczajnych, ale takich, jakich istotne stosunki towarzyskie i społeczne dostarczyć mogły. Obserwacya ich atoli była dorywcza, nie umyślna, nie systematyczna; a w sposobie traktowania obranego pomysłu pozwalali zbyt widocznie występować swojej własnej indywidualności, gawędzili z czytelnikami, jakby się znajdowali w poufałym gronie, wypowiadali swoje opinie o przedstawianych przez siebie ludziach, zalecali lub potępiali ich, wyraźnie zabiegając u czytelników o pogardę lub uwielbienie dla nich; wiele wreszcie poświęcali z prawdy dlatego, ażeby postać lub sytuacya jakaś wydała się pięknie, wzruszająco.

T. T. Jeż wzmocnił pierwiastek realistyczny w naszej powieści, o układanie rysów i ruchów postaci swoich dlatego tylko, ażeby prezentowały się estetycznie, wcale się nie troszczył, owszem niekiedy może aż za wielki kładł nacisk na nieestetyczne zachowanie się, czy wyglądanie bohaterów, traktując ich czasami naturalistycznie. Podmiotowych atoli cech w wykonaniu pomysłów nie zmienił, więcej nawet w sposób gawędziarski rozstrnuwał wątek opowiadania, aniżeli Kraszewski lub Korzeniowski.

Orzeszkowa daleką była od wystąpienia w charakterze reformatorki powieściopisarstwa naszego. Czuła i rozumiała potrzebę brania obrazów z życia rzeczywistego, potrzebę posługiwania się obserwacją przy kreśleniu stosunków towarzyskich, ale sama artystyczna strona obrobienia była dla niej natenczas rzeczą podrzędną. Jeżeli malowała postaci ludzkie, to nie chodziło jej o delikatne, subtelne wycieniowanie ich indywidualności pod względem ciała i ducha, lecz raczej o zaznaczenie kilku grubemi, czasem jaskrawemi rysami, do jakiej kategorii umysłów one należą, czem są w gruncie

rzeczy, a nie czem się wydają zewnątrz. Jeżeli kreśliła sceny i sytuacje, to również nie starała się o odтворzenie ich tak, jak one dla ścisłego obserwatora się przedstawiają, lecz tak, żeby zamierzony przez autorkę efekt niemi osiągnąć. Inaczej mówiąc, przeważnie refleksyjny nastrój owoczesny autorki dążył przedewszystkiem do przeprowadzenia pomysłów, które w jej duszy powstawały, a ludzi i sytuacje uważał tylko za narzędzia, służące do uzewnętrznienia tych pomysłów. Ponieważ dążność była dla autorki rzeczą główną, zabierała ona głos sama jaknajczęściej, byleby jaknajdobitniej myśl swą zasadniczą przeszczepić w umysły czytelników. Refleksyjność tedy i podmiotowość, a upośledzenie, czy lekceważenie plastyczności, stanowią wybitną cechę pierwszych utworów Orzeszkowej.

Jakież to były pomysły, które pragnęła autorka rozpowszechnić? Oczywiście, musiały być one w ścisłym związku z temi rozmyślaniami i przejściami, jakie od czasu obudzenia się żywszej w niej myśli obsiadały jej głowę, krwawiły jej serce i czynnych wystąpień były pobudką. Widzieliśmy, że sprawa uwłaszczenia chłopów najpierw zajęła duszę dojrzewającej kobiety; potem nastąpiło gwałtowne kształcenie się za pomocą czytania, wynikające oczywiście po części z braków własnej edukacji, która nie potrafiła jej rozbudzić z dzieciństwa; następnie wskutek rozwiniętej samowiedzy, powstało głębokie i gryzące poczucie nieszczęścia indywidualnego, z powodu niezaspokojonych uczuć i pragnień; wreszcie widok zrujnowanej egzystencji wielu, niestety, bardzo wielu z tych, co tak niedawno hucznym i bezmyślnym oddawali się zabawom. Motywa te po kolei stawały się źródłem tematów, rozwijanych przez Orzeszkową w formie powieściowej.

Najpierwszym utworem Orzeszkowej, jaki się w druku ukazał, był małeńki „Obrazek z lat głodowych,” pomie-

szczony w połowie roku 1866, w dwu numerach „Tygodnika Ilustrowanego,” który od początku jego wychodzenia stale prenumerowała. Kreślony ręką jeszcze bardzo niepewną, nie przedstawiał wcale drgających życiem postaci, nie odtwarzał scen dobrze i szczegółowo zaobserwowanych, a chociaż w jednym drobnym szczególe, w częstowaniu zacierką kochanka i w przedstawieniu apetytu tegoż, poznać już było można umysł skłaniający się do realizmu, to w całości roboty widać pozostawanie pod wpływem poprzedników krajowych na polu powieściowem, oraz nieśmiałość i brak wprawy w posługiwaniu się materiałem. Autorka nie opowiada tego, co sama widziała, lecz to, o czem „niegdyś” zasłyszała. Istotnie datę wypadku bolesnego, który przedstawiła, przenosi w czasy, w których na wsi wcale nie była (1854—6) i w okolice dokładniej nie oznaczone, a o tyle tylko scharakteryzowane, że w nich mieszkał lud rusiński. Chociaż wówczas, gdy swój obrazek kreśliła, lud już był uwłaszczony, cofa się w lata pańszczyzniane, ażeby historia Wasyla i Hanki jaskrawiej odbić się mogła i do serca czytelników przemówić. Bo autorce istotnie chodzi głównie o wywarcie wrażenia, o obudzenie spólcucia dla pracowitych, biednych, nieszczęśliwych wieśniaków. Posługuje się chętnie retorycznymi zwrotami i pewną uroczystością tonu, lub też gryzącym sarkazmem, byleby cel zamierzony osiągnąć. Od początku do końca trzyma niejako i głowę i serce czytelnika na uwieży, nie samym tylko obrazem stosunków, lecz także namiętnemi odezwaniami. Oto zagajenie, bardzo znamienne, które, przybierając rozmaite kształty, powtarzać się będzie przez długie lata w powieściach Orzeszkowej:

„Posłuchajcie, piękni panowie i panie, opowiem wam króciuchną powiastkę.

„Z błyszczących wyżyn waszych, czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nisko, w głąb' owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna odarte, pracują ciężko? Czyście widzieli, jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają łono tej mętnej dla was fali żywych ludzi?..

„Wyście myśleli zawsze, o piękni i piękne, że w tej grubej i szorstkiej warstwie sam kał tylko i bezrozum; pocóż więc w nią zaglądać? Tak zapewne; jeżeli nie chcecie zasępić roz pogodzonego zabawą lica, nie zbliżajcie się do ludu, pójdźcie raczej bawić się i płaszać przy blasku światła jarzących, wśród woni salonów. Ale jeżeli między wami są serca, miłujące, nie lśniący pozór, lecz grunt człowieczy; jeżeli są i umysły ciekawe zbadania bied społeczności: niech zajrzą w istnienie milionów, w istnienie mozolne, bezbarwne, rzadko pojęte dobrze przez szczęśliwszych, często spotwarzane, oplwane. Tam serca znajdują dramat żywy i cel ukochania, a umysły naukę i zachętę do dążenia ku postępowi, ku postępowi takiemu, który zbliży szczęście, nie jednostkom, nie kastom, lecz wielkiemu ogółowi.“

Rozumnych, humanitarnych myśli i szlachetnych uczuć, wyrażonych w tej przemowie, nie potrzebuje się wypierać Orzeszkowa i dzisiaj, bo one były gwiazdą przewodnią całej jej działalności; do samej nawet formy ich wyrażenia pod względem czysto stylistycznym przyznać się może i obecnie; ale całą przemowę — i podobne do niej ustępy w dalszym ciągu opowiadania — ze względu na technikę powieściową, musi już uważać za przestarzałą, mocno bowiem psuje artystyczne złudzenie, że się odtwarza wypadki rzeczywiste i każe się im przemawiać samym za siebie.

Tym wstępem zawarunkowany został charakter dalszego opowiadania. Autorce chodzi o wydobycie jaknaj-

jaskrawszego kontrastu między biedą wieśniaków w roku głodowym, przeciążeniem pracą, brakiem chwili swobodnej i wesołej, a lekkomyślnem, próżniaczem zachowaniem się panów-dziedziców, nie wchodzących w potrzeby swych poddanych materyalne, a tem mniej duchowe, oraz nielitościwem obchodzeniem się ekonomów z ludem.

Hanka niosła jedzenie ojcu, odrabiającemu pańszczyznę; z osłabienia, głodem spowodowanego, bała się przejść przez kładkę na rzece i wołała ojca, ale ekonom pogroził jej nahajką; Hanka weszła na kładkę, wpadła do wody i utonęła. Dowiedziawszy się o tem Wasyl, jej kochanek, „przybiegł do wioski błądy i z obłąkanemi oczyma, a spojrzawszy na trupa dziewczyny, pochwycił się za głowę i uciekł.“ W kilka dni potem znaleziono go pod krzyżem „opuchłego i umarłego z głodu.“ W miesiąc później chata ojca Hanki opustoszała: dwoje dzieci zmarło, starszą dziewczynkę na piastunkę wzięto do dworu, a Harwar z żoną, wynędzniali i osiwiali, wyszli żebrac po szerokich drogach. Gdy się o tem zgadzało u dworu, dowcipniś jakiś żałował dziewczyny, jeżeli ładna była, jakaś sentymentalna dama widziała w „smutnym wypadku“ treść do romansu, jakiś obywatel z sumiastemi wąsami oburzył się na myśl, żeby mógł być romans u chłopów, bo czyż oni kochać umieją!.. a sama dziedziczka zaproponowała po francusku, ażeby zmieniono przedmiot rozmowy, bo taki temat, jak utonięcie dziewczyny, zbyt szkodliwie działa na nerwy...

Kontrast niewątpliwie bardzo silny, ale przez owo nagromadzenie samych strasznych katastrof z jednej, a przez sarkastyczne odmalowanie bezduszości panów z drugiej strony, autorka osiągnąć mogła tylko cel publicystyczny, lecz nie artystyczny.

Na tym drobnym obrazku przerwała natenczas Orzeszkowa czerpanie materyału z warstwy ludowej. Są wpra-

wdzie jeszcze dwa jej utwory, należące do najwcześniejszych, w których postaci z ludu wprowadziła, lecz nie stanowią w nich one czynnika przeważnego, służąc jedynie do uwydatnienia myśli przewodnich, mających na celu stosunki, przekonania i przesady warstw inteligentnych. Mam tu na myśli „Syna stolarza“ i opowieść „Z życia realisty.“ W pierwszym utworze przedstawiła króciutko dzieje wykształcenia Romana Hebla, który przy pomocy dobrego pana wyszedł ze stanu włościańskiego na prawnika, wprowadziła go tryumfalnie do pałacu i pozwoliwszy mu bardzo łatwo zwyciężyć uprzedzenia stanowe, oddała mu rękę pięknej Lilli. W drugim, jakby robiąc aluzję do pięknej powieści Kraszewskiego, opisała zakochanie się realisty-technika w pięknej robotnicy fabrycznej Ulanie i zamiar żenienia się z nią, zamiar, którego spełnienie Ułana, choć całą duszą kochała panniczą, udaremniła, uciekając z fabryki i kryjąc się przed poszukiwaniami zakochanego dopóty, aż ten zapomniał o romantycznym epizodzie swego życia i znalazł towarzyszkę dożgonną w pannie ze sfery szlacheckiej. Nie zginał tedy z miłości realista, ani też Ułana, wyszła bowiem za ogrodnika. Myślą zasadniczą obu tych utworów jest, że w kwestyi miłości i związków małżeńskich nie idzie o różnice stanów, ani o pociąg zmysłowy, lecz raczej o harmonię umysłów, o stopień rozwinięcia duchowego. Autorka miała na widoku, mianowicie w opowieści „Z życia realisty,“ ten romantyczny dogmat, iż miłość jest potęgą nieprzepartą, nie zważającą na żadne przeszkody i różnice; że sama dla siebie jest dostatecznym powodem i sama sobie wystarcza — i przeciwko temu przesadnemu mniemaniu zaprotestowała, dając do zrozumienia, że miłość w świecie cywilizowanym jest już uczuciem złożonem, na które składa się wiele różnorodnych czynników.

Z tym tematem łączyły się w myśli autorki pokrewne, ze stosunku dwu płci do siebie wynikające. Bezmyślność, przypadkowość, lub przeciwnie rachuba i spekulacya, brak uczucia, lub doktrynerska teoryjka, płochosć i lubieżność, żądza zabaw i błyszczenia, ambicya nienasycona, lubo w bardzo ciasnym zakresie obracająca się, i tym podobne usposobienia, popędy i poglądy, wiodące mężczyzn i kobiety do zawierania związków, które się stają niebawem udręczeniem i piekłem dla jednej lub drugiej strony, lub dla obojga razem: oto pomysły, które w powieściach Orzeszkowej owego czasu, szybko po sobie następujących, znajdowały mniej lub więcej szczęśliwe, a zawsze bardziej publicystyczne, niż artystyczne uzewnętrznienie. Pomysły też te, nieraz z mocą wypowiedziane, a nie wykonane pięknie, były główną zaletą takich utworów, jak „Ostatnia miłość,” „Rozstajne drogi,” „Początek powieści,” „Na prowincyi,” „W klatce,” „Wesoła teorya i smutna praktyka.” Myśli rozumnych, spostrzeżeń trafnych znajdujemy tu podostatkiem, lecz postaci żywceem ze świata rzeczywistego pochwyconych i plastycznie odmalowanych, lecz sytuacji nienaciąganych do tematu z góry postawionego, lecz dyalogów naturalnych, prawdziwych, spotykamy w tych pismach niewiele. Autorka, tworząc gorączkowo, chciała jaknajwięcej zdrowych ziarn myśli rozrzucić na rolę duchową, nie troszcząc się bardzo o to, w jakich kształtach artystycznych one wystąpią. Jesteśmy tu ciągle w świecie jakimś ogólnikowym, konwencyonalnym, w mieście dużem, w miasteczku, na wsi w dworach szlacheckich, bez uwydatnienia szczegółów charakterystycznych okolicy kraju, w której rzecz się dzieje, bez starania o subtelne cieniowanie różnic indywidualnych między ludźmi w ich przyzwyczajeniach i mowie. Mamy tu tylko trzy kategorie charakterów, zaznaczone rysami grubemi; są tu rozumni i uczciwi, prze-

wrotni, oraz śmieszni. Pierwsza kategoria, do odmalowania której autorka brała oczywiście rysy z własnego usposobienia i własnych poglądów, jest najbardziej jednostajną, przedstawicielami jej są zazwyczaj: lekarze, adwokaci, inżynierowie, technicy; druga i trzecia więcej przedstawia różnaitości, ale często przechodzi w karykaturę.

Myśli owoczesne Orzeszkowej, lubo wypływały z rozpatrywania jednorodnych stosunków, nie znajdowały zrazu swego wytłomaczenia w jakiejś zasadzie ogólniejszej, któraby posłużyć mogła do uszeregowania tematów w związek przyczynowy i ułatwiła objaśnienie różnorodnych objawów życia... Niebawem wszakże takie źródło główne złego wychyliło się niejako samo przez się, zpoza całej ciżby faktów, rozpatrywanych przez autorkę. Źródłem tem okazało się wadliwe wychowanie płci obojej, nie przygotowujące do życia ciężkiego, nie uczące obowiązków obywatelskich i pracy, nie hartujące charakterów, lecz czyniące je chwiejnemi, ulegającemi nader łatwo wpływom zgubnym.

Uświadomiwszy sobie zasadniczą przyczynę rozstroju stosunków małżeńskich i rodzinnych, powieściopisarka pośpieszyła z uwydatnieniem jej przed czytającą publicznością, ażeby uchronić podrastające pokolenie od zawodów i rozczarowań, z których sama otrząsnęła się po wielu trudach, dzięki przyrodzonym zaletom umysłu i charakteru. „Pan Graba,“ „Pamiętnik Wacławy,“ „Na dnie sumienia,“ „Marta“ w formie powieściowej, a „Kilka słów o kobietach“ w formie rozprawy publicystycznej: oto utwory, wyświetlające szkodliwe lub zgubne skutki fałszywego kierunku wychowania, czy to mężczyzn lub kobiet osobno, czy przedstawicieli płci obojej razem. One to, dotykając sprawy prawdziwie żywotnej i ważnej, zwróciły na Orzeszkową uwagę powszechną, rozeszły się wśród

społeczeństwa szybko i wywarły wpływ potężny, który do dziś dnia odczuwać się daje.

„Pan Graba,“ pisany żywo i energicznie, przedstawiał zepsucie młodzieży męskiej, wśród klasy obywatelskiej, i okropne położenie kobiety, związanej nierozzerwalnemi węzły z takim potworem nیکczemności i przewrotności, jakim był bohater powieści. Myśl zasadniczą wypowiadają dobitnie, choć w sposób melodramatyczny, toasty, wygłoszone na wyuzdanej uczcie przez złotą młodzież, poczynając od samego Graby:

„Panowie! niech żyją tkliwe i nerwowo kochające swoich synów matki, które przez błogi czas dzieciństwa i pierwszej młodości trzymają ich utulonych fałdami swych spodniczek, które lękają się dla nich nauki, aby nie osłabiła im zdrowia, i zakładów publicznych, aby nie zepsuły im manier. Błogosławione niech będą matki takie, albowiem one to dostarczają znakomity kontyngens do zastępów rycerzy wesela, albowiem ich to staraniem wielu młodzieńców umiłowywa kielich, zamiast księgi, i zielone pole stolika, zamiast pól rodzinnej gleby.

„Błogosławieni niech będą także ojcowie, którzy dziecięce kroki synów prowadzą tam, gdzie brzmia hymny, śpiewane na cześć Bachusa i Wenery, którzy zamiast lekcji matematyki i geografii, przykładem swym dają im lekcye najmędrszego używania darów natury. Błogosławieni tacy ojcowie, albowiem oni zmniejszają na świecie liczbę nudnych istot, porządnymi ludźmi zwanych, a nie dają wygasnąć rodowi wesołych młodzieńców!

„Błogosławione matki elegantki, i ojcowie, co wiecznie śpią i fajkę palą, a przed egzaminami synów wożą indyki dla profesorów. Błogosławione — rozmarzone, a posażne dziewice, które serca swe zaczepiają o nasze zaostrzone wąsy i umieszczają swe marzenia w puklach naszej fryzury!“ ...

Daleko szczegółowiej niż w „Panu Grabie“ wady wychowania męskiego, rozwinęła Orzeszkowa w „Pamiętniku Wacławy“ zdrożności edukacyi kobiecej, w związku z całym wogóle stanem umysłowym naszych dziewcząt i mężatek. Dyagnoza tego stanu bardzo smutnie, ale, niestety, prawdziwie się przedstawiła pod piórem naszej autorki. Oto dusze kobiet, nie widząc przed sobą żadnych szerszych horyzontów, oddają się z zapalem salonowym tylko podbojom, szczęśliwe, jeśli znajdą męża niezbyt głupiego, co pielgrzymkę pożycia małżeńskiego razem z niemi, bez wielkiej przykrości odbyć potrafi. Głowy ich przedstawiają się jako magazyn mód, pełen „nowości“: jedwabów, aksamitów, falban, koronek, i jako skład jubilerski, zawalony bransoletami, broszami i kolczykami, brylantami, rubinami i szmaragdami... Serca ich są przytuliskiem dla zleżałego sentymentalizmu, romantycznych utyskiwań na tak zwane przez nie z cudzoziemska „zapoznanie“ ich wzniosłości i głębi, rozpaczliwych marzeń o grobie, słów, wylewanych obficie na cierpliwy papier, gorzkiej ironii z powodu zawiedzionych nadziei, rozwianych ułud, zasuszonych pamiątek, rozczerwienia dla nie-szczęść wymarzonych, oschłości dla rzeczywistych. A całość? Całość bywa pełna blasku powierzchownego, uprzejmości lekceważącej przekonania, nieznajomości warunków życia istotnego, ciasnego samolubstwa, nadmiernych wymagań, nieumiejętności radzenia sobie w nieszczęściu. Sylwetki kobiet, reprezentujących wszystkie powyższe odcienie umysłowego i uczuciowego nastroju, ukazują się w „Pamiętniku Wacławy“ na tle historii jednego małżeństwa, w którym wady pierwotne zostały potem naprawione. Bogata i utytułowana panna, marząca o brylantach i balach, pokochawszy, wyszła za mąż za skromnego, ale wielkich zdolności pracownika na niwie umysłowej. Niedobre to było małżeństwo; to też rozeszło

się wkrótce: córkę Wacławę oddano na pensję, z której powróciwszy, miała czas jakiś zabawić u matki, później u ojca, a następnie wybrać sobie ten świat, który jej najlepiej do smaku przypadnie. Opis świata matki, jego przesądów, jego wstrętu do ludzi pracy, a protekcyi dla lenistwa, obejmuje większą część powieści. Wacława, rzucana w ten wir nieznający nigdy spoczynku, dała się z początku oszołomić, zakochała się w fałszywej wielkości; ale pamięć ojca i jego listy utrzymały w niej iskrę poszanowania pracy. Gdy tedy błyszczące życie, zamieniło się w nędzę błyszczącą, potrafiła wzgardzić tą wegielacją i przechodząc w sferę nauczycielek, zapewnić sobie i matce znośne, a nawet szczęśliwe, na pracy oparte utrzymanie. Podobnie Emilka i Franciszek — potomkowie również rodzin arystokratycznych — pierwsza w intro-ligatorstwie, drugi w tokarstwie, znaleźli to, co im wytworne a marnotrawne życie przodków odjęło. Matka Wacławy przyzwyczaiła się powoli do tej myśli, że jej córka bakalarstwem na chleb zarabiać musi, i pogodziła się z mężem. Nagrodą poświęceń Wacławy został hrabia Witold, który ofiarował jej swą rękę, a zarazem zapewnienie niemarzonego przez nią nigdy dobrobytu.

W „Pamiętniku Wacławy“ chodziło głównie autorce o przedstawienie różnego rodzaju skrzywień moralnych, wskutek fałszywego wychowania wynikłych, oraz o wskazanie środków ratunku w pracy, czy to umysłowej, czy ręcznej; dlatego też nie chciała uwydatniać trudności, jaką w życiu napotykają ludzie, a w szczególności kobiety, poszukujące pracy; ułatwiła owszem swoim osobistościom, porzucającym błędną drogę, wejście na prawdziwą, nagrodziła ich szczęściem. Ale w rzeczywistości nie każdy, kto chce pracować, pracę znajdzie naprawdę; nie każdy dobry zamiar urzeczywistnić się daje, nie każda chęć staje się czynem. Przejmujący obraz zapasów z nędzą, przy mo-

zolnej pogoni za zarobkiem odmalowała Orzeszkowa w „Marcie.“ Za życia męża bohaterka otoczona była dostatkiem, ale po jego śmierci musiała sprzedać meble, aby opłacić kosztą pogrzebu. Dla córeczki ukochanej gotowa była do wszelkich poświęceń. Łudziła się nadzieją, że łatwo jej będzie znaleźć zarobek. Zaczęła tedy dantejską wędrówkę: dostała lekcye francuszczyzny, ale przekonała się wkrótce, że chociaż mówi tym językiem biegle, nie zna go naukowo tak, żeby z pożytkiem uczyć mogła innych. Zbyt była sumienną, miała wielkie poczucie godności osobistej, ażeby brać pieniądze za pracę bezużyteczną. Ponieważ miała, jak mówiono, talent do rysunków, sądziła, że będzie mogła pracować dla czasopism ilustrowanych. Okazało się, że dyletancka jej biegłość nie wystarczała wymaganiom artystycznym. Poszukiwała pracy tłómaczki z obcych języków, lecz i tu trzeba było długiej i mozolnej wprawy, zanimby zarabiać mogła. U złotnika pracowali wyłącznie mężczyźni; nie chciano dla niej zrobić wyjątku. Musiała zająć się szyciem w szwalni, wyzyskującej pracę robotnic, nie umiejących szyć na maszynie; obrażona niesłusznem posądzeniem i wymówkami chlebowdawczyni, utraciła i to zajęcie. Tymczasem córeczka zachorowała; wszystkie zapasy się wyczerpały i ta kobieta, która niedawno jeszcze odrzucała zapłatę za pracę nieużyteczną, która później przyjmowała ze wstydem wynagrodzenie za czas napróżno stracony, w końcu dla otrzymania pieniędzy na lekarstwo, sama wyciągać zaczęła rękę po jałmużnę, a gdy jej nie dostała, ukradła papierek trzyrułowy i goniona przez policję i tłum, rzuciła się pod koła tramwaju. Dobre jej chęci i zamiary rozbiły się o niedostateczne przygotowanie do walki życiowej, o braki wykształcenia, które było błyskotliwem, ale powierzchnem i nie mogło się stać narzędziem ratunku.

Powieść ta pisana i drukowana była w chwili najwyższego zajęcia się sprawą wyższego, specjalnego kształcenia się kobiet i rozszerzenia pola ich pracy. Zmiana stosunków włościańskich, znaczny ubytek młodzieży męskiej, a stąd niezmierna przewyżka kobiet w ludności, więc niepodobieństwo wyjścia za mąż, wreszcie żywszy prąd oświaty, wiejący z Zachodu i znajdujący w części swój wyraz w działalności Szkoły Głównej w Warszawie, wywołały ten ruch umysłów kobiecych, po raz już trzeci w naszym stuleciu. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, wzięły udział przedewszystkiem w dyskusji o potrzebie i konieczności dania kobietom wykształcenia, któreby im umożliwiło samoistną egzystencję i nie kazało się oglądać na pomocne ramię mężczyzny, któreby zarazem uzdolniło je do kierowania rozumnie wychowaniem dzieci własnych lub cudzych. Orzeszkowa w tych dyskusjach zabrała głos także, zarówno za pośrednictwem powieści, jak i artykułów pomieszczanych w czasopismach. Jej „Kilka słów o kobietach,” drukowane pierwotnie w „Tygodniku mód” (1870), były niejako streszczeniem tych żądań i projektów, jakie znajdowały odgłos w najszerszych kołach społecznych. Zgodnie ze swem usposobieniem, nie wybiegała ona tu daleko po za granice przyzwyczajęń społecznych, nie podawała projektów krańcowych, ale z wielką jasnością myśli, z wielkiem uwzględnieniem warunków życia praktycznego, roztrząsnęła ten tryb edukacji, jaką kobiety otrzymywały dotychczas, i ten szczypty zakres pracy jakiemu się oddawały, wykazała ich niedostateczność i gorąco przemówiła za podniesieniem skali wykształcenia i za wdrożeniem przekonania o niezbędności pracy dla wszystkich kobiet. Nie poprzestała na ogólnikach, ale szczegółowo przedstawiła zarówno program nauk, jak i wyszczególniła zajęcia, którym kobiety z pożytkiem oddawaćby się mogły. Wynikiem nowego trybu wychowania

kobiet miała być reforma stosunków rodzinnych i towarzyskich, nie wskutek zrywania węzłów moralnych, lecz ich silniejszego zaciskania — tylko w innej, niż dawniej, formie.

„Trzeba — pisała Orzeszkowa, kończąc swą pracę — aby uszlachetnione i uświęcone prawdziwą oświatą i pracą, tak rodzina, jak salon, inną, niż dotąd, napełniły się treścią; trzeba, aby mężczyzna czerpał z miłości, przyjaźni, towarzystwa kobiety, nie znudzenie, rozczerowanie, albo niezdrowe rozmarzenie, ale, aby dzieląc z nią ciężar myśli i prac społecznych, wspomagał ją tak, jak był przez nią wspomagany, w uczuciach jej widział, nie przyjemny sposób przepędzenia czasu, ale źródło najczystszej szczęścia, w łączeniu się z nią, nie interes pieniężny, albo zadosćuczynienie chwilowej zachciance, ale wielką spójnią serc i wspólęk umysłów.

„Kiedy kobiety bogate podniosą o wiele skalę swych umysłów i poczną cenić nad wszystko osobistą wartość mężczyzny, polegającą na uczciwości, rozumie i pracy: posagi ich przestaną być punktem dążeń i robienia kariery dla młodych ludzi, którzy, tracąc występnie własne mienie, widzą się zawsze w możności uzyskania go przez bogate małżeństwo.

„Kiedy kobiety uboższe, z pomocą oświaty i pracy, staną na wysokości zacnych pracownic i obywaterek kraju, mężczyźni, wchodzący dopiero na drogi życia, uszanują je, umiłują nie dla zabawy i rozrywki, ale serdecznie i szczerze, a szacunek ten, ta miłość powzięta dla pracownicy-obywatelki, stanie się dla wielu gwiazdą przewodnią, ku obywatelskiej wiodącą pracy.

„A nowe życie kobiet, które zechcą zwrócić się na drogę pracy, nie będzie bynajmniej ani cięższem, ani smutniejszem od tego, jakie dziś wiodą.

„Czyliż raz na kwiaty balowego wienca, zdjęte ze strojnej głowy, spadają gorące krople łez, wytoczonych z pod serca zawodem i zmęczeniem! Czyliż raz, po długich godzinach gwaru, kobieta, ujrzawszy się samotną, widzi oczyma ducha ulatującą od niej młodość wdzięków i serca, a natomiast zbliżającą się ciemną, odartą, bladą marę swej przyszłości, i drżąc z obawy, woła do Boga: ratunku!

„A przecież lepiej jest, uczciwiej i rozumniej podjąć z odwagą ciężar trosk i trudów, przywiązanych do pracowitego istnienia, a czuć się samodzielną, spokojną o zapracowany byt codzienny, spełniającą człowiecze i obywatelskie zadania, niż spędzić część życia w zabawach i łatwych dostatkach, a na całą przyszłość zyskać ubóstwo i nieszczęście, gorzki chleb jałmużny i łzy próżnych żalości“...

Podjęciem sprawy niewieściej w społeczeństwie naszym, oraz pomysłami swoich powieści, autorka zbliżała się do grona pisarzów, stanowiącego tak zwaną wówczas „młodą prasę“ w Warszawie; nie znajdowała atoli wśród niej z początku uznania. Piszący nawet te słowa wyraził kilkakrotnie natenczas surowe zdanie o jej powieściopisarstwie i uzdolnieniu. Dwie były tej obojętności „młodej prasy“ przyczyny: jedna zewnętrzna, druga wewnętrzna. Utwory Orzeszkowej ukazywały się w czasopiśmie, które liczone do zachowawczych, i z którym „młoda prasa“ ostro nieraz polemizowała. Najczęściej pojawiały się one w „Tygodniku mód“ redagowanym przez J. K. Gregorowicza, którego młodzież czciła wprawdzie jako Janka z Bielca, lecz którego poglądów na sprawy społeczne nie podzielała. Prócz tego, „Tygodnik mód“ nie należał do pism zwracających na siebie żywszą uwagę. Stąd wiele rzeczy tam pomieszczonych, jak np. i owe „Kilka słów o kobietach“, nie dochodziło do wiadomości

„młodej prasy.“ A co do samych powieści początkowych Orzeszkowej, zrażały one młodych krytyków swemi artystycznymi niedoborami, rozwlekłością frazeologiczną i brakiem plastyki w odtwarzaniu postaci i sytuacji. Jakkolwiek krytycy owi byli przeciwnikami „sztuki dla sztuki“, jakkolwiek wysoko cenili „tendencję“ powieści; to przecież dość twarde stawiali wymagania pod względem wykonania estetycznego.

Dopiero kiedy zakładano drugi organ prasy postępowej „Niwę“, zwrócono się do Orzeszkowej, jako przedstawicielki tego samego, a przynajmniej bardzo pokrewnego kierunku i poproszono ją o współpracownictwo. Orzeszkowa chętnie na zaproszenie odpowiedziała i zaczęła pomieszczać w „Niwie“ w ciągu r. 1872 i 1873 to listy o literaturze, wymierzone przeciwko tym, co w cywilizacyi nowożytnej widzieli zgubę poezyi, to rozprawę o najpilniejszej potrzebie naszego społeczeństwa, za jaką uważała założenie w kraju szkoły technicznej. Odtąd, lubo Orzeszkowa utrzymywała jeszcze bardzo trwałe stosunki z „Tygodnikiem mód“, gdzie pomieszczała wiele artykułów treści pedagogicznej i społecznej, chociaż wogóle prace swoje drukowała w różnorodnych organach prasy, z wyjątkiem tylko ultra-konserwatywnych, liczono już ją stale do grupy szermierzy idei postępowej, kierunku umiarkowanego.

W tym też mniej więcej czasie, zaczęła się doko-
nywać powolna zmiana w artystycznym trybie tworzenia: dążenie do coraz większej plastyki obrazowania, do coraz większej przedmiotowości w odtwarzaniu ludzi i rzeczy, do coraz większego pogłębiania i usubtelniania pomysłów i ich wykonania. Ten rozwój talentu wpływał w części z naturalnego doskonalenia się zdolności twórczej, w części zaś z rozważnego przypatrzenia się kreacyom obcym, mianowicie francuskim.

III.

Przemiana realizmu Balzakowskiego na t. z. naturalizm datuje się we Francji od czasu pojawienia się „Pani Bovary“ Flaubert’a, a więc już od r. 1855; atoli nazwa sama i rozgłos jej nadany, jest o piętnaście przynajmniej lat późniejszy, kiedy Zola ze swojemi teoretycznemi paradoksami wystąpił, a szeregiem powieści, w systematycznym wydawanych porządku, teorię w praktykę zamieniać zaczął. Miał on pretensyę uczynienia romansu doświadczalnym na podobieństwo wywodów przyrodniczych, z eksperymentu wyciąganych. Eksperymentu w ścisłem znaczeniu nie mógł on naturalnie na duszy ludzkiej, mianowicie obcej, wykonać, ale w każdym razie starał się obserwacyę powieściopisarską, dawniej dorywczą i przypadkową, uczynić o ile można jaknajdokładniejszą, prowadzoną starannie i umiejętnie, a powtórę usiłował wykluczyć z niej wszelkie zgóry powzięte tendencye podmiotowe, któreby treść i zabarwienie dostrzeganych przedmiotów i scen fałszowało, ponieważ temperament artysty, którego pozbyć się niepodobna, już i tak nie pozwala na odtwarzanie rzeczywistości w sposób całkiem przedmiotowy. Nie był on wynalazcą takiego trybu tworzenia artystycznego; cały szereg powieściopisarzy już przed nim stosował go w swoich dziełach; on wygłosił go tylko teoretycznie, z domieszką jaskrawych twierdzeń, któreby na umysłach, do subtelnej analizy nieprzywykłych, mogły zrobić efekt zamierzony. W praktyce powieściopisarskiej nie poszedł on właściwie za hasłem wygłoszonym przez siebie, a przynajmniej nie poszedł za niem całkowicie; częścią ze skłonności, częścią schlebając smakowi czytelników, naturę zacieśnił do grupy objawów zepsucia i rozkładu; lubując się w malowaniu mętów i nicozemności

ludzkiej, lub niemiłych, wstrętnych przedmiotów — z talentem, co prawda, niepospolitym. Jak wiadomo, Zola wywołał wielkie wrażenie, pozyskał ogromną poczytność i wytworzył cały szereg naśladowców, zarówno w swojej ojczyźnie, jak i po za jej granicami.

Orzeszkowa miała już zbyt dobrze wyrobione pojęcie, ażeby się dała pociągnąć bezwzględnie temu ogólnoeuropejskiemu prądowi. Przejęła z niego to tylko, co jest istotnie trwałym nabytkiem sztuki powieściopisarskiej, mianowicie udoskonalenie techniki artystycznej, ale nie wyrzekła się czci dla ideału, nie rozlubowała w obrazowaniu kalektw i chorób moralnych, nie wyrzekła się chęci dodatniego oddziaływania na sprawy społeczne, bo pojmowała i odczuwała głęboko, nietylko człowieka wogóle, ale przede wszystkim potrzeby własnego społeczeństwa. Nie chciała być obojętnym spostrzegaczem, notującym skrętnie bolesne drgnienia na twarzy ludzkiej, ale pragnęła przyjąć z pomocą cierpiącemu, ulżyć mu jego męki przez okazanie, że ją rozumie i jej współczuje.

„Wierzajcie państwo — pisała autorka w jednym ze swych opowiadań — niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać całe, od początku do końca, historye wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych, pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą nie ma w sobie nic wspaniałomyślnego: nie jest ono wcale bezinteresownem. Znajomość bowiem wielu, wielu historyj podobnych stanowi dla człowieka bogactwo serca, dla pisarza — żywy źródło mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyj takich nie ciekaw jest i nieświadom: uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie.“

W uwadze tej mieści się charakterystyka treści i dążności wszystkich niemal utworów Orzeszkowej z tej dru-

giej doby jej działalności, kiedy ciągle udoskonalając sposób przedstawienia obranego tematu, wzięła w pierś swą „magnetycznie“ bóle i cierpienia ogółu społecznego, czy to w pałacach pańskich i dworach szlacheckich, czy w ciasnych mieszkaniach miejskich i biurach urzędniczych, czy w dusznej chacie wiejskiej. (W malowaniu tych stosunków, autorka coraz częściej osobę swoją i poglądy usuwała na bok, każąc postaciom i wypadkom przemawiać samym za siebie, a przemawiać tak wyraźnie i tak jasno, że objaśnienia autorskie stawały się zgoła zbitecznymi. Co ważniejsza, zaczęła Orzeszkowa rozpatrywać uczucia i namiętności, jako siły potężne, jako dźwignie życia duchowego: śledziła ich początek i rozwój, nie wahała się wykazywać ich zboczeń i krzywizn i nie poświęcała dla efektu — żadnego szczegółu prawdziwego, dobrze zaobserwowanego. Jeżeli np. wystawia miłość macierzyńską, to pamięta doskonale, że uczucie to, pomimo całej podniosłości swojej, objawić się może, jako zaślepienie na wady dzieci, jako pobbazanie zdrożnym ich zachciankom, jako motor, który, działając zwykle zbawczo, niekiedy może zepsuć i zgruchotać istotę najdroższą. Z drugiej zaś strony nie występuje autorka, jako natrętna moralistka, któraby taką ślepą miłość macierzyńską chciała co najprędzej, może natychmiastowo, wyrwać z sere matek i w tym celu starała się jaknajsympatyczniej przedstawić te osoby, które przestroga dla innych być mają. I owszem miłość ta, ślepa i bezbrzeżna, jest teraz w jej przedstawieniu potężną i wspinałą, jak każda siła rozwijająca się swobodnie w całej pełni swojej.

Najtrudniej niewątpliwie taką przedmiotowość zachować w malowaniu osób, które nie są nam miłe, a społecznie szkodliwe, nie mając na swe usprawiedliwienie ani wielkich namiętności, ani wielkich nieszczęść. W przedstawieniu egoizmu, zazwyczaj nawet u wielkich pisarzy,

bywają rysy karykaturalne. Otóż Orzeszkowa i w tym względzie nadzwyczaj subtelnie, z prawdziwym artystem radzić sobie umiała. Za przykład tego może posłużyć obrazek p. n. „Pani Luiza,” drukowany po raz pierwszy w r. 1875, należący zatem do najwcześniejszych przejawów nowego u Orzeszkowej sposobu traktowania tematów. Pani Luiza była to osoba rodu arystokratycznego, którą zarówno majątek, jak i przeszłość, powoływały do jakiejś działalności pożytecznej, ale która wcześniej bardzo całkiem inny wyrobiła sobie ideał życia. Wychowana po cudzoziemsku, najchętniej przebywała zagranicą, grunt ojczysty uważała jedynie za kopalnię, położoną w kraju dzikim, którą należało wyeksploatować w celu rozwinięcia umysłu, udelikatnienia serca i zjednoczenia się z ludźmi, krewnymi, nie pochodzeniem, ale usposobieniem i ukształceniem. Wchłaniała więc w siebie wszystkie wyziewy cywilizacji uczuciowej, umiała nader zręcznie, subtelnie i dowcipnie rozprawiać o arcydziełach muzyki, malarstwa i poezji, lubiła marzyć i przebywać w krainach fantazji i wzruszeń serdecznych. Szukała też ideału i w życiu; często zdawało się jej, że już go znalazła, więc się zapalała do niego uwielbieniem i miłością; niebawem wszakże przekonywała się o swojej pomyłce; nie traciła mimo to nadziei znalezienia go raz jeszcze. Ta nadzieja stała się wreszcie stałą cechą jej usposobienia; sama kochała się w dramatyzowaniu swej pogoni za ideałem i w niem zapewne rozkosz najwyższą znajdowała. Dla przypodobania się chwilowemu ideałowi swemu, gotowa nawet była do poświęceń, jeżeli zwłaszcza spodziewała się, że jej ofiara stanie się głośną, że o niej mówić będą w salonach, że zajaśnieje bohaterstwem, choćby przez tydzień... Najzawilszy akord, najmisterniejsza linijka, najdelikatniejszy światłocień, w kompozycjach muzycznych lub malarskich zawarty, były dla niej zupełnie

zrozumiałemi; ale wszelkie pojęcia naukowe, wszelki najprostszy, powszedni fakt życiowy, stawały przed nią w postaci sfinksa; na sfinksa tego patrzyła ona przez chwilę swemi pięknymi, zdumieniem rozszerzonymi oczyma, a potem wymawiała zcicha: nie rozumiem — i najlżejszego nie zadając sobie trudu, aby zrozumieć, oddalała się od niepojętej dla siebie zagadki, ze smętnym uśmiechem na ustach i wzgardliwym wzruszeniem ramion. Stąd interesa pieniężne budziły w niej wstręt ogromny; nie rozumiała ich ani odrobiny, wiedziała tylko, że musi mieć tyle a tyle, ażeby mogła uczynić zadość potrzebom umysłu swego i serca. Gdy jej pieniędzy zabrakło, gotowa była popełnić niesprawiedliwość, skrzywdzić uboższych od siebie. W takim stanie niepodobna już było przemówić, nie tylko do jej rozumu, ale nawet do serca i sumienia. Odpowiadała wówczas na wszelkie przełożenia, że jest kobietą, że się na interesach nie zna, i nie tała się wcale ze swym egoizmem, choć go starała się zwykłym sobie sposobem ustroić w szaty poświęcenia. Nie była wszakże ani chciwą, ani skąpą; kto chciał i umiał, ten korzystał z jej nieznajomości interesów i z jej łatwowierności; potrzebował jedynie poruszyć potężną duszy jej sprężynę: miłość własną.

W całej tej charakterystyce „Pani Luizy“ nigdzie niema ani słowa potępienia; autorka nie gromadzi rysów ujemnych jednych na drugie; daje z całkowitym spokojem poznać i takie strony, które, wzięte same w sobie, były niepospolitemi zaletami; ani na chwilę nie pozwala przemówić moralizatorskiemu oburzeniu; czujemy, że mamy przed sobą portret zdjęty z rzeczywistości, a oddany z taką siłą i prawdą, jaką tylko istotny artyzm posiada. W wyobraźni czytelnika, dzięki talentowi autorki, Pani Luiza staje żywa; poznajemy ją całkowicie, a nie z tej tylko strony, któraby potrzebną była dla uwy-

datnienia tendencji; poznajemy jej ruchy, gięsta, akcent mowy, nastrój duszy, zwykły sposób patrzenia na rzeczy i zachowanie się w razach nadzwyczajnych. Wszystko w jej postaci ma tę naturalność i spójność, jaką, mimowoli nawet, znamionuje osoby rzeczywiste, a jaką w sztuce przedstawić można jedynie na podstawie obserwacji szczegółowej i dokładnej, oraz przy pomocy wielkiego talentu plastycznego. Sytuacje, w których ona występuje, nie mają już na celu, jak w powieściach pierwszej doby, uwydatnienia tendencji, lecz są naturalnym, koniecznym wpływem charakteru przedstawionego i zastępują w całości owe długie rekomendacje, jakimi poprzedzali dawniejsi autorowie wystąpienie danej osoby na scenę. Autorka, zgodnie z zasadą realistycznego traktowania rzeczy, nie zapuszcza się po staremu w analizę subiektywną, nie mówi od siebie, co w umyśle postaci przez nią stworzonej zachodziło, ale obrawszy odpowiednią chwilę, daje poznać jej głębi za pośrednictwem rozmowy, która znowuż, jako dobrze zaobserwowana, odbija sobą nie tylko nastrój duchowy, ale i cechy zewnętrzne, tj. użycie pewnych zwrotów, pewnych wyrazów, znamionujących tę osobistość.

Całość artystyczna „Pani Luizy“ jest harmonijną, spójną we wszystkich prawie częściach swoich. Tylko w jednym epizodzie, tj. w obrazku trzech kumoszek wiejskich, harmonia ta się psuje wskutek przeciągnięcia rysów w karykaturę. Obrazek ten przypominał jeszcze dawniejszą manierę Orzeszkowej, a mianowicie najmniej udatną z jej powieści p. t. „Cnotliwi.“

Realizm w malowaniu ludzi i scen, doskonałość układu najpierw się przejawiała u naszej autorki w obrazkach i nowellach, drobnych rozmiarami, objętych obecnie, już to napisem ogólnym: „Z różnych sfer,“ już to pod osobnemi tytułami wydanych, jak „Panna Antonina,“ „W zimowy wieczór.“ Treść i dążność ich wyrazić można słowami

Taine'a o romansach Dickensa: „W gruncie rzeczy sprowadzają się one do jednego zdania, a mianowicie: bądźcie dobrzy i kochajcie; radość prawdziwa istnieje tylko we wzruszeniach serca; uczuciowość jest całym człowiekiem. Zostawcie naukę uczonym, dumę szlachcie, zbytek bogaczom; miejcie litość nad nędzą pokorną i powszednią; istota najmniejsza i najbardziej pogardzona może sama jedna tyle być warta, co tysiące istot potężnych i pysznych. Strzeżcie się, byście nie zdeptali dusz delikatnych, rozkwitających we wszystkich stanach, pod wszelakimi ubiorami, w każdej porze wieku. Wierzcie, że ludzkość, litość, przebaczenie, są to rzeczy w człowieku najpiękniejsze; wierzcie, że rzewność, wylanie się, rozczulenie, łzy, są to rzeczy najśłodsze w świecie. Nie to nie znaczy żyć; mało znaczy być potężnym, uczonym, sławnym; nie dosyć jest być użytecznym. Ten tylko żył i ten tylko jest człowiekiem, kto płakał na wspomnienie dobrodziejstwa, jakie wyświadczył, albo jakie odebrał.“¹⁾ Dodać tylko do słów tych potrzeba, że wśród rozrzewnienia, jakie obrazki Orzeszkowej wywołują, nie popadamy bynajmniej w marzycielskie krainy sentymentalności załzawionej, a mimo to z gruntu fałszywej, albo w grzązkie niziny rozczulenia i rozmazgajenia, któreby odbierało hart duszy i czyniło ją do działania niezdolną. Wszystkie uczucia miękkie, delikatne, serdeczne, które autorka maluje, możemy rozpatrywać na chłodno, analizować krytycznie, a przecież nie rozpląną się one we mgłę, nie rozdziwiczają się tonami fałszywemi; ale zawsze i wszędzie głęboko wstrząsać będą duszą, gdyż je poczerpnięto z jej głębi. Czy to będzie pani sędzina, która niegdyś opływała w dostatki, a potem, dopóki „oczy jej nie uciekły“ robi serwety, koldry, patarafki, ażeby na

¹⁾ Histoire de la littérature anglaise, t. V, str. 63, 64 (wyd. 1878).

szklanke mleka zarobić i podzielić się nią jeszcze z sierotą, ucząc ją przebaczenia dla bliźnich; czy nieszczęśliwy sierota, pojony w dzieciństwie przez macochę, dla uspokojenia, odwarem makowym, pracujący i dla żony, która go oszukiwała, i dla tego, co ją uwiódł, pracujący bez wytechnienia, męczennik obowiązków dobrowolnie podjętych i pozbawiony na starość owoców swej pracy długoletniej, a jednak tem nie zrażony; czy też żyd ograniczony i biedny, ale umiejący odczuć głęboko utwór sztuki, w którym uczucia, pragnienia i nadzieje całego narodu zostały przedstawione, itp. itp. — zawsze i wszędzie pod skorupą niepozorną, a więc lekceważoną, ukazuje się dusza choć w jednym kierunku, choć w jednym uczuciu wielka i potężna, wzniosła, choć cicha, pokorna, śmieszna często, lecz sympatyczna.

W większych utworach Orzeszkowa nie tak łatwo i nie tak rychło osiągnęła ten stopień doskonałości artystycznej, jaką podziwiamy w jej drobnych obrazkach. Zazwyczaj pojedyncze postacie i sytuacje są kreślone zgodnie z prawdą, realistycznie, przedmiotowo, ale układ bywa albo dowolnym, albo też, i to najczęściej, niezharmonizowanym w częściach. Parotomowej kompozycji, wolnej od wad artystycznych w układzie, Orzeszkowa nie dała dotychczas żadnej, bo nawet najznakomitsze w szczególach i pod względem myśli przewodniej, szwankują, jako całość; tomowych natomiast powieści, stanowiących wykończone dzieła sztuki, napisała już kilka.

Co do treści w utworach Orzeszkowej z tej doby, znajdujemy odtworzone postaci i sceny ze wszystkich warstw społecznych: arystokracja, szlachta zamożna, szlachta biedna, „okoliczna“, urzędnicy, kupcy, żydzi, chłopci przesuwają się w jej powieściach wielkim korowodem, w całej pełni życia, ze wszystkimi jego znamionami, z krótkotrwałem weselem, a długim, a dojmującym smu-

tkiem. Autorka z refleksyjnego usposobienia swego skłonna jest zawsze do zagłębiania się pod powierzchnię objawów, do badania gruntu rzeczy; a dyagnoza taka nie mogła jej natchnąć swobodnym optymizmem w ocenianiu stosunków ludzkich wogóle, a naszych w szczególności. Wszystkie ujemne strony społeczeństwa naszego: lekkomyślność, niezaradność, gonienie za łatwą zabawą, unikanie rachunku, spuszczenie się na los, czy Opatrzność, szybki spadek nastroju od bezkrytycznego entuzjazmu do zupełnego zwątpienia w swe siły, poddawanie się wpływom obcym i zatracanie cech rodowych — wszystko to boleśnie odczuwa powieściopisarka, nie będąca i nie chcąca być aparatem fotograficznym, a boleść jej musiała się odbić w jej utworach. Nie powiększa ona teraz dla celów tendencyjnych rozmiaru złego, ale już to, co zaobserwowała, wystarcza do powleczenia smutną barwą jej obrazów artystycznych. A gdy dodamy jeszcze do tego zbieg okoliczności fatalnych, wśród których społeczne pokolenie żyć musi, to nie będziemy się dziwić, że nad temi obrazami nie unosi się słońce południowe, lecz po większej części luna zachodu, a niekiedy tylko brzask jutrzeński. Bo smutek w nich jest, ale nie rozpacz. Autorka nie doszła do tego przekonania, że nie ma już ratunku, nie stała się pesymistką bezwzględną, lecz owszem stara się budzić otuchę w zwątpiałych, dodać im bodźca do pracy, do dźwigania się.

Obrazy kreślone przez Orzeszkową w tej dobie są ściśle umiejscowione; wskutek zasady realizmu, iż należy to tylko malować, co się dokładnie poznało, nie wybiega ona (z wyjątkiem powieści historycznych) po za granice prowincyi, w której mieszka, i którą poznać, objawy jej życia zgłębić miała sposobność.

Do żadnej z warstw społecznych nie czuje nasza powieściopisarka jakiegoś doktrynerskiego uprzedzenia;

nie wychwala ani gani żadnej kosztem innych; pragnę-
łaby, ażeby wszystkie wspólnie i zgodnie działały na rzecz
dobra ogólnego; z obserwacyj jej wszakże w okolicy naj-
lepiej poznanej wypadło, że arystokracja najbardziej jest
wymarodowioną, najwięcej zwyrodniałą, i najmniej przed-
stawia warunków odrodzenia się. To też, czy w powie-
ściach przeważnie malowaniu tej warstwy poświęconych,
jak: „Pompalińscy“, „Pierwotni“, czy też tam, gdzie przed-
stawiciele jej wchodzą epizodycznie, odgrywa ona rolę
smutkiem przejmującą serce. Czasami wydaje się, jakoby
autorka, nie obraz przedmiotowy, lecz satyrę kreśliła; lecz
być może, miała przed sobą egzemplarze, jakie w in-
nych częściach kraju nie łatwo spotkać można.

W przedstawieniu szlachty Orzeszkowa uwydatnia
wiele pięknych, sympatycznych przymiotów: serdeczność,
gościnność, szlachetne porywy, zdolności niepospolite, ale
obok nich i wady, które w związku ze zmianą ekonomi-
czną, dokonaną przez uwłaszczenie chłopów, i z innemi oko-
licznościami natury ogólnej, doprowadzają większą wła-
sność ziemską do ruiny. Powieściopisarka nasza pierwsza
wystawiła całą grozę położenia; jakkolwiek już Krasze-
wski w „Komediantach“ (1851) podobny upadek domu
szlacheckiego odmalował, to przecież nie myślał jeszcze
uogólniać swych spostrzeżeń; Orzeszkowa zaś w „Elim
Makowerze“ (1875), skupiwszy dzieje kilku rodzin, zazna-
czyła masowe przechodzenie ziemi w ręce obce, wska-
zując, jak zręczni ajenci umieli wyzyskiwać słabostki i nie-
rozum szlachty, by ją pozbawiać jedyne go gruntu, na
którym większość istnienie swe przedłużyć by mogła. Z ca-
łego szeregu przedstawicieli szlachty, znakomicie schara-
kteryzowanych, jeden tylko Mieczysław Orchowski utrzy-
muje się przy kawałku ziemi rodzinnej, zawierając sojusz
z Elim Makowerem, którego cierpienie, sprawione przez
własnego jego syna, oraz nauki sędziwego ojca, wyszła-

chetniły. W „Rodzinie Brochwiczów“ podobny temat wywołuje wskazówkę, żeby ci, co już w żaden sposób na roli utrzymać się nie mogą, imali się handlu i nauczywszy się oszczędności, rachuby i pracowitości, stali się w innej sferze pożytecznymi członkami społeczeństwa. W powieści „Nad Niemnem“ mamy postać świetnie wykonaną, sylwetkę szlachcica (Benedykta Korczyńskiego), który zajęty myślą pozostawienia potomkom tego kawalka ziemi, jaki mu przodkowie zostawili, oddał się jej z taką wyłącznością, że na czas przynajmniej o dalej sięgających dążnościach zapomniał. Przed laty był on entuzystą, hojnie wśród zbierających się w domu jego tłumów rozszerzający „hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzecзки“ dobru ogółu poświęcone. Gdy się nadzieje rozbiły, gdy i osobiście przez swą chorowitą i chorobliwą żonę udręczeń samych doznawał, zamknął się w sobie i oddał się pracy około roli, pograżył się w nią „z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwytą i ściska jedyną deskę ze straskanego statku pozostałą“... W jeden punkt zapatrzony, inne z oczu stracił, w jednym namiętnem usiłowaniu skupił wszystkie siły i na nic innego już mu sił nie stało. „Gdy nie mógł żyć tak, jakby pragnął; gdy potem już i pragnienie innego życia w nim gasło; gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały; gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły; gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potem rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata: — długo we środku mu coś płakało... Z czasem przywykł do wszystkiego: tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war, co chwila wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą.“ Osamotnienie, brak duszy pokrewnej, „przed którąby mógł śmiało, ufnie wszystko, co ma w sobie, pokazać, pociechy, rady, a czasem

i ratunku wezwać,“ uczyniły go samolubem napozór, jedynie o zachowanie ziemi dbałym. Ale ziarna szlachetności, przed laty zasiane, nie były płonne; zgłuszone w rozwoju chwastami życia, nie zmarniały przecież zupełnie. Trzeba tylko było technienia nowej wiosny. Takim technieniem były dla Korczyńskiego słowa i zachowanie się syna jego Witolda, którego ustrzegł od zgubnych wpływów, nie oddzielając go od reszty ludności, piedestałów mu nie budując, na królewicza i samoluba go nie chowając. Było to dziecko — jak mówi autorka — „dnia burzliwego i ciemnej nocy,“ rozwinięte duchowo „z męczeńskim pospiechem,“ odczuwające „bezbrzeżnem spólcuciem“ cierpienia powszechnie, idące w ciemne i ciasne podziemia „maluczkich mrówek i kretów ziemi,“ by nieść pociechę, ratować, uczyć, budzić, wskrzeszać. Widział w nim ojciec odrodzenie tych ideałów, którym sam niegdyś służył, a pod wpływem wspaniałej z nim rozmowy uznał swą winę w ślimaczem schowaniu się do skorupy interesów tylko indywidualnych i rodzinnych, w odsunięciu się i odgraniczeniu od najbliższych sąsiadów, z którymi dawniej działał wspólnie, od szlachty „okolicznej.“

Powieść „Nad Niemnem,“ która tak powszechnie wywołała uwielbienie, jest przeważnie poświęcona obrazowaniu życia tej szlachty „okolicznej.“ Orzeszkowa poznała ją i zbadała pod każdym względem, przebywając kilka z rzędu letnich wakacyj w Miniewiczach, pięknej wiosce nad samym Niemnem położonej, a zamieszkaanej przez ową szlachtę.

Pierwszy Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ ukazał nam ten żywioł społeczny, ale ukazał tylko na chwilę, nie wchodząc w szczegóły jego życia codziennego; odmalował nam butę tej szlachty wobec chłopów, jej przechwalanie się herbami, jej kłótniwość o drobnostki, jej porywczosć i nieopatrzność w sądzeniu ludzi i w działa-

niu, słabość jej umysłowego rozwinięcia, ale zarazem jej serca najlepsze, jej gościnność i łatwość opamiętania się w złem. Potem Kraszewski w drobnych obrazkach i powiastkach („Osada sernicka,“ „Krzyż na rozstajnych drogach,“ „Milion posagu“) już nie z łagodną i serdeczną ironią wieszcza, lecz z żartobliwym, lub szydlerczym uśmiechem skreślił przeważnie ich śmieszności, nie wgładając głębiej w ich serca i umysły i nie roztrząsając obrazu ich życia na szerszem płótnie. Dopiero u Orzeszkowej znajdujemy odtworzoną ich dolę i niedolę, radość i smutek, uczucia i myśli tej klasy, co pod względem materialnym, a nawet umysłowym, zbliżona jest do chłopów, a pod względem obyczajowym i moralnym ciąży ku szlachcie. Pokochała ona tych ludzi serdecznie, nie ukrywając jednak, ani przed sobą, ani przed czytelnikami, ich wad i ułomności; pragnęłaby wpłynąć na rozjaśnienie ich umysłów i uszlachetnienie ich serc, a zapatrując się na nich ze stanowiska artystycznego i obywatelskiego, otoczyła ich w powieści takim urokiem poetycznym, nie kłamiącym jednak rzeczywistości, że się myśl czytelnika zwraca ku nim miłośnie. Spółczucie osobiste autorki dla świata przez nią malowanego widnieje tu wszędzie, ale kierowane dążnością do osiągnięcia prawdy, oraz rozmysłem artystycznym, nie przyczynia się do sfalszowania tego: co oczy widziały, uszy słyszały, a rozum przemyślił. Czy przedstawia zagrodę szlachecką czy człowieka, robotę czy zabawę, miłość czy kłótnię, bierze autorka ze skarbnicy pamięci, czy też nawet z notatek, szczegóły długo i pilnie obserwowane, układa je w kombinacye napotykanie najczęściej w życiu, nie posługując się nigdzie nadzwyczajnością i dziwnym zbiegiem wypadków — a jednak całość stąd powstała, nietylko jest piękna pięknem charakterystycznym, ale i pociągająca dla serca. Naturalnie, jako realistka, Orzeszkowa nie darzy swych ulubieńców

papierową doskonałością. Są wśród tej sfery zaściankowej ludzie śmieszni i źli, są wady przykre i drażniące, jest pieniactwo, zaciętość, chciwość; ale ponieważ ujemności te odmalowano — jak i w „Panu Tadeuszu“ — z miłością dla całej sfery; ponieważ autorka nie patrzy na swe osoby z góry, lecz przejmuje się do głębi ich życiem: stąd i na czytelnika spływa pogoda, błogie uczucie, że pomimo wszystko, można kochać tych ludzi. To strona uczuciowa. A strona estetyczna niemniejszym przejmuje zadowoleniem. Przejawy uczuć i myśli tych ludzi, zachowanie się ich i mowa są nacechowane taką oryginalnością, taką świeżością, że z lekceważeniem możemy odrzucić zdanie tych pesymistów w zakresie sztuki, co się niczego nowego dowiedzieć od powieściopisarzów nie spodziewają.

Z tą szlachtą okoliczną w najbliższym stosunku znajdują się chłopci, stykający się z nią w wielu wsiach przetrzeniowo, ale oddzieleni od niej obyczajem, mową, i dążnościami. Chłopów tych wystudowała Orzeszkowa również dopiero w tej dobie działalności swojej, gdyż nieliczne dawniejsze jej obrazki z życia wieśniaków były ogólnikowe i nie posiadały cech znamiennych pewnej określonej okolicy. Teraz przeciwnie, zarówno pod względem mieszkania, odzieży, zajęć i zabaw, jakoteż pod względem mowy, wyobrażeń, uczuć, obyczajów, tak one szczegółowo i wiernie są kreślone, iż mogłyby nawet służyć za materiał etnograficzny. Jak Kraszewski chłopów wołyńskich, a T. T. Jeż podolskich dał nam poznać w powieści, tak Orzeszkowa, z większą od nich ścisłością, odmalowała białoruskich. Bierze ich oczywiście w dobie obecnej, jako właścicieli drobnych kawałków ziemi, rozpatruje ich stosunki rodzinne, stopień ich wykształcenia, przesady i zabobony, wchodzi w głąb ich duszy, starając

się przedstawić „czystą treść człowieka“ w formie objawów charakterystycznych, wziętych wprost z życia. Nie ukrywa bynajmniej ich ciemnoty, ich brutalnych nieraz popędów, ich grubych obyczajów, skłonności do swarów i bójek, pijaństwa, chciwości itp., ale wykrywa także ich głębokie uczucia, ich surowe pojęcie o uczciwości, a niekiedy bardzo poważny i bardzo subtelny nastrój. W pierwszej powieści wiejskiej z tej doby, w „Nizinach“ znać było jeszcze trochę sentymentalności w przedstawieniu cierpień biednej wieśniaczki-matki, ale już w „Dziurdziach“ rozwinęła autorka rozległą skalę uczuć różnorodnych, a pełnych prawdy, prawie wszechstronnie przedstawiając życie chłopskie w chacie, na polu, w karczmie, w kościele na jarmarku, wyprowadzając całą galerię postaci chłopskich z bardzo szczęśliwie i bystro pochwycenymi różnicami usposobień i charakterów. Nowella „W zimowy wieczór“ przyniosła prócz świetnie oddanych realistycznie szczegółów zaimprovizowanej wieczornicy, treść pełną dramatyczności wewnętrznej i wysoki polot poetyczny. W „Chamie“ przeważa strona psychologiczna nad malowniczą; dwie figury główne (Paweł i Franka) są po mistrzowsku nakreślone, zarówno pod względem charakterystyki zewnętrznej, jak i wewnętrznej.

W najnowszym utworze, który obecnie wychodzi z druku, w „Bene nati“ Orzeszkowa po raz pierwszy silniej uwidatniła, zaznaczone tylko w „Chamie“, przeciwieństwo szlachty okolicznej i chłopów, i to nie w zwykłych warunkach istnienia obu tych warstw, lecz w stosunku szlachcianki, namiętnej Salusi, do chłopą wykształconego; tem silniej wystąpiły tu na jaw uprzedzenia jednej klasy do drugiej, stające się silnych powikłań dramatycznych powodem.

Z życia miejskiego kilka tylko stron pochwyciła nasza powieściopisarka i odmalowała w swoich utworach.

Ściśle miejskiego żywiołu, z rodu i zajęcia, jest w nich bardzo mało; rzemieślnicy, kupecy, przemysłowcy, ukazują się tylko epizodycznie — albo, jak w „Maryi,” choć przemysłowiec gra jedną z ról głównych, w gruncie rzeczy cały interes skupia się na bohaterce tytułowej, tak, że powieść przybiera przeważnie charakter psychologiczny.

Miasto w powieściach Orzeszkowej z tej drugiej doby jest głównie przytułkiem zbankrutowanych rodzin, jednostek ze sfery szlacheckiej, szukających środków utrzymania, już to w biurach rządowych, w których nędzne, nader podrzędne zajmują stanowisko, już to w pracy ręcznej, lub w służbie prywatnej. Biurowe stosunki i ich oddziaływanie przygnębiające, a w części rozkładowe, przedstawiła Orzeszkowa w powieści „Zygmunt Ławicz i jego koledzy.” Proletaryat miejski, w różnorodnych stopniach biedy i nieszczęścia, z różnych warstw społecznych pochodzący, występuje w utworach takich, jak: „Sylwek cmentarnik,” „Widma,” „Jędza.” Orzeszkowa, śledząc pilnie przejawy życia, pierwsza też u nas zwróciła uwagę na przenikające do nas skądinąd prądy nihilistyczno-socyalne. Już w „Elim Makowerze” wystawiła w Porockim najnikczemniejszy okaz człowieka, który dla pokrycia swych niskich instynktów, zużytkowuje hasła niby-naukowe, a w synu Elego i w Klemensie — kielkujących kosmopolitów, spragnionych obłowy. W „Sylwku” i „Widmach” z większą przedmiotowością, ale zarazem z gorącym uczuciem, odtworzyła grunt, na którym powstają i wyrabiają się dążności sprzeczne z tradycjami, a ślepo lgnące do doktryn, które obiecują odrodzenie ludzkości.

Drugim żywiołem miejskim, szczegółowiej przez Orzeszkową przedstawionym, są żydzi. Autorka nasza poszła za poczuciem sprawiedliwości czysto-ludzkiej, a zarazem za tą poważną tradycją obywatelską, która u nas

od wieku zeszłego wielu miała znakomitych reprezentatów, w powieści zaś nowszej wyrażoną została przez Kraszewskiego. Nie odtrącać i lekceważyć, ale skupiać i jednoczyć siły społeczne — oto zadanie rozumnych obywateli. Nie trzeba jednakże mniemać, iż autorka dla osiągnięcia zamierzonego przez tendencję skutku, przemilczeć pragnie wady i niemiłe właściwości tej klasy ludzi. Prawda, że częściej kreśli charaktery dodatnie, aniżeli ujemne, nie pomija ich wszakże, ani w „Elim Makowerze“, ani w drobnych obrazkach takich, jak „Silny Samson“, „Daj kwiatek“, „Gedali“, ani w najznakomitszym utworze, do tej kategorii należącym, w „Meirze Ezofowiczu“, w którym najwielostronniej odmalowała różnorodne usposobienia, pojęcia i dążności żydów małomiasteczkowych, by na tem tle wystawić piękną, sympatyczną, urokiem poezyi owianą postać bohatera tytułowego, dążącego przebojem ku światłu i prawdzie.

Oddzielną grupę w twórczości Orzeszkowej stanowią powieści na tle dziejów starożytnych osnute. Cokolwiekby powiedzieli przeciwnicy romansu historycznego, zgodzić się przecież muszą na to, że z psychologicznego punktu widzenia można zrozumieć skłonność tych autorów, którzy, zrażeni i zniechęceni na czas jakiś do stosunków świata dzisiejszego, uciekają w przeszłość, by w niej szukać, czy ochłody, czy też poprostu odmiennych wrażeń, a powoławszy potęgą wyobraźni, zasilonej wiedzą, zamarłe kształty nanowo do życia, chcą się spostrzeżeniami swemi i nastrojem podzielić z ogółem czytającym. Trzeba się niewątpliwie zgodzić z owymi przeciwnikami, że niepodobieństwem jest odtworzyć tę przeszłość w całej jej prawdzie, że niepodobieństwem jest ustrzedz się przenoszenia myśli i uczuć nowoczesnych do duszy ludzi z czasów odległych, ale niepodobna też przystać na całkowite potępienie usiłowań, mających na celu takie artystyczne

wskrzeszanie, a nawet dodać wypada, że w pewnych położeniach bywają romanse historyczne jedynym literackim środkiem do przedstawienia licznych a ważnych stron życia, których uświadomienie jest dla społeczeństwa nader potrzebnem, a artyście daje sposobność do rozwinięcia takich cech talentu, które w razie przeciwnym musiałyby zostać nieużytkowane i niepoznane. Za owę przymieszkę idei społecznych, nawet gniewać się niema powodu, a czasami istotna za nią wdzięczność należy się autorowi. Rozumie się, mówię to, nie z estetycznego, lecz ze społecznego stanowiska.

Orzeszkowa, po części dla odwrócenia na chwilę oczu od rzeczywistości, która ją smutkiem przejmowała, po części pod wpływem powieści Ebersa „Uarda,” wzięła się do studyów nad klasyczną starożytnością, sprowadziła sobie wspaniałe wydania Didota autorów greckich i łacińskich, jak niemniej wiele dzieł pomocniczych, i z zapalem oddała się lekturze. Wynikiem rozmyślań nad temi, pociągającemi każdy umysł artystyczny, czasami i ludźmi były najpierw drobne opowiadania i dyalogi, na tle przeważnie rzymskiem osnute, a zebrane obecnie w jednym tomie, p. n. „Stare obrazki.” Potem nastąpiły dwie (jak dotychczas) kompozycje większe, z których „Mirtala” przedstawia stosunki ludu żydowskiego pod panowaniem rzymskiem, wkrótce po skończeniu się pamiętnej walki za Wespazjana, a „Czciciel potęgi,” — stosunki Lidyjczyków podbitych do Persów za Kserksesa. Zarówno szerokością pomysłu, jak pełnym skupieniem i siłą wewnętrznej spokojem wykonania, „Mirtala” należy do najcelniejszych, najwięcej pobudzających do myślenia i najwięcej rozkoszy estetycznej dających kreacyj Orzeszkowej. Mniej piękną artystycznie, lecz pod względem społecznym nie mniej ważną powieścią jest „Czciciel potęgi,” srogo, dotkliwie

ukarani za kult siły i bogactw. Pod względem tragiczności należy ona do najbardziej wstrząsających.

* * *

Orzeszkowa nie jest tylko powieściopisarką, ale przede wszystkim obywatelką, bo i jej autorska działalność główny bodziec miała w poczuciu obowiązku i w pragnieniu dobra dla społeczeństwa. Nie należy ona do tych gabinetowych pisarzy, którzy po za książką i piórem nie widzą dla siebie pola działania, ale przeciwnie przejmując się gorąco każdą donioślejszą sprawą społeczną, pragnęłyby do niej czynną dłoń przyłożyć. Ilekroć okoliczności i warunki pozwoliły, nie omieszkła hasła swych, głoszonych w dziełach, zamieniać w czyn, ponosząc nieraz ciężkie ofiary materyalne, że już nie o pracy jej nie wspomnę. Byłoby rzeczą niewłaściwą, na teraz przynajmniej, gdybym ujawniał to, co jest pięknem i wzruszającym w zakresie jej życia prywatnego; ale niepodobna pominąć milczeniem czynów, które z natury rzeczy głośniejsze stały.

A przede wszystkim przypomnieć potrzeba jej działalność, jako założycielki księgarni nakładowej w Wilnie (1880—1882), mającej na celu rozbudzenie żywszego ruchu umysłowego w mieście i prowincyi, posiadających tak świetne za sobą literackie tradycje. Krótko istniała ta księgarnia; przemożne okoliczności zmusiły ją zamknąć, narażając na straty niepowetowane. Ale i w tym krótkim okresie działania księgarnia ta, prócz kilkudziesięciu książek i broszur, świeżo przez nią w obieg puszczonej, przyczyniła się także do ożywienia handlu księgarskiego i czytelnictwa.

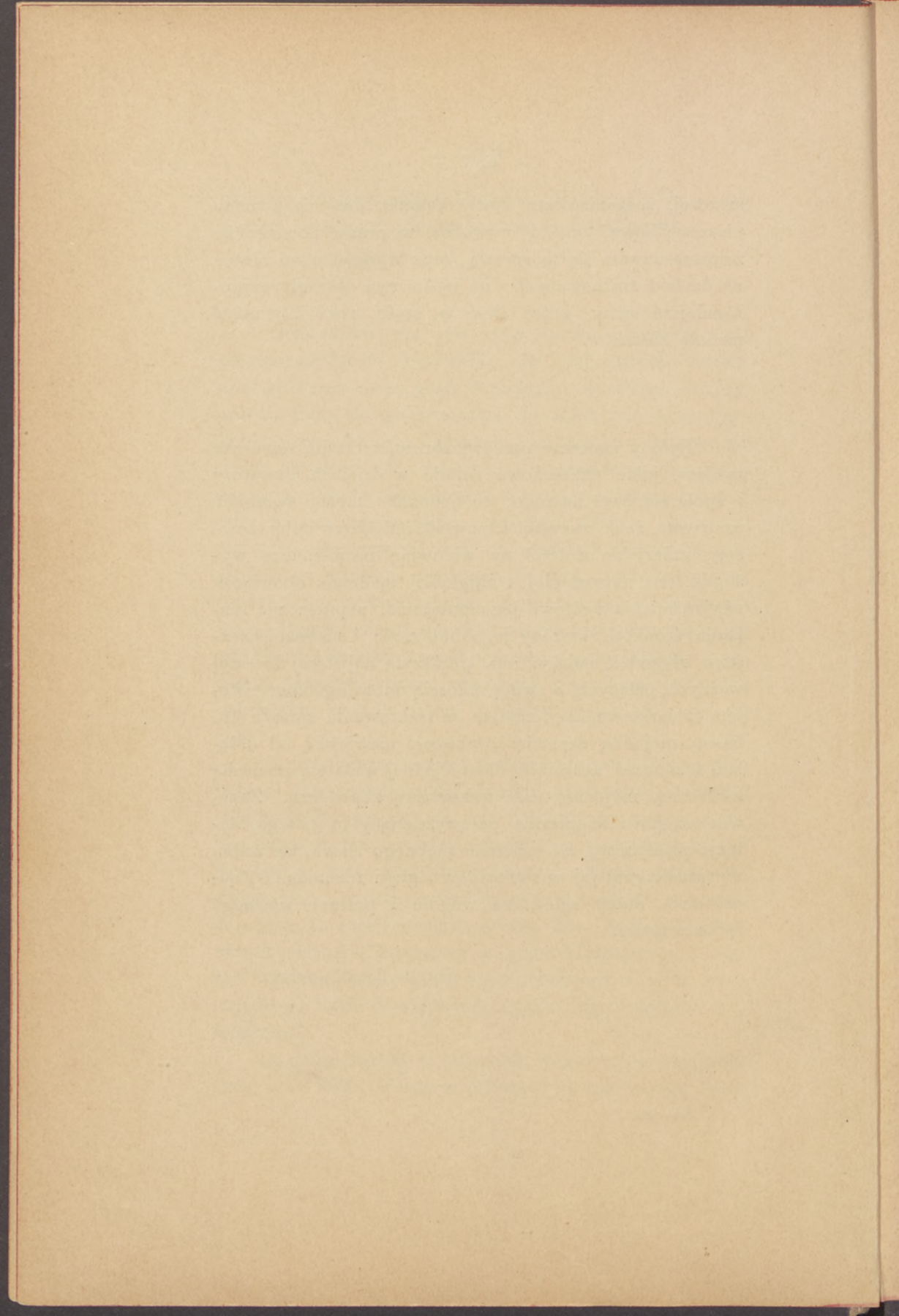
A potem udział w ratowaniu pogrzelców grodzieńskich w r. 1885. Wszak to głównie za inicjatywą Orze-

szkowej, zorganizowany został komitet niesienia pomocy nieszczęśliwym, ona-to wywołała w prasie powszechne zainteresowanie się tą sprawą, oraz wydawnictwo ulotne na dochód zrujnowanych; na jej-to ręce płynęły najpokaźniejsze sumy, które choć w części pozwoliły ulżyć niedolę biedaków.

* * *

Byłoby zapewne przedwczesnem, teraz już oznaczać miejsce, jakie Orzeszkowa zajmie w dziejach literatury i społeczeństwa naszego; to jednakże można twierdzić na pewno, że ze wszystkich powieściopisarzy doby nowszej, którzy po r. 1863 na widownię piśmienniczą wystąpili, ona najrozleglej i najgłębiej spełniała obowiązek uświadamiania ogółowi jego położenia, a przez nie szukania środków, któreby jego bolesność i niebezpieczeństwo złagodzić mogły; ona poruszyła najwięcej kwestyj ważnych, palących, a swoją miłością dobra ogólnego, swoim umiarkowaniem i taktem w traktowaniu sprawy ko-biecej, niejedną zapewne osobistość niewieścią od obłąkań i zboczeń uchroniła, dla niejednej stała się pociechą serdeczną, niejednej dała wskazówkę zbawienną. Zapewne, są powieściopisarze przewyższający ją potęgą fantazyi plastycznej, lub urokiem pięknego słowa, ale żaden nie prześcignął jej w rozległości i głębi rozumienia i odczuwania duszy człowieka wogóle i potrzeb własnego społeczeństwa.

PIOTR CHMIEŁOWSKI.



BENE NATI.



I.

Pomimo mrozu, Floryan Kulesza, dzierżawca Laskowa, stał na ganku długiego, niskiego domu i bardzo życzliwym wzrokiem ścigał przebywającego dziedziniec młodzieńca w obcisłym ubraniu, w zgrabnej czapeczce i z fuzyą na plecach. Ścigał go wzrokiem jeszcze i wtedy, gdy za bramą, wśród pól śniegiem zasłanych, szedł on drogą wysadzoną wierzbami ku lasowi, który zbliżka otaczał dwór ogromnym, ciemnym wieńcem. Co mu tam mróz mógł szkodzić, temu krępemu, silnemu człowiekowi, z dobrze wypasioną, ogorzałą twarzą, wśród której, jak dwa bławatki w piwonie wetknięte, jaśniały śliczne, szafirowe oczy! Były to dobre, szczere, błyszczące oczy prostaka, zdrowego na duszy i ciele, z losu swego zadowolonego, a życzliwego ludziom, niebu i ziemi. Czy skwar letni palił, czy wichry szalały, czy mróz piekło, albo siekły szrony i ulewy, zgoda jego z niebem i ziemią nigdy maconą nie bywała. One robiły swoje, on swoje: żyli się i godzili z sobą jak najlepiej. Jeżeli jakkolwiek kaprys

nieba i ziemi sprawił nieurodzaj, Kulesza bywał zmar-twionym, nie do tego jednak stopnia, aby chorować i roz-paczać. Zaradzał złemu jak mógł, orał, siał, młócił, ra-chował, oszczędzał, byleby właścicielowi gleby tenutę uścić i jako tako z rodziną przeżyć. Przeżył też do lat pięćdziesięciu, co potwierdzało kilka zmarszczek na nizkiem czole i trochę siwizny w gęstej czuprynie, ale czemu za-przeczał blask szafirowych oczu i śnieżna białość zębów, ukazujących się w uśmiechu. Dla tych oczu i dla tego uśmiechu, można było przebaczyć tej twarzy grubość skóry i rysów, niskie czoło, a przedewszystkiem pulchność warg i podbródka, na których jasno wypisany był jeden z grzechów śmiertelnych, a mianowicie: łakomstwo. Pra-cować, śmiać się i jeść musiał dużo, zdawało się to nie-zawodnem; również niezawodnie lubił, serdecznie lubił wychodzącego z bramy młodzieńca. Z lubieniem tem prze-cież łączyła się widocznie troska, bo uśmiech wkrótce z ust mu zniknął i, siedzącej na ławce kobiecie ruchem głowy odchodzącego ukazując, z żalem w głosie, rzekł:

— Szkoda!

Ona, starą chustką tak od mrozu otulona, że z ca-lej twarzy widać było tylko małe czarne oczki, mały za-darty nosek i małe przywiedle usta, zatrzęsła głową i smutnie odrzekła:

— O szkoda!

Pierwszy to raz wspominali o przedmiocie, który na sercu im leżał, ale zrozumieli się od razu. Nie darmo dwadzieścia kilka lat z sobą przeżyli. Po minucie milcze-nia, kobieta patrząc na męża, z cicha rzekła:

— Awrelka zmizerniała!

On ramionami ruszył.

— Ot, zaraz już i zmizerniała! Babski zwyczaj z mu-chy wołu robić! Od czego tam mizernieć? Nie będzie ten, będzie drugi. Po targach obwozić jej nie będę, bo i z domu wezmą. Suchot u nas w familiі nie było, dzięki Bogu, ani też umierania z miłości. Babskie bzdurstwa!

Kobieta pod chustką, rozkładając ręce, z żałosnym wyrazem czarnych oczu rzekła:

— Cóż, kiedy zaręczony!

— Nowinę Teofila powiedziała! Już to jak Teofila co powie, to jest czego słuchać. Zdaje się, że zaraz po przyjechaniu powiedział, że zaręczony, i Awrelka jest głupia, kiedy, pomimo tej wiadomości, głowę sobie nim nabijała.

— Awrelka jest młoda, — z nagłą żywością odrzuciła kobieta, — a Floryan stary, więc powinien być mieć rozum i nie zapraszać go na stołowanie się u nas...

— Ot i znów powiedziała! Czy to ja zwierz, abym takiemu porządnemu człowiekowi pozwalał marnować się na lichy wie jakim jedzeniu! I przewidzieć nie mogłem, że dziewczęta muszą kochać się w każdym, kto tylko stołuje się w domu. Może to taki u dziewcząt zwyczaj? Czy ja wiem? Teofila jest baba, więc zna babskie zwyczaje i powinna była ostrzedz, że jak tylko dziewczyna zobaczy mężczyznę, jedzenie do gęby niosącego, zaraz i zakocha się! Jeżeli tak, to we mnie, jak Boga kocham, wszystkie dziewczęta, jakie tylko są na świecie, kochać się powinny, bo co, jak co, ale jeść, to już nikt lepiej odemnie nie zdoła!

Z początku niby rozgniewał się na żonę, za wyrzut, który mu czyniła, ale przy końcu mówienia śmiał się już i ją tym śmiechem zaraził. Z politowaniem głową w chustce wstrząsając, ze śmiechem jednak mówiła:

— Oj, Floryan, Floryan! Floryana zawsze trzymają się facecye! Floryan i na moim pogrzebie jeszcze-by różne głupstwa wymyślał.

Pomimo tak bolesnego podejrzenia, znać było, że facecye męża sprawiały jej zadowolenie; on także, z ręką na kłębie, żartobliwie na nią patrzył.

— A cóż? Teofila lubi jęczeć: niechże ja sobie pośmieję się czasem. Dość jednego jęczenia w domu...

Dzieci po mnie poszły: nie jęczą, ale śmiać się lubią... a jej!

— Awrelka teraz już nie tak... — z obudzonem na nowo zmartwieniem zaczęła kobieta, ale dokończyć jej nie dał hałas głosów i tentent stóp, które nagle, w sieni domu słyszeć się dały. Nagle też z sieni na ganek wypadł niezmiernie wesoły korowód, na którego czele pędziła dwudziestoletnia dziewczyna, bosa, w różowym kaftanie i krótkiej spódnicy, z grubą złotą kosą na plecach, z wiadrem w ręku. Za nią, usiłując ją prześcignąć biegła druga, nieco młodsza, ale bardzo do tamtej podobna, którą za błękitny kaftan przytrzymał trzynastoletni podłotek w liliowym kaftanie. Zbliżka za podłotkiem drepłwał z wyciągniętymi rękoma dziewięcioletni chłopczyk, którego za zieloną bluzkę chwycić usiłowało dwóch rówieśników w białych koszulach, przepasanych paskami domowego tkania. Wszystko to z wielkim śmiechem i niezrozumiałymi krzykami przez ganek przebiegło i leciało dziedzińcem, po iskrzącym się od słońca śniegu, w kierunku studni z wielkim kołem, znajdującej się w pobliżu stajen i obór, które w półkole dziedzińca otaczały, gdy od nich do domu, drugim półkolem, stały wysokie, pełne śniegu i szronu topole włoskie. W bladym świetle zimowego słońca, po usianym iskrami śniegu, w półkole pod topolami, leciał sznur różowy, błękitny, liliowy i czerwony, biały, złotymi kosami dziewcząt jak snopami promieni połyskując i chóralnym śmiechem dzwoniąc. Śmiechem tym wywabione z kuchni u końca długiego domu i z izb czeladnych w starej oficynie, wybiegły kobiety i dziewczęta z garnkami, nożami, mokremi szmatami w rękach, wyszło paru parobków z piłkami i siekierami, wypadło kilkoro dzieci różnego wieku, w koszulach, bosych i z jednostajnie lnianymi czuprynami. Starsi postawali u drzwi, głośno gwarząc, jedna z bab nożem do obierania kartofli wywijając i aż pokładała się od śmiechu, dzieci puścili się po śniegu, zakreślając pod oborami

i stajniami półkole w tym samym kierunku, w którym biegli tamci pod topolami. Wmieszały się jeszcze do tego wszystkiego dwa kudłate kundle, w białe i żółte plamy, środkiem dziedzińca ku studni z przeraźliwym poszczekiwaniem i rozmachanemi kitami sadząc, wmieszała się też i Teofila Kuleszyna, która, na brzeg ganku wyskoczywszy, z całej siły i przeraźliwie piskliwym głosem krzyczała:

— Awrelka! Awrelka! Awrelka!

A Floryan Kulesza, do scen takich znać przyzwyczajony, nie nie mówił, tylko nogi szeroko rozstawił, obie ręce na kłębach oparł i znowu w uśmiechu białe zęby pokazywał. Gdy jednak Kuleszyna nie przestawała w niebogłosy krzyżeć: Awrelka! Awrelka! Zośka! Karolka! Antek! i sama już podnosząc z obu stron spódnice do biegu puścić się zamierzała, za chustkę ją przytrzymał i rzekł:

— Czego Teofila wrzeszczy? Czego Teofila leci? Czego Teofila dziwaczy się?

— Bose, w letnich kaftanach, po śniegu, w taki mróz... Jezus Marya... załamując ręce jęczała.

— No to i co? — flegmatycznie zapytał Kulesza.

— Przeziębiam się! Zachorują! Jezus Marya! jak te parobkowskie dzieci! jak te żebraki pod kościołem! jak te sieroty odzieży nie mające!

Śmiejąc się tak, że aż łzy stanęły mu w oczach, Kulesza żonę reflektował.

— Niech Teofila na to plunie! Teofili każda przyczyna dobra, byle jęczeć! Czy one księżniczki, albo co, aby im bose nogi i letnia odzież zaszkodzić mogły? Może Teofila projektowała księżniczki na świat wydać, czy ja wiem? Ale projekt nie udał się, bo one szlachciankami zagrodowemi są, choć ojciec i po dzierżawach chodzi; po ojcu poszły, po babkach i prababkach też, które zawsze boso po śniegu latały. Ot, niech Teofila przestanie jęczeć, a idzie jeść mi dać, bo głodny jestem od tych kundlów gorzej...

— Floryana zawsze facecye trzymają się, a dzieci pochorują się, zwłaszcza Awrelka...

— Czemuż to zwłaszcza Awrelka? Delikatna taka, czy faworytka mamina? a? — przekomarzał się z żoną Kulesza i oboje do domu weszli. W tej chwili, pośród różowych, błękitnych, liliowych kaftanów dziewcząt i białych koszul podskakujących dzieci, wielkie koło studni obracać się zaczęło szybko, coraz szybciej, a do taktu z jego obrota, rozbrzmiał na cały dziedziniec donośny śpiew dziewczyny w różowym kaftanie, na zrębie studni, po nad całą gromadką siedzącą:

Żeby was tu było, jak na drzewie liści
Nie było, nie będzie, jak mój Jaś najmiłszy.
Żeby was tu było, jak na morzu piany,
Nie było, nie będzie, jak mój Jaś kochany!

— Kiedyż nie Jaś, ale Juraś... i to zaręczony! — mruknął pod wąsem Kulesza, zasiadając przy stole, nad salaterką bigosu z wędliną; Kuleszyna zaś, krając chleb z wielkiego bochna, zaszeptwała:

— Et! Zaręczyny — pąjęczyny! Może Pan Bóg da, że i z tych jeszcze nic nie będzie!

— Teofila taka nabożna, że co piątek każe mnie głodem mrzeć — a obok tego bliźniemu źle życzy... zaczął Kulesza, ale dłużej już mówić nie mógł, bo dzień nie był piątkowym, a wobec takiego bigosu, przynajmniej na czas trwania jego w salaterce, żarty zarówno jak i strapienia znikać musiały.

Kuleszyna za to, która mniej często, niż mąż jej, jeść potrzebowała, na stolku u stołu przysiadłszy, mówiła dalej:

— Bo, słyszę, jej familia bardzo sobie tego małżeństwa nie życzy...

— Czemuż to? pełnemi jedzenia usta wybelkotał Kulesza.

— Temu, że on chłop...

Kulesza nagle żuć przestał i, wytrzeszczonemi oczami na żonę patrząc, prawie ze złością sarknął:

— Teofila głupstwa gada...

Składając na stole małe, ciemne ręce, kobieta monotonnym trochę, jęklwym głosikiem prawila dalej:

— Floryan mówi, że ja głupstwa gadam, a sam nie bardzo mądry, bo przecież powinien wiedzieć, że co szlachcianka, to szlachcianka, a co chłop, to chłop...

Zawzięcie teraz jedząc, mruknął tylko:

— Babskie bzdurstwa!

— Bynajmniej nie babskie — odrzuciła kobieta — bo to właśnie mężczyzna, brat jej, osobiwie temu małżeństwu na przeszkodzie staje! Bardzo, słyszę, ambitny i nie chce, żeby jego siostra pomiędzy chłopami poniewierała się. I szwagrów ona ma i innych tam krewnych, którzy także nie chcą...

— Osły, bałwany, barany! — z ust pełnych jedzenia i aż przewracając oczami z gniewu, wyrzucił Kulesza.

— Floryan mówi: osły, bałwany, barany, a ja mówię, iż tak już widać Pan Bóg ustanowił, że co szlachcianka, to szlachcianka, a co chłop, to chłop...

Kulesza łyżkę na talerzu położył, dłonie na kolanach wsparł, a z twarzy mu widać było, że złość się w nim zagotowała.

— Tecfila jest gęś... zaczął, lecz nagle ochłonął z gniewu i z wpół pogardliwą, a wpół wesolą filuternością na nią patrzył. Nachylił się potem i prawie do samego jej ucha szepnął:

— A jakżeby to było z Awrelką? a? Czemuż to Teofila tylko co mówiła: szkoda! a? Czemuż to życzyła, aby te zaręczyny były pajęczyny? a?

Zmieszała się ogromnie; małemi oczkami zamigołała, małym, zadartym noskiem czmychnęła; nie wiedziała jakim sposobem sprzeczność swoich społecznych wyobrażeń ze swojemi uczuciami pogodzić. Po chwilowem

jednak milczeniu i myśleniu ręką machnęła i cicho od-rzekła:

— Ot, Floryan nie wiedzieć co wygaduje! Awrelka jest mojem dzieckiem i ja o szczęście jej dbam więcej, jak o wszystko co może być na świecie. Niechby sobie był pan, czy cygan, czy chłop, czy szlachcic, byle jej do-brze z nim było...

Kulesza aż zaniósł się od śmiechu, a potem głową trząść zaczął.

— Wie Teofila co? — mówił — Teofila jest dobra kobieta, ale kobieta, a u baby rozum, to jak dwa psy ze związanemi ogonami... jeden w jedną stronę rwie się, drugi w drugą i obydwaj na miejscu stoją.

Ale ona już go nie słuchała. Drobnym, zwinnym kroczeniem biegła do kuchni, z której na dom cały roz-legali się krzyki i śmiechy wracającej od studni gromady.

Tymczasem ten, którym Kuleszowie tak żywo się zajmowali, wąską i krętą drogą coraz głębiej w las się zapuszczał. Nazwisko jego zdradzało chłopskie pochodze-nie, ale nie rysy i ruchy, które posiadały niezwykłą zgra-bność i wytworność. W tej chwili Jerzego Chutkę można było wziąć za prawe dziecko cywilizacyi, dla rozrywki odbywające po lesie myśliwską przechadzkę. W grubym, obcisłym surducie, ze strzelbą na plecach, wysmukły i pro-sty, szedł krokiem, w którym siła i lekkość tworzyły har-moniją pełną naturalnego wdzięku; z twarzy zaś jego, de-likatnie i z doskonałą prawidłowością zarysowanej, biła młodzieńcza świeżość i radość. Szare, podłużne oczy z pod daszku małej czapki, a wąskie pąsowe usta z pod złotego wąsika, wesoło, ufnie, trochę nawet zarozumiale, śmiały się do świata. Świat był widać dla niego ponętnym i ła-skawym, a on uznawał się tych ponęt i łask zupełnie godnym. Kiedy z podniesioną nieco twarzą zagwizdał na wesołą nutę, czuć było, że pierwszy krok życia powiodł mu się doskonale; kiedy rozglądał się dokoła, najpewniej myśleć musiał, że na to powodzenie zasługuje i wypuścić

go z rąk ani myśli. Rok temu obowiązkową służbę w wojsku skończył, a od paru miesięcy półtora tysiąca morgów książęcego lasu do pilnowania mu dano; kilku leśników ma pod sobą i tytuł nadleśnego. Wprawdzie zawdzięcza to przeważnie długoletnim i wiernym służbom na książęcych leśnictwach dziada, ojca i stryja, ale też po części — wie o tem dobrze — roztropności i śmiałości własnej. Bo przecież, przed księcia samego zawezwany, nie stracił głowy i znalazł się tak, jak należało. Gdy szedł tam, gdzie go lokaj w liberyi prowadził, czuł zaleknienie i zawstydzenie pewne, lecz zupełnie uspokoił je myślą: „ani jemu, ani nikomu nic złego nie zrobiłem, żadnego gałganstwa na mnie nie ma, czegoż tedy mam lękać się, albo wstydzić?”

Bez trwogi też i bez zmieszania do wspaniałego pokoju wszedł i, niedaleko progu stanawszy, uklonił się z uszanowaniem, ale nie bardzo nisko, wcale nawet nie nisko, bo sam nie wiedział, jakie uczucie przytrzymało mu głowę, aby nie chyliła się zbyt, i zaraz potem wyprostowało go do postawy skromnej, lecz nie pokornej. Książę, siedzący na fotelu przy okrągłym stole, od stóp do głowy wzrokiem go obrzucił i zapytał:

— Czy jesteś synem Mikołaja Chutki?

A usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, mruknął: hm, hm! i wydawał się trochę zdziwionym. Jerzy nie wiedział na pewno, ale domyślał się, iż książę dlatego przypatruje mu się tak długo i ze zdziwieniem, że znajduje go do ojca i stryja jego wcale nie podobnym. Tamci byli grubi, na twarzach ciemni i mieli zwyczaj chylić się przed panem do samej ziemi. On nawet oczu nie spuścił. Nie miał czego lękać się, ani wstydzić, i książę mógł długo patrzeć w bystre i śmiałe oczy młodzieńca, niedaleko od progu, z uszanowaniem, ale w wyprostowanej postawie stojącego. Widać podobały mu się i oczy i postawa, bo bardzo łaskawie przywołał go bliżej ku stołowi i wypytywać zaczął, czy i o ile zna się na gospodarstwie leśnem. Tu już

Jerzy pewną stopą stanął na gruncie znanym i miłym. W lesie urodził się i wzrósł, leśnym robotom przypatrywał się, odkąd żył; nie na świecie milszem mu być nie mogło nad las. To też na zadawane sobie pytania odpowiadał zrazu tylko z łatwością, ale potem i z zapalem. Że zaś głos jego, tak jak cała powierzchowność, nie miał w sobie nic szorstkiego i grubego, lecz owszem, metalicznym dźwiękiem przyjemnie w ucho wpadał, więc księżę znowu przez chwilę na niego popatrzał, mruknął: hm! hm! i zapytał jeszcze: czy potrafi zarządowi dóbr składać miesięczne raporta? Na to mógł znowu śmiało odpowiedzieć, że potrafi. W pisaniu i rachunkach biegłym był, a zawdzięczał to naprzód guwernerowi, którego ojciec, na spółkę z kilku innymi leśnikami przez trzy lata dla niego trzymał, a potem własnej pilności w douczaniu się i wprawianiu. Zapytał go jeszcze księżę: czy jest żonaty? na co on odpowiedział, że dotąd tylko jest zaręczonym, ale, że skoro miejsce otrzyma, ożeni się natychmiast.

— Ładną musisz mieć narzeczoną! — bardzo łaskawie zażartował księżę, a on domyślił się znowu, że żart pochodził z myśli, iż tylko ładna narzeczona do pary mu być mogła. Skłonił się znowu nie tak, jak słudzy kłaniają się przed panami, ale jak to przyzwoici młodzieńcy czynią przed szanownymi i o wiele starszymi od siebie ludźmi. Przytem, z nagłym rumieńcem i błyskiem oczu, odpowiedział:

— Nie wiem, Jaśnie Oświecony Księżę, czy jest ładną, ale dla mnie jest ona nad wszystko w świecie droższą.

Księżę uśmiechał się ciągle, a po chwili dał mu znak do odejścia, lecz gdy był już we drzwiach, zapytał jeszcze:

— A z kim się żenisz?

— Z Osipowiczówną z Tolłoczek, Jaśnie Oświecony Księżę.

— Ze szlachcianką tedy?

Coś, jakby filuterny uśmiech, przebiegło po twarzy Jerzego.

— Legitymowaną — odrzekł.

W kilka godzin po tej rozmowie do chaty Mikołaja Chutki przyszło z zarządu dóbr książęcych rozporządzenie, aby syn jego Jerzy jechał natychmia t do Laskowa, dla objęcia posady nadleśnego, wakującej po ostatecznie zestarzałym i na łaskawym chlebie pozostawionym poprzedniku. Nazajutrz, gdy żegnał się z rodzicami, ojciec nad pochyloną jego głową tyle drobnych krzyżyków w powietrzu kreślił, że chyba z tysiąc ich tam było. Matka i mała siostra w głośny płacz uderzyły, bracia stali przy drzwiach chaty z powieszanemi rękoma i głowami. On ojca w ręce ucałował, matkę pochwycił w ramiona, siostrę w obu rękach, jak piórko, pod sufit podniósł; braci prosił, aby go w Laskowie przy każdej sposobności odwiedzali. Lecz wszystkie rozczulenia, pożegnaniu towarzyszące, nie zdołały zgasić wesołości, od której ciągle rumieniły mu się policzki, błyszczały oczy, śmiały się usta. Ode drzwi coś go znowu ku ojcu rzuciło. Uczuł dla niego rzewną wdzięczność za to, że go nigdy nie bił i na żaden inny sposób w dzieciństwie nie krzywdził, że dla niego trzymał, dużą część chleba od ust sobie odbierając, guwernera, że dla zdobycia mu posady w dobrach książęcych długie godziny, dnie nawet, cierpliwie i pokornie wyczekiwał u wrót dziedziców, u progów kuchen, u stopni ganków, aż nareszcie, przed oblicze pana dopuszczony, czołem o ziemię uderzył i na rzecz syna o dawnych usługach i zasługach swojego rodu przypomniał. Pomyślał o tem Jerzy, od samego już progu wrócił i, z wilgocią w oczach, na jedno kolano przyklękawszy, długim pocałunkiem przylgnął do bosej stopy ojca. Wtedy usta starego chłopca trząść się i powieki dziwnie latać zaczęły, matka i siostra wprost już ryknęły płaczem i Jerzy, ramionami kolana ojcowskie oplatając, zapłakał także. Ale ta chwila rozczulenia prędko minęła; teraz w każdej

kropli krwi i w każdym muskule czuł on młodość, zdrowie, ochotę i siłę do życia. Szumiały mu nawet w mózgu jakieś ponętne, choć nieokreślone, nadzieje i ambicje, majaczyły w myśli wysokie w dobrach książęcych posady, własny folwark, znaczenie pośród ludzi, ładne domy, śliczne konie, drogie strzelby. Nad żadnym jednak z tych szczegółów nie zatrzymywał długo myśli, dwóch rzeczy



tymczasem będąc zupełnie pewnym: że musi zejść daleko i że za kilka tygodni Salusia będzie już jego żoną. Strach, jak on mocno przywiązał się do tej dziewczyny! Od tej zaraz chwili, kiedy to, dopomagając w gaszeniu pożaru, ze skrzynką biednych ludzi, wyrwaną z płomieni, zstępował z wysokiej drabiny i zobaczył ją w dole stojącą z tak dziwnie błyszczącymi oczyma i w górę, jemu jakby na ratunek, wyciągniętymi ramionami, od tej chwili, kiedy

jeszcze nie wiedział, ani kto ona jest, ani jak się nazywa, już uczuł, że ona dla niego nie taka, jak wszystkie, i on dla niej inny, niż wszyscy na świecie ludzie. Co tu mówić? Widział, że dziewczyna zakochała się w nim odrazu; to go naprzód zajęło i ujęło. Potem, podobало mu się w niej wszystko. Śliczna była, serdeczna, wesoła, śmiała, on zaś bardzo lubił w kobietach śmiałość. Kiedy u jej siostry, Anulki Końcowej, dzieci chorowały, sama wśród nocy do apteki i po doktora latała, o żadnym strachu ani myśląc. A jak pielęgnowała ten drobiazg, ile nocy nad nim nie spała! Prawda, że najczęściej chorą tę dziewczynę doglądali razem i wtedy to pokochali się najwięcej. Zresztą, jak żyje, nie widział, aby czyje oczy były takie, jak u niej, głębokie i gorejące; zdaje się, jeziora, w których utopić się można i na dnie wpaść w płomienie! Figurę ma piękną i twarz do róży podobną, ale te oczy jej najosobliwsze ze wszystkiego. Czasem, zdaje się, że napisane w nich stoi: twoją będę, albo umrę. Z za lubienia wygląda w nich śmierć. Ona go na śmierć lubi, — to rzecz pewna!

Tu Jerzy Chutko zarumienił się aż po brzegi płowych włosów i dłonią powiodł po czole i oczach. Bujna, zdrowa młodość wartkim prądem przepłynęła mu w żyłach, płomieniem stanęła w źrenicach. Hej, kiedy ją jak swoją tu przywiezie, chyba na śmierć zacałuje jej oczy i usta, chyba duszę przed nią w gadaniu wyleje, tak mu już tęskno do jej ust i oczu, tak wiele ma jej do powiedzenia! Jak dobrze, jak dobrze im będzie żyć we dwoje, w tych dwóch sporych, widnych pokoikach z czyściuchną kuchenką, które im na mieszkanie w oficynie dworskiej wyznaczono! Inni tam po ślubie przywożą żony do chat, w których są świekry, siostry, bratowe, babskie kłótnie i zawiści, gospodarskie kłopoty, zgryzoty i brudy. Oni będą tylko we dwoje; nikt jej nie dokuczy, ani jemu nie przeszkodzi każdą minutkę wolną z nią przepędzać, wszystko co tylko do głowy przyjdzie przed nią wypowiadać,

wszystko co tylko zarobi, zdobędzie, jej jednej oddawać! Hej, raj, nie życie! niebo, nie świat!

Czapkę na bok przesunął i z podniesioną głową, rozbłyśłym wzrokiem dokoła się rozejrzał. Nieruchomy, wysokopienny las stał w mroźnym, przezrystem powietrzu, z falisto wzdymającymi się puchami śniegu na dnie, z blade błękitną kopułą nieba u góry. Z pod twardych i pogarbionych płacht śniegowych, wydobywały się i zwieszały ku dołowi, ciężkie kiście zielonych sosnowych igieł; a drobne szrony, niestrudzenie i nieskończenie, od stóp do wierzchołków, przezroczyście rzeźby wiły po brunatnych pniach drzew, czerwonych ich korach i oliwkowych mechach, po sztywnie wyprężonych i pomiędzy pniami w napowietrzne koronki splatających się gałęziach i prętach olszy, brzozy i leszczyny. Ponieważ blaski słońca, ku zachodowi spływającego, mało w te zagęszczone miejsca dochodziły, połysków, blasków, nie było tu żadnych, lecz wszystko miało przezrystą nieskazitelną, twardą i zarazem łagodną białość. Tylko ze sfalowanego podścieliska wydobywały się gdzieniegdzie rdzawe krzaki jałowcu i żółte pęki uwiedłych paproci, na pnie blade czerwienią wybijały z pod szronów chorujące kory — daleko, tam gdzie rzedniały sosny i rozdzierały się koronki olchowych i brzozowych prętów, jedno cienkie wysokie drzewo srebrnym słupem płonęło w ukośnym promieniu słonecznym i mała przestrzeń białego podścieliska żarzyła się i migotała naksztalt ogniska brylantów i złotych iskiei.

Jerzy, nie ścieżką już, lecz wprost przez leśną gęstwinię, szedł w kierunku posrebrzonego przez słońce drzewa. Co chwilę ze stron obu i przed nim wznosiły się, wichrami nawiane, wysokie wydmy śniegowe. Omijał je i tak lekko, jakby po gładkiej stapał posadzce, szedł po głębokiem, nierównem, śnieżnem posłaniu, gdzieniegdzie dobywające się zeń krzaki jałowców i pęki paproci przeskakując, lub wzniesionemi ramionami rozchylając gałęzie, które osypywały mu głowę krótką, twardą ulewą dro-

bnych szronów. Dążył właśnie ku miejscu, w którem las rzedniał pod świeżo rozpoczętą trzebieżą, od którego też dochodziły tu bardzo jeszcze oddalone, głuche i krótkie stuki toporów.

Nagle stanął i z radością w oczach dokoła spoglądał. Stał na brzegu niedużej halizny, na której zrzadka rosły jałowce, a nad którą, krawędzią wsparta na ubielonych koronach drzew, wznosiła się blado błękitna kopuła, z podartą smugą różanego obłoku pośrodku. Widniej tu było, niż wśród gęstwiny leśnej, ale nie zbyt jasno. Tylko gdzieś tam, pod ciemnymi jałowcami błyskały srebrne iskry, albo wśród drzew, jak żółte świeczki, płonęły końce cienkich gałązek; odbłaski różanego obłoku, błędząc tu i owdzie, zabarwiały zygzakowate ślady drobnych zwierzęcych stópek, które, we wszystkich kierunkach przebiegając haliznę, wyglądały teraz jak splątane sznurki paciorków.

Przez głowę przemknęła mu myśl:

— Trzeba podać do zarządu raport o tej haliznie i zażądać rozporządzenia zasiania jej na wiosnę!

Przemknęła tylko i uciekła, przepędzona szmerami, niekiedy wzdymającemi się w hałas, które napelniały otaczające gęstwiny. W głębokich śniegach stojąc, mroźnym i cichym powietrzem nalany, szronem osypany, las żył. W jego chłodnym, cienistym łonie, pod pozorną skorupą śmierci, ukrywało się i trwało niezliczone mnóstwo istnień. W podziemnych korytarzach, tak długich i krętych, aby zmylały oko najbieglejszego myśliwca, nakształt chyżych płomyków przemykały rude lisy; w śniegach, pod kępami mchów siwych i wysterczającymi nad nie kamieniami w głębi rozłożystych krzaków, z wiecznie otwartymi oczami, drzemały szare zające, zrywając się do biegu przy szeleście sprawionym choćby przez marną mysz leśną, z nory po żer wybiegła, lub parę łasiczek niziuchnych, a długich, lekliwie śmigających po uschłych wiklinach, pod splątaniem zaroślami. Nikt zaś, ani zgadnąć,



ani wyliczyć nie może, ile drobnych oczu otwierało się na olśniewającą białosć śniegu i zamykało się do snu wczesnego, na korach drzew i we wszystkich najmniejszych ich wydrążeniach, ile spiesznych, zygzakowatych chodów przemykało w szczelinach pni, w osypanych śniegiem u ich stóp mrowiskach, we wzniesionych przez wiatry pagórkach gnijących liści, rozłupanych szyszek, zeschniętych igieł, stwardniałych w mrozie jagód jałowcu, żurawiny, brusznicy, kostnicy. Wszystko to było słabem, sennem, trwożnem, jednak w ogromnej swej zbiorowości wytwarzało nieokreślone szmery, które wydawały się to krótkimi i urywanymi, to przewlekłymi i głębokimi westchnieniami lasu. Trzebaby posiadać dla ucha narzędzie takie, jakim dla oka jest mikroskop, aby z tych szmerów wydobyć pojedyncze dźwięki; było to jakieś morze nieskończonej małości, które jednak oznajmiało, że pomimo pozorów śmierci — las żył.

Ale żył on nietylko temi pokornymi, przełkniętymi, niziuchnymi istnieniami; było w nim także życie lotne, śmiałe, nawet świetne, albo psotne.

Na otwartem rozłogu halizny, spłoszone szelestem kroków ludzkich, stado jemieluszek zerwało się z jałowców i, połyskując złotem nakrapianemi piórkami, uleciało w sosnowe gąszcze, gdzie długo jeszcze słyhać było przełknięty trzepot ich skrzydeł, nie wiedzących, czy mają osiąść w pobliżu, lub oddalić się spiesznie od miejsca obfitego żeru. Daleko śmielsze sroki, ani zważając na obecność człowieka, to z kolei, to wszystkie razem, gadały i gadały na poblizkiem drzewie, ale zawzięty ich skrzekot nie zagłuszał bynajmniej dziarskiego śpiewu gilów, których czerwone łebki jaskrawo migotały pośród śniegowych marmurów i ciemnej zieleni sosnowej. Wierchołkami drzew przelatywały z szumem błękitne skrzydła sojek, niżej żółwy i dziecióły dzióbami biły w drzewa, aż kora pękała i otwierała się ze stukiem ziarn pełne szyszki. Do szyszek też, które, jak brunatne świece,

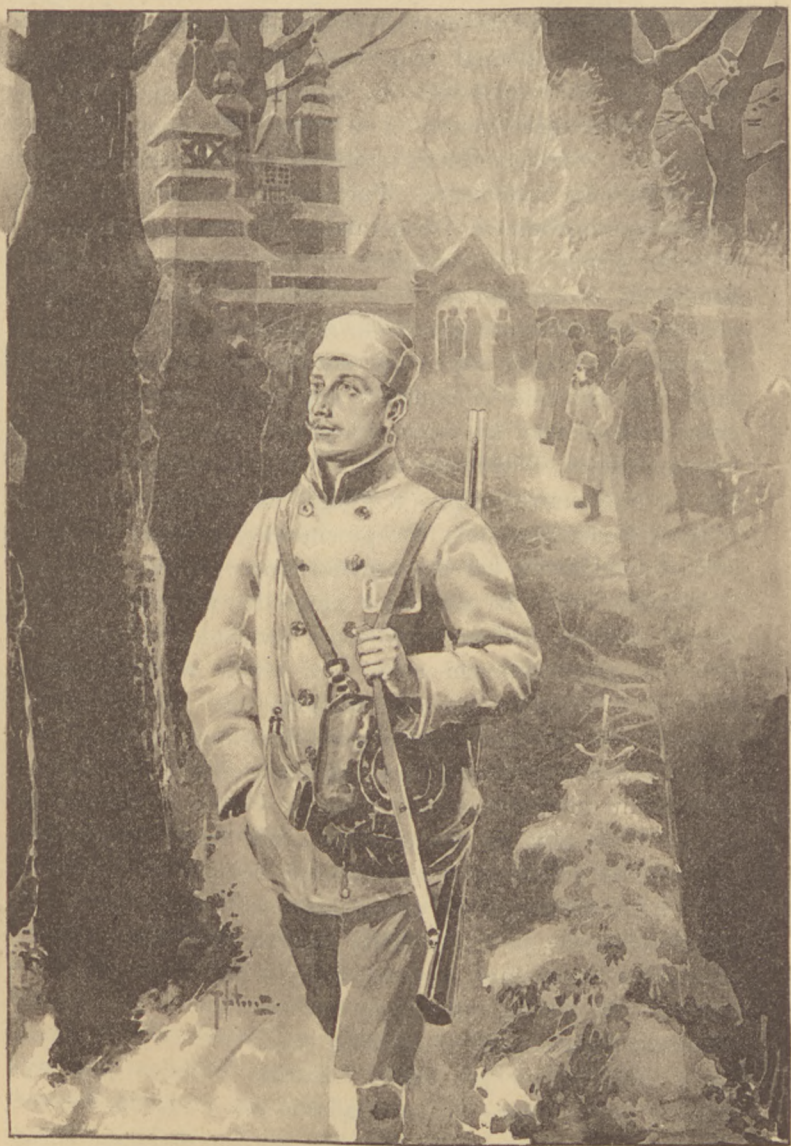
łśniać u gałęzi sterczały, biegły wiewiórki, rudemi kitami strząsając tumany białych pyłów. Jedna z nich wprost naprzeciw Jerzego usiadła na sztywnej i oszronionej gałęzi, w przednich łapkach szyszkę trzymając, a ostremi ząbkami ziarnka jej tak chciwie i zawzięcie gryząc, że aż odgłos chrupania rozchodził się po haliźnie. Musiała być bardzo głodną i śmiałą, bo chrupiąc, czarnych oczek ze stojącego naprzeciw człowieka nie spuszczała, owszem, filuternie zuchwałym ich wyrazem zdawała się mówić do niego: „możesz sobie stać tu i patrzeć choćby do końca świata, a ja będę sobie jeść, będę sobie jeść, bo to moja szyszka, moja gałąź, mój las!“ Jerzy, patrząc na nią, zaśmiał się głośno, bo istotnie w żarłoczności i zuchwalstwie swoim, na tylnych łapkach z nisko zwieszoną kitą, siedząca, była bardzo ucieszną i wdzięczną, lecz w tejże chwili pochylił się naprzód i takie uczynił poruszenie, jakby strzelbę z pleców zerwać miał. Niedaleko, pomiędzy pniami drzew, gorącym płomykiem przemknął lis i za łańcuchem wydm śniegowych przepadł. Innym razem Jerzy strzeliłby pewnie, lecz teraz strzelba na plecach mu pozostała, a wzrok wznosił się coraz wyżej ku koronom drzew, ku wspartej na nich kopule błękitnej, ku spływającej z niej smudze różanej, aż zaszedł mgłą uroczystego, z dna duszy dobywającego się wzruszenia.

Przez lat kilka nie widywał wsi ani lasu; teraz doświadczał takiego uczucia, jakby te lata były snem albo wędrówką w nieznane kraje i jakby dziś dopiero obudził się, albo do domu powrócił. Wszystko tu było dla niego bardzo znanem, swoim, kochanem, i w tej chwili wydało mu się tak wspaniałem, że aż podziw budziło, lub tak miłym i ślicznym, że radby to i owo ręką ująć i pogłaskać.

Z dna duszy jego, skorupę powszednich myśli, zabiegów, drobnostek przebijając, podniosło się pierwotne i nienazwane, lecz, jak każdy dar natury, niepozbyte przywiązanie do ziemi, nieba, powietrza, z których powstały

i ciało jego i dusza. Wcale o tem nie myśląc, był w samej rzeczy jako dziecko, zawieszające się u łona matki i z rozkoszą ssące jego słodkie mleko. Wielka słodycz płynęła dlań z widoku zjawisk nieba i ziemi, do których przywykł był, odkąd żył, a których nie widywał długo; płynęła i ze wspomnień, które bezładną gromadą cisnęły się mu do pamięci. Było ich wiele, przelatywały szybko, a on, stosownie do ich natury, uśmiechał się, brwi ścigał, albo podnosił, wzruszał ramionami, trząsł głową.

Jedno z nich przecież, niewiedzieć czem wywołane, błyskawicą w nim powstało i przed oczami zawisło trwałym, niezmiernie jasnym obrazem. Może głęboka cisza halizny, tajemniczemi szmery napelniona, może białe tumanki śniegowego pyłu, tu i owdzie z drzew ulatujące, a do kościelnych dymów podobne, może żółte świeczki w gęstwinach, przed ołtarzami z marmuru pozapalane, przed oczami jego postawiły obraz bardzo prosty, lecz dla niego pamiętny i ponętny. Był to drewniany kościółek, pośród rynku małego miasteczka, stojący w ogrodzeniu pełnem lip, klonów, malinowej, głogowej, berberysowej zarośli. Kiedy w zimową niedzielę, niepodkutemi saniami pod ogrodzenie podjeżdżał, ojciec pierwszy z sanii zsiadał i, jego z nich zdjawszy, w głębokim śniegu stawał. Matka już sama, z siana, z płacht, z pod kilimka wydobywała się jak mogła. Cmentarzyk sfalowanym śniegiem zasłany, na lipach i klonach leży śnieg w twarde kamienie zbity, cienkie pręty krzaków, szronami oplecione, wikłają się i błyszczą jak sznury szklanych paciorek. Kościółek, prawie czarny, pośrodku stoi, a tuż przy nim wysoka i cienka dzwonnica, u samego wierzchu dzwoni i dzwoni tak dla jego dziecięcych uszu prześlicznie, że staje on na wydeptanej wśród śniegu ścieżce, głowę wysoko podnosi, palec w usta wkłada i słucha. Słuchając, w wierzch dzwonnicy zapatrzony, pomimo palca w ustach uśmiecha się szeroko do napowietrznej muzyki dzwonu, która podoba mu się bardzo, aż silnego szturhańca



w bok i plecy dostawszy, zlatuje ze ścieżki i padając, twarzą i kolanami zanurza się w mialkim śniegu. To jakiś przechodzeń popchnął stojącego mu na drodze małego gapia. Nie to, wygrzebuje się on zpod śniegu, twarz rękawem siermiężki ociera i z całej siły nóg, obutych w ciężkie, stukające buty, pędzi za znikającymi we wnętrzu kościółka rodzicami. Wnętrze to wydawało mu się podówczas ogromnem i wspaniałem. Teraz, gdy kilka naprawdę wspaniałych świątyń w paru miastach widział, śmieje się z dziecinnego tego złudzenia; niemniej uśmiecha się też do ścian wysokich, z gruba pobielanych, nad którymi zaokrągla się małe sklepienie dla dziecinnych jego oczu dziwnie tajemnicze. Co chwilę, za ojcem klęcząc, wznosi oczy ku temu sklepieniu i zaraz je spuszcza, trwoga zdjęty. Wyobraża sobie, że tam właśnie, najwyżej, w ciemnawej głębi, z różgą na niegrzeczne dzieci w rękę, siedzi Pan Bóg. Nie powinienby przecież tak myśleć, bo oddawna już mu powiedziano, że Pan Bóg jest w ołtarzu, który w głębi, dla niego bardzo dalekiej, jaśnieje śnieżną białością płócien i gromadą palących się świec, a przed którym teraz stoi ksiądz w błyszczącym ubraniu i śpiewa. Zresztą, zajmują go nadzwyczajnie organy, wysoko nad kościelnymi drzwiami grające, huczące, czasem poskrzypujące tak przeraźliwie, że przypominają mu nienasmarowane koła u wozów; zajmuje go jeszcze i to, aby go nie uduszono, taki ścisk w kościółku panuje, tak jedno na drugie pchają się męzkie i babskie kożuchy i siermięgi. Za ojcem klęcząc, i o ile tylko można, kurcząc się, patrzy na żółty kożuch okrywający ojcowskie plecy, na ciemną, żyłastą szyję, dobywającą się z kośmatego kołnierza, na głowę ze świecącymi od słońcy włosami, trzęsącą się w żarliwej modlitwie. Ojciec modli się z książki; na jej starej, czarnej okładce jest wyślacany krzyż, któremu przyglądanie się w chacie, ilekroć starsi na nie pozwolą, sprawia mu wielką rozkosz. Teraz jednak, z pomieszaniem uczuciami ciekawości i pociągu

spogląda na coś innego. Pomiedzy presbyteryum a kościołem znajduje się, od ściany do ściany przeciągnięta, gruba belka, a na niej wysoki aż do sufitu krzyż, z rozpiętą na nim wielką, jak największy człowiek, figurą. I krzyż i figura z drzewa zrobione, grube, ogromne; na ciemnych włosach Chrystusa wianek z cierni, a z pod niego, czerwone krople cieką na żółte czoło i policzki. Zdaje się, że ta zakrwawiona i nad wszystkim górująca postać powinna by w nim strach budzić. Przeciwnie jednak, zaciekawia go tylko zrazu, a potem, im dłużej na nią patrzy, coraz większy pociąg ku niej uczuwa. Jakkolwiek jest drewniana, żółta, na pierwsze spojrzenie brzydka, wyraźnie wyryto na niej, że Pana Jezusa bardzo rany bola... On to widzi i robi się mu żal Pana Jezusa, jakaś mętna, lecz smutna litość go zdejmuję, ale wkrótce, pomimo rozczulenia, na skrwawioną, cierpiącą figurę i na wszystko patrzeć przestaje; nudzi się, poziewa; rozmarza go chłód kościelny z zapachem kożuchów i upałem oddechów połączony; pochyla się i sam nie wie kiedy z czołem, o podeszwę ojcowskiego buta opartem, usypia. Nagle budzi go wielki śpiew, tak wielki, że, zdaje się, pękną od niego pobielone ściany kościołka, a gruba belka, na której stoi krzyż z Chrystusem, drży. Ksiądz u stopni ołtarza klęczy, organy z całej siły grają, a ciżba ludzka, cała na klęczkach, z szeroko rozwartymi usty, ze wszystkiej mocy śpiewa: „Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny!“ Czy to dlatego, że wszyscy przyklekli, czy dla innej przyczyny, tak go teraz ludzie pomiędzy swemi bokami i łokciami ścisnęli, że prawie oddychać nie może. Bola go też od tego ścisnu plecy i ramiona. Zbiera tedy wszystkie siły i całą swą zręczność, chyłkiem wyslizguje się z pomiędzy ludzi i, u samego boku ojca uklękawszy, przytula się do niego, jak tylko może najsilniej i najszczelniej. Ojciec uczuwa to i, twarzy od ołtarza nie odwracając, obejmuje go tak, że tylko głowa jego, z jasnymi jak len włosami, u ojcowskiego pasa, wychyla się

z pod ramienia w żółtym kozuchu. Teraz, bezpieczny, znowu słucha i patrzy. Śpiew rozlega się coraz pełniejszy, ogromniejszy, silniej błagający i jakby nieukojonny; ojca twarz, ku wielkiemu Chrystusowi na belce stojącemu podniesiona, a wyglądające mu z pod ramienia pyzate chłopię, to w nią, to w Chrystusa patrzy. Dziwi się ono, bo pomiędzy twarzą ojca i Chrystusa spostrzega niejake podobieństwo. Wprawdzie na pierwszej czerwonych kropli nie ma, są zato stojące w oczach wielkie, szklane lzy, policzki jej także wydłużone i ciemne, tak jak u tamtej, i tak samo na niej, jak na tamtej, wyryte stoi, że ojca jakieś rany bardzo, bardzo bołą. Sam nie wie dlaczego, ale zdejmuje go ochota do śpiewania tego samego, co ojciec śpiewa, więc z szyją nieco ramieniem w kozuchu przyciśniętą, z puciołowatym policzkiem, do ojcowskiego pasa przytulonym, niezmiernie cienkim i fałszywym głosem zawodzić poczyną: „Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny!”

Tu Jerzy obudził się jakby ze snu, sen jakby z głowy strząsnął, dłonią po czole i oczach przeciągnął. Obraz wspomnieniem nawiany zniknął. Rozejrzał się po haliźnie, która pociemniała nieco, bo rozpromieniająca ją przedtem różana smuga niebieska zsunęła się nisko za drzewa i naksztalt dalekiej zasłony iskrzyła się przez gęstwiny. Jerzy błyszczącymi oczami i z półuśmiechem na ustach chwilę jeszcze patrzył dokoła. „Święty Boże, święty Mocny“ — jakże on mocno i z całego serca kochał w tej chwili ziemię, niebo, śnieg, drzewa, mroźne powietrze, muzykę dzwonu u wierzchu starej dzwonnicy, ogromną figurę Chrystusa na grubej belce i to ramię ojcowskie w baraním rękawie, które osłaniało go przed ludzką ciżbą, gdy we wzniesionych oczach stały wielkie szklane lzy...

Z mniejszego, niż przedtem, oddalenia, dały się słyszeć po niejakiiej przerwie stuki toporów. Pojedyncze, to po kilka razem, to jak wystrzały kilku oręży jedne po

drugich szybko i miarowo uderzały kędyś, w nieprzejrzanых głębiach lasu, kędy uśpione echa budziły się, porwały je i powtarzały, to tu, to tam, to silnie i krótko, to przewlekłe i słabo, coraz słabiej. Czasem słychać też było głuche trzaski padających pni i suche trzeszczenie łamiących się gałęzi. Odgłosami temi zadziwione, czy przełknięte, ptactwo przycichło, drzewa z rozpostartymi ramionami zdawały się ich słuchać, a nawet, górnym jakimś powiewem poruszone, wierzchołki dwa wysokopiennych sosen przychyliły się ku sobie i zaszeptały smutnym, przyciszonym szmerem...

Jerzy przyspieszonym krokiem poszedł w stronę dokonywającej się trzebieży, kędy, za śnieżnymi rzeźbami i koronkami lasu, palił się na skłonie nieba coraz silniej czerwieniejący, coraz ognistszy obłok.

W parę godzin potem ten sam obłok jaskrawy i ogniem nalany stał pod seledynowym krańcem nieba i, bladą czerwienią zabarwiając szczyty topoli, krwiste smugi kładł na połyskującą tuż za niemi szybę zamarzłego stawu. Mróz stężał, w powietrzu ciszej jeszcze zrobiło się, niż było przedtem, nad dużym dziedzińcem zaświeciło kilka drobnych gwiazd. Na ganku długiego, niskiego domu stała dziewczyna w różowym kaftanie i widocznie niepokojna, niecierpliwa, spoglądała, to na gwiazdy, to na zarumienione wierzchołki topoli, to na staw połyskliwy, tu i owdzie żarzący się czerwienią, to na bramę dziedzińca, lub na trzymaną w ręku list w grubej kopercie. Szybkie poruszenia głowy, które czyniła, to w dół, to w górę, to w prawo, to w lewo spoglądając, czyniły ją podobną do ptaka, który czegoś lęka się i wygląda. Ubrana była tak samo, jak w południe, gdy z wiadrem w ręku po wodę do studni biegła; tylko na nogi, z pod krótkiej spódnicy widzialne, włożyła skórzane trzewiki, różowy kaftan przepasała czerwonym paskiem chłopskim i grubą kosę zwinęła u wierzchu głowy w koronę, z pod której na kark i czoło sypały się deszcze krótkich, blado

złotych włosów. Kibić miała trochę przysadzistą i twarz zbyt szeroką, nosek za gruby, lecz z warg wypukłych i kształtnych krew zdawała się tryskać, a z pod niskiego, białego czoła i osypujących je drobnych promieni, patrzyły, zupełnie takie, jak u Kuleszy, duże, wesole, szczere szafirowe oczy. Na tę twarz, niezbyt ładną, lecz świeżą i dobrą, wybuchnął rumieniec. Zeskoczyła z ganku i zrazu prędko, potem coraz wolniej iść zaczęła ku wchodzącemu na dziedziniec Jerzemu Chutce. W silnie zaróżowionych od mrozu rękach obracała, trochę nawet mięła, list w grubej kopercie. Jerzy z uśmiechem czapki uchylił, a gdy znaleźli się już blisko siebie, przyjacielskim ruchem rękę jej podał.

— Panna Awrelia po takim mrozie chodzi...

— O, mróz, bynajmniej... ja do tego przywykłam, ale posłaniec z miasteczka wrócił i list do pana Jerzego przywiózł...

Oczy zamigotały mu radością, rękę prędko po list wyciągnął, ale ona z filuternym uśmiechem cofnęła swoją.

— Chciałam go sama panu oddać, bo pewnie bardzo miły, ale zaraz nie oddam! Niech pan Jerzy poczeka trochę... na miłe rzeczy i czekać dobrze...

On, ani gniewał się, ani niecierpliwił, lubił znać tę świeżą, wesołą dziewczynę, która teraz, z głośnym śmiechem, rękę z listem za plecy schowała.

— Jak panią bardzo pięknie poproszę, to pani odda...

— To niech pan prosi...

Z przechyloną nieco głową oczy ku niemu wznosiła, lecz on, listem cały zajęty, piękności tych oczu nie widział, tylko drugą, wolną jej rękę w obie swoje schwytał, pocałował ją, mocno uściskał i, z pomimowolną zalotnością ładnego chłopca, w samą twarz jej patrząc, mówił:

— Proszę, proszę, moja miła, moja śliczna panno Awrelio, bardzo proszę!

Pięknie prosił, zbyt pięknie nawet, bo za plecami

dziewczyny list na śnieg upadł, a ona sama, jak jaskrawy obłok zarumieniona, zwróciła się ku domowi i biedz zaczęła. Na ganku zatrzymała się zdyszana i cała w ogniu; stała chwilę, na drzwi domu szklanemi oczami patrzyła, aż przemocą wyrwała się z zamyślenia i do sieni wbiegła, wołając:

— Karolka, do wieczery nakrywaj, a ja do kuchni lecę. Tatko z obory idzie i pan Jerzy już z lasu powrócił!

Jerzy zaś, w schludnym pokoju ze świeżo pobielonemi ścianami, białą, sosnową podłogą, i trochę nowych drewnianych sprzętów, u okna stanął i grubą kopertę rozdarł. Białe światło śniegu, z lekko różaną barwą zmieszane, padło na grube, niekształtne, niewprawną ręką kreślone pismo.

„Ach, najdroższy Jerzy! Zmartwiona jestem bardzo i smucę się okropnie, bo Kostanty, słyszę, coraz gorzej na ciebie wygaduje i odgraża się, że ani grosza posagu nie da. Ja nie wiem, jak ja wyjdę za mąż bez posagu i bez wyprawy. Wielki to będzie wstyd dla mnie, i ty swojej ziemi nie masz, a jak, broń Boże, miejsce stracisz, to co my wtedy zrobim? Ja zdrowa jestem, tylko bardzo zmartwiona i bardzo mnie za tobą tęskno, bo ja bez ciebie to jużbym żyć nie mogła. Tak pobuntował siostry i szwagrow, że odgrażają się wielką nieprzyjemność twoim rodzicom zrobić, jeżeli ty mnie nie wyrzeczysz się...”

Tu Jerzy wyprostował się, brwi zmarszczył i, list mnąc w pięści, prawie krzyknął: — Moim rodzicom! a nie doczekanie ich! Wprzód ja im łby potrzaskam!

Ochłonął jednak wkrótce i dalej czytał.

„Anulka mnie namawia, żebym sama do nich pojechała i powiedziała im, że mam takie postanowienie i że mnie nikt od ciebie nie odwróci. Ona tobie bardzo sprzyja i ze mną pojedzie. Już dziś biegłam do miasta fernalkę najmować, ale nie znalazłam takiego, coby niedrogo nas zawiózł. Może za kilka dni pojedziemy i będę widzieć się

z Kostantym i z siostrami i niechtam sobie choćby mnie przeklą i wyrzekną się: ja dla ciebie zawsze zostanę jednostajną. Nigdy, nigdy ja ciebie nie opuszczę i o tobie nie zapomnę, ty mnie miłszy nad wszystko w świecie. Oni ciągle krzyczą, że ty chamskiego urodzenia i ziemi swojej nie masz i że mnie z tobą nędza czeka, bo ty ziemi nie masz. Może to i prawda, ale ja wolę z tobą nędzę, jak z drugim bogactwo. Już żegnam ciebie, mój najdroższy Jerzy, i twego listu czekam.

„Żeby on choć dwie krówki na pierwsze gospodarstwo nam dał, a tak, choć tam podobno i pięć można trzymać, to za cóż my kupim? W dzień to ciągle o tobie myślę, a jak noc przyjdzie, to tyle tylko co oczy zamknę, zaraz ty mnie śniesz się. Ach kiedy my już będziemy ciągle razem! Ten Kostanty jest złośnik i ambityny, gotów jeszcze doprawdy tobie, albo twoim rodzicom jaką nieprzyjemność zrobić. Jak tylko będę mogła, zaraz tobie doniosę, jaka to u nas będzie rozmowa i jak ja od nich wyjadę, bo jeżeli on do końca nie upamięta się, tak postanowiłam, że do Anulki powrócę i od niej za ciebie wyjdę. Ona na to zgadza się, bo bardzo tobie sprzyja, ale ona jedna z całej rodziny, której daj Boże takiej nie mieć. Jak mnie w głowie kręci się od tego wszystkiego! Bądź zdrow, mój najdroższy Jerzy, i nie zapominaj o mnie, tak jak ja o tobie nie zapomnę, żeby tam nie wiem co. Twoja do grobu. *Salunia*.“

U samego brzegu arkusika, ozdobionego czerwoną i pozłacaną różą, było jeszcze bardzo krzywo napisano:

„Podobno pan posesor w Laskowie ma ładne córeczki. Jeden człowiek ztamtąd mnie to powiedział. Pewno tam u was wesoło czas przechodzi, a mnie bardzo smutno“.

Jerzy list na stół rzucił i prędko pokój przebiegł. Zgryziony był i rozgniewany. Że Salusia brzydko, nieortograficznie pisała, o tem wiedział i o to nie dbał. Nauczy ją pisać lepiej, a jeżeli i nie nauczy, nie będzie

przez to, ani brzydszą, ani gorszą, ani mniej jemu miłą. Ale po co ona powtórzyła w liście to, co ten dureń brat jej, i cała familia o nim i jego rodzicach wygaduje? Po co wymawia mu sama, że on swojej ziemi nie ma i przypuszcza, że może ją z nim spotkać nędza? Nigdy przedtem o niczem podobnem nie mówiła i nie myślała. Mniejsza jednak z tem: nastraszoną jest i od niego oddaloną, więc różne myśli do głowy przychodzić jej muszą. Ale od rodziców jego i wymawiania mu chamskiego pochodzenia, familii jej — wara!

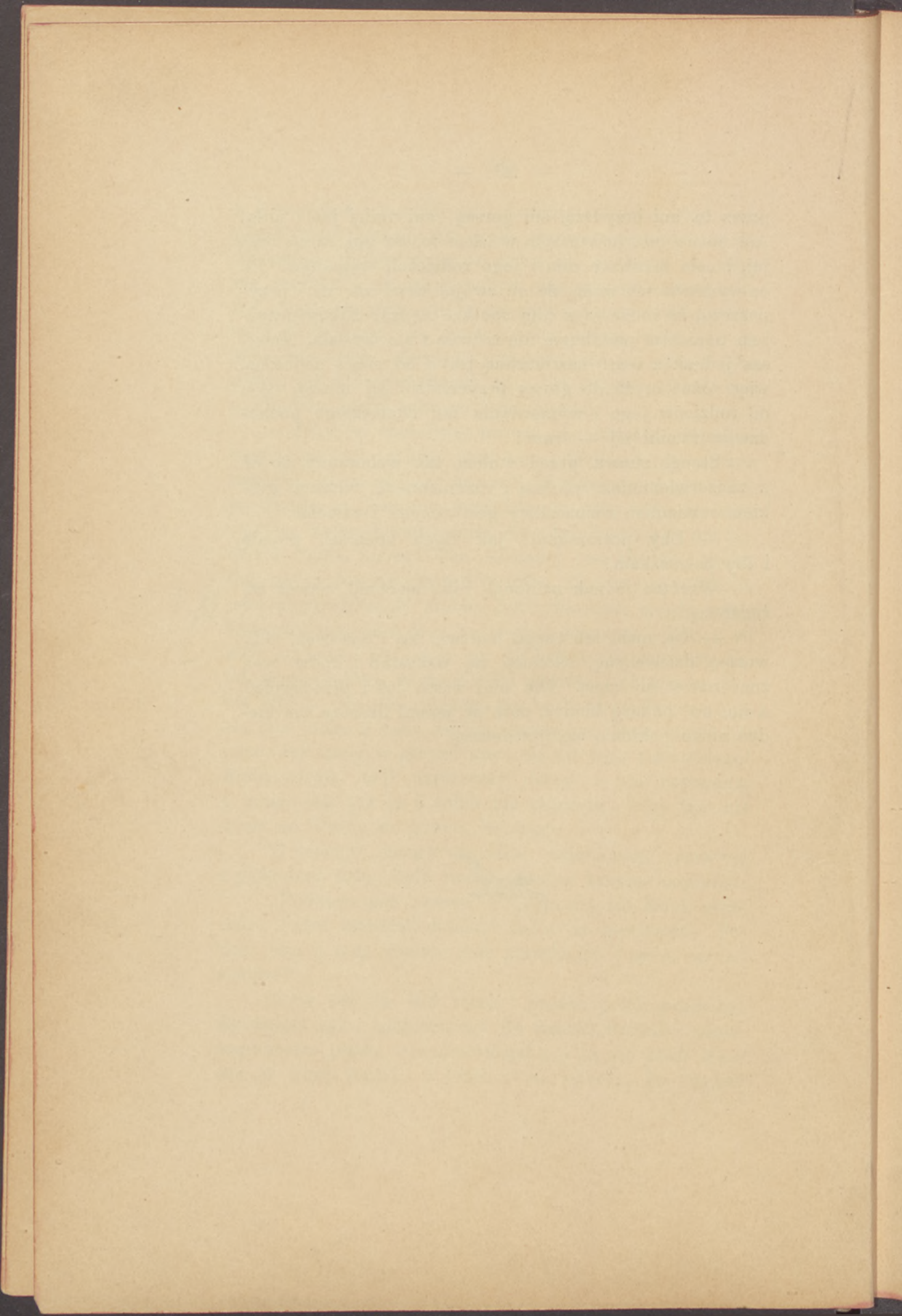
Staął znowu przed stołem tak wzburzony, że aż z zaczerwienionem czołem i rozrzuconemi włosami gibkiem ramieniem rozpaczliwy gest uczynił i zawołał:

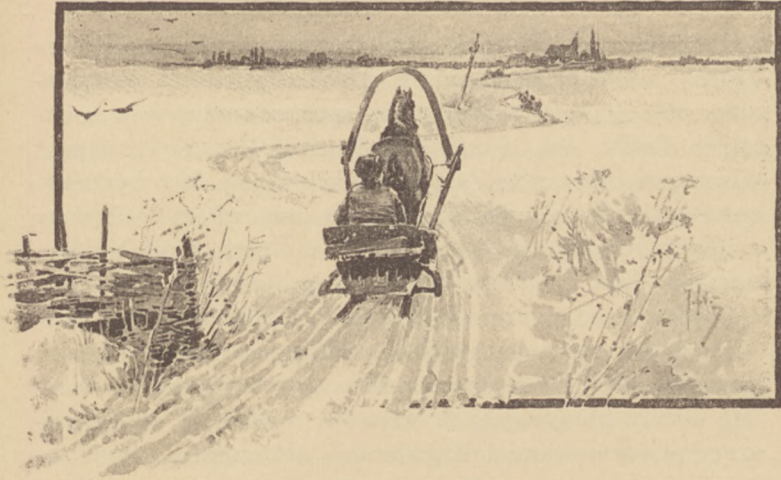
— Łby potrzaskam! jak Boga kocham, pojadę i łby potrzaskam!

Wkrótce jednak ochłonął, ręką machnął, nawet zaśmiał się.

— Ot, mam też czego martwić się i irytować! Gdy wezmę dziewczynę, skończy się wszystko i kpów tych znać nawet nie chcę. Dla niej warto coś i przecierpieć, a im, no! pokażę kiedyś, com za jeden! Jeszcze oni kiedyś nisko pokłonią się przedemną!







II.

Białymi obłokami pokryte, szarzystą omglone, niebo niskie i zadymione sklepienie wznosiło nad rozłogiem gładkim, monotonnym, powleczonym nieskazitelną białością. Był to rozłóg pól urodzajnych, pszennych i łąk w innej porze wzrastających kwiecisto i bujnie; teraz przecież te, kiedyindziej złote, zielone, różnobarwne pola i łąki nawet uschłemi badyłami nie przebijały grubej warstwy śniegu. Panowała nad niemi cisza, niekiedy tylko chrapowatemi głosami wron przerywana, i monotonia, w którą zrzadka rozsypane wie-rzby i grusze wlewały tu i owdzie samotne i smutne nuty.

Nawet rozrzucone po wielkiej równinie wioski, z dachami i drzewami pokrytymi śniegiem, zlewały się w jedno z otaczającym je gładkim bezmiarem białości; nawet drogi, tu i owdzie rzędami drzew odznaczone, najczęściej puste, kiedy niekiedy tylko migotały ciemnym z oddali, szybko pomykającym punktem chłopskich sanek, lub roz-

brzmiewały przewlekłemi nawoływaniem ludzi, zwolna kroczących przy szeregu sań, które ciężko i ze skrzypieniem płóz po śniegu wlekły się, spiętrzone drzewem z dalekich lasów, lub sianem z odległych siennic i stogów wiezionem. Strony te były pszenne, łączne, lecz bezleśne; zamieszkiwała je ludność, która po pracowitem lecie wraz z naturą usypiała na zimę, niby na długą, krótkimi godzinami dnia i roboty przerywaną, noc wczasu i ciszy. Powiększało to milczenie, pustkę, melancholię, które przewlekały się po niebie i ziemi, wisiały w chłodnem i zwilgoconem nieco powietrzu, a szумы nadlatujących i w różne strony pomykających wiatrów, wydawały się przyciszonymi rozmowami lub gwarnymi kłótniami duchów nieznanym, po zmartwiałem przestworzu w pokutnej i tęsknej gonitwie błędzących.

Tolloczki, stara siedziba rodzin Osipowiczów, Łozowickich, Brzozowskich, Strupińskich, pośród białego rozłogu stały długim szlakiem drzew obnażonych i pod odymlone niebo wzbijały z kominów kręte szlaki dymów. Do połowy prawie zatopione w śniegu płotki drewniane i kamienne, nieprzejrzane, plataniną wiły się dokoła czterdziestu przeszło zagród mniejszych i większych, z większemi i mniejszemi domami w głębi podwórek i ogrodów. Strzechy domów całkowicie znikwały pod grubem okryciem śniegu, od którego kominów odbijały jak szarawe plamy, a pobielone ramy drzwi i okien, tu i ówdzie też słupki, na których wspierały się ganki, mętnie bieleły na tle szarych, czasem aż prawie czarnych, ścian. Niebo, powietrze, otaczający rozłóg pól, napełniały ten długi szereg siedlisk ludzkich ogromną ciszą spoczynku i ukojenia, której nie przerywały, ale którą owszem uwydatniały i głębszą zdawały się czynić, porykiwania bydła w oborach, pochrząkiwania nierogacizny w chlewach, krótkie i rzadkie szczekanie psów. Czasem kogut przeciągle zapiał i wnet odpowiadały mu inne, coraz dalej, coraz słabiej, aż gdy cała już ta warta hasła swoje odśpiewała,

wszystko znowu milkło. Chyżych biegów kocich pod ścianami i wśród drzew, gnieźdzenia się tchórzy pod kamiennymi płotami, dowolnego żerowania zajęcy z pola przybiegłych, dosłyszeć nie było można. Wróble pod śnieżnymi okapami strzech świegotały, niezbyt przecież gwarnie, wrony czasem zakrzyczały głośno, tu i ówdzie gołębie zagruchały. Ludzkie życie prawie się nie ukazywało, ani w podwórkach, ani w ogrodach, ani na ścieżkach, których przecież było mnóstwo, a które w śniegu, tak jak latem na trawie wydeptane, łączyły zagrody siecią dziwnie wymowną. W zakrętach ich, wydłużeniach, kryjomem zapadaniu pomiędzy najgęstsze drzewa, w gromadnem zbieganiu się u jednych punktów, wyczytywać można było odwiedziny, schadzki, wspólne roboty, gromadne rozprawy. Ale teraz wiły się one, wydłużały i skręcały za ściany, lub w drzewne gąszcze, puste i bezludne; tu i ówdzie przebiegały je chyba kudłate kundle ze spuszczonego pyskami, coś pilnie na nich węszące, lub skaczące i grubemi dziobami w śnieg uderzające wrony. Przez to lub owo podwórko, ku oborze lub spichrzowi, pociągnął niekiedy leniwie mężczyzna w kozuchu, kobieta z wiadrem przebiegła ku studni, a wtedy wysoki żuraw długi dziób ze skrzypieniem opuszczał i podnosił, z wrót wybiegły małe sanki, jednym konikiem zaprzężone, i pomknęły w rozłóg. Zresztą, cisza i białość nieprzerwana, głęboki wczas natury i ludzi.

Jednak ludzie żyli we wnętrzach ścian ciemnych, ramami drzwi i okien mętnie bielejących i zbliśka łatwo było dosłyszeć liczne odgłosy ich życia. Były to gwarzące po domach rozmowy, miarowe stukanie krosien tkackich, trzaski ognia w piecowiskach, turkoty kołowrotek, huczenie żaren, szczebioty, śmiechy lub płacze dzieci, popośpiewywanie, czasem rozgłośne śpiewanie dziewcząt i chłopców. Jeden tylko z domów, z pomiędzy wszystkich najmniejszy i najuboższy, wydawał się zupełnie bezludnym. Dwa kudłate pieski spały na malutkim ganku, jak pstro-

kate kłębki; wypasiony szary kot tuż za szybą okna siedział z sennemi żółtymi oczami, a tuż przy nim stała wazonie, cała od kwiatu różowa, pelargonia. Kłęb białych i szarych królików, na glinianej podłodze zwinięty, dostrzedz też można było przez okno i krowa porykiwała w oborze. Ale ani rozmów, ani turkotów, ani śmiechów i śpiewów w tym domku nie było. Wydawał się bezludnym, tak był milczący wśród swoich ośnieżonych drzew i płotków. Jednak za oknem, na którym siedział kot i kwitła pelargonia, ozwał się cienki i przeciągły dźwięk, coś jakby pociągnięcie smyczka po strunach skrzypiec; po nim nastąpił drugi, wyraźniejszy, — aż z wnętrza małego domku wydobyła się na podwórko i po sąsiednich popłynęła czysto i smutnie grana melodia starej pieśni: „Tam na błoni błyszczy kwiecie“. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że ta najmniejsza ze wszystkich zagroda dla tego wydawała się bezludną, iż właściciel jej mieszkał w niej sam jeden, z ciotką tylko jak świat starą, i ze swoimi kotami, psami, królikami. Nazywał się Gabryel Osipowicz, lecz przezywano go już oddawna „głupim Gabrysiem.“ Samotny był jak palec, ubogi jak szczur, niczego od nikogo nie potrzebował, ale też nie u nikogo nie naczył. W lecie orał i zbierał na kilku swoich morgach, w zimie hodował rośliny w wazonach i grał na skrzypcach.

Obok za to, tuż obok zagródki głupiego Gabrysia, za nią tylko i przed nią szeroko rozpostarta, znajdowała się najobszerniejsza w całej okolicy zagroda, której właścicielem był najbogatszy i najrozumniejszy ze wszystkich jej mieszkańców: przystojny, wymowny i dumny Konstanty Osipowicz. Bogatym był, bo, cztery siostry mając, brata nie miał, więc po rodzicach prawie całą, i nie lada jaką, wziął spuściznę; rozumnym był, bo mówił wiele, głośno i śmiało, duma zaś jego wypływała z wiadomości o posiadaniu bogactwa i rozumu, zarówno jak z wysokiego wyobrażenia o starości i godności, od trzech wieków uszlachconego i w tem miejscu osiadłego, rodu Osipowi-

czów. Trzydzieści morgów pola i łąki, ładny inwentarz, nieco gotowego grosiwa w kieszeni z jednej strony, — a z drugiej trzysta lat szlachectwa, jak słońce jasno przed urzędem dowiedzionego, były to rzeczy, które nie wzbiłyby w dumę chyba głupca. Konstanty Osipowicz, jako człowiek rozumny i cenę każdej rzeczy na świecie znający, dumnym był, a jak wyrażali się sąsiedzi, wielkim ambicyantem. Nie tylko przecież dumę, ale i przystojność swoją czerpał z rodu, którego był synem. Piękny wzrost, regularne, jak na kamei, rysy, przy śniadej cerze włosy jak krucze pióra czarne i pod brwią wążką czarne, ogniste oczy, było to rodzinne przymioty Osipowiczów, od dawna z piękności dziewcząt i chłopców słynących. Wszyscy podobni do siebie bywali, z rodu kury czubate: bruneci i brunetki, wysocy, smukli, na twarzach gładcy. Takim był i Konstanty, a tylko czupurniejszym, wymowniejszym, głośniejszym od innych.

Najświeższym dowodem jego ambicyi była niedawno wybudowana wielka stodoła, która pośrodku okolicy i u samego jej brzegu jak słońce świeciła nowiutkimi jeszcze, żółtymi ścianami. Niektórzy utrzymywali z przekąsem, że dlatego zbudował on ją na brzegu, tuż przy drodze, aby jadący drogą ludzie dokładnie widzieć ją i wielkość jej oglądać mogli; inni, złośliwie uśmiechając się, w żywe oczy mu gadali, że gdyby nie wiedzieć jak obfite miał z gruntów swoich zbiory, jeszcze-by niemi zaledwie do połowy napęłnić mógł tak wielki budynek. Ale on bynajmniej o przycinki i uśmiechy sąsiadów nie dbał, a prawdziwej rozkoszy doświadczał, ilekroć ktokolwiek, stodołę jego obejrzawszy, głową pokręcił i zagwizdał: fiu! fiu! albo zawołał: ho! ho! jak u dobrego obywatela stodoła! Wtedy on ręce w kieszenie sukiennej kurty wkładał i, chodząc tu i ówdzie po zagrodzie, gwizdał sobie także: fiu, fiu! fiu, fiu! a pokłóciwszy się z którym z sąsiadów, ręce na kłębach opierał i krzyczał: ja tobie nie równy! ja obywatel! Były to przecież tylko chwilowe uniesienia

dumy. W gruncie rzeczy wiedział o tem dobrze, że obywatel nie jest, a nawet to, że jest zagrodowym szlachcicem, wysoko sobie cenił. „Wszystkie rody pańskie od nas poszły — mawiał — praddziad mój równym był wojewodzie, a ja równy jestem panu Korowickiemu“.

Pan Korowicki był najbliższym i dość majątnym sąsiadem Tolłoczek. Cała też дума Konstantego nie przeszkadzała mu wraz z parobkiem za plugiem chodzić, kosić tak, że aż w kościach trzeszczało, snopów z pola zwozić, cepem bić o tok wspaniałej stodoły; nie przeszkadzała mu też ona żywić się i przyodziewać zupełnie tak samo, jak to czynili wszyscy jego sąsiedzi. Owszem, nowe pobudki do wywyższania się z tego wszystkiego czerpał i niekiedy wyrażał to w słowach: Gdyby mi tak wolno było, jak jest niewolno, rychłobym na miejscu pana Korowickiego w Jabłonnej siadł, bo on próżnuje i marnuje, a ja pracuję i grosiki kuję; cha, cha, cha! Śmiech miał głośny, ale dźwięczny i przyjemny; czuć w nim było trzydziesty rok życia i hardą, zadowoloną duszę.

Od owej wspaniałej, wśród powszechnej bielizny i szarzyzny jak słońce świecącej stodoły długi szlak warzywnego ogrodu, spory sad owocowy i dość obszerne podwórko ciągnęły się aż do domu, bokiem ku podwórku obróconego, a świecącego białemi prawie jak śnieg słupkami ganku i ramami czterech sporych, widnych okien. Stojące tuż przy ścianach cienkie brzozy i grube topole nagiemi gałęzmi dotykały płachty śniegu, która szczelnie od okapu do okapu pokrywała strzechę; niżej rosły gęsto i cienkimi prętami na okna kładły się krzaki bzu, głogu i żółtej akacyi. Każdy mieszkaniec jakiegokolwiek okolicy poznać mógłby od razu, że dom, pomiędzy krzakami i drzewami stojący, wyporzadzony był na dwa końce, to jest, że po jednej stronie miał świetlicę i bokówkę, po drugiej przeciwiek i kuchnię, a wszystkie te jego części, zwłaszcza świetlica, niemałemi być musiały.

Istotnie, świetlica była obszerna, z dwoma oknami w jednej ścianie, a jednym w drugiej, z bardzo długim piecem z białych kafli, który okrywał całą ścianę, od bokówki ją oddzielającą. Zresztą, prosta, lecz gładka i czysta podłoga z desek, niski, belkowany, lecz świeżo pobielany sufit, trochę drewnianych zydlów, krzeseł, stołów, szafek, pośród których królowały dwa bardzo stare i ciężkie sprzęty: żółta, jesionowa komoda pomiędzy oknami, i u ściany takąż kanapa, kilimkiem obita, ogromna, rozłożysta, z bocznymi poręczami, grubemi jak potężne wały, a oparciem z tyłu bardzo wysokiem i wyrzniętą w drzewie galeryjką przyozdobionym. Posiadanie takiej kanapy znaczyło prawie to samo, co dokument szlachectwo udowadniający; był to bowiem spadek po przedziadach, których udziałem musiała już być niejaka zamożność i dostojność, skoro na kanapie siadywali sami i gości swoich sadzali.

Konstanty Osipowicz w tej właśnie chwili na kanapie siedział, plecami o wysoką jej poręcz oparty, z nogą na nogę niedbale zarzuconą, z rękami zanurzonemi w kieszeniach szarej kurty, czarnemi taśmami i szamerowaniami przyozdobionej. Ta kurta, jakkolwiek z grubego samodziałowego sukna zrobiona, ale z fantazją przystrojona, i długie do kolan, nowe buty, nie były jego codziennym strojem; przywdziewał go on dla gości, którzy od paru godzin jednokonnemi saneczkami pod ganek jego zajeżdżali, albo też z sąsiednich zagród przychodzili, a od których teraz pełno i gwarno było w świetlicy. Wprawdzie, była to tylko familia: siostry, szwagrowie, strzeczny (tj. stryjeczny) brat z młodzieńką żoną, ale Konstanty nie życzył sobie, aby nawet najbliżsi widzieli go w stanie jakiegokolwiek niedostatku lub zaniebdania. Po dwie siostry i ich mężów sam był posłał, gdy tylko dowiedział się od kogoś z miasta powracającego, że dwie inne dnia tego przybyć do niego mają. Jedna z tych ostatnich, Anna Końcowa, od lat kilku zamożnemu

mieszczaninowi zaślubiona, stale w mieście zamieszkiwała; druga, najmłodsza z rodzeństwa, Salusia, pojechała była do tamtej na czas krótki i niespodzianie rok prawie cały u niej przebyła. W czasie tym właśnie popełniła ona wielkie głupstwo, a popełnić zamierzała jeszcze większe; ale on, Kostanty, nie pozwoli na to, jak Bóg na niebie, nie pozwoli, zapobiegnie jej zgubie i gańbie, któraby z takiego postępu tej dziewczyny spadła na całą rodzinę, ale też i rodzina dopomóż mu w tem musi: po to ją i wezwał. Siostry zawsze bliższe są siostrze, aniżeli brat: niechże więc starają się od własnej zguby i gańby ją odwrócić, co zaś do szwagrów, to jeżeli, pomimo namów i zakazów, Salusia zaskali się w swoim bałamutnem postanowieniu, pomocy ich potrzebować on będzie do czego innego... do czego? no! teraz o tej materii gadać nie pora, ale w czasie wszystko oświadczy. Zdaje mu się, że garnki, które te chamy do ognia przystawili, na ich głowach pękną, bo on, do ostatecznej passyi doprowadzony, na wszystko ważyć się gotów. Wszelako na świecie bywa, i nie jeden raz widziano ludzi mszczących się na tych, którzy ukrzywdzić ich chcieli. I on zrobić to zdoła, choćby i na kryminal wystawić się miał. Wszystko to mówił, zrazu powoli, ważąc i wybierając słowa, z widoczną przyjemnością im się przysłuchując, ale potem temperament wziął górę nad krasomówstwem, głos podniósł się i nappełnił całą świetlicę, rumieniec wytrysnął na policzki, oczy zagorzały. Ręk już nie trzymał w kieszeniach, ale czynił niemi rozmachliwe gesty, aż pięścią w stół uderzył i krzyknął: — Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży! U mnie tak! Gdzie dobrocią nie utrafię, tam złością dokonam, siostrze zaś którą mnie umierające rodzice przyporuczyli, zmarnować się nie dam!

Do złości, którą zawrzał, przyłączył się żal, głos mu opadł i zwilgotniały rozplomienione oczy. Otarł je wierzchem ręki, znowu opuszczył się na kanapę i ciężko

westchnął, westchnieniu zaś temu zawtórzyło w świetlicy kilka innych, kobiecych i męzkich.

Trzy kobiety i trzech mężczyzn siedziało na zydłu i krzesłach przy stole u okna, który zastawiony był jadłem, dobrze już napoczętem. Była tam zupa mleczna z makaronem, kielbasa gotowana, ser, bochen chleba, fajansowa masielnica z czerwonym kogutkiem na wierzchu. Obsiadujące stół osoby od czasu do czasu niosły do ust kęs jedzenia, składały ręce na kolanach i, bardzo powoli przeżuując, mowie gospodarza na różne głosy potakiwały: — A jakże! pewno! ma się rozumieć!

Osipowiczówny, po mężach: Pancewiczowa z Ku-
blak i Zaniewska z Zaniewicz, daleko za trzydziestkę li-
czyć mogące, z dawnej piękności zachowały już tylko
wysokie wzrosty i silną czarność włosów i oczu, które
to ostatnie, błyszczące i biegające, zapowiadały, wspólnie
z zaostrozonymi rysami twarzy, niepospolitą żywość tem-
peramentów i popędliwość języków. Welniane suknie
i zgrabne czepeczki, które na sobie miały, nie były co-
dziennym ich strojem; jadąc przecież w gościnę, choćby
do brata, musiały przystojnem ubraniem i siebie i gościnę
uszanować. Mężowie ich wyglądali daleko spokojniej
i stateczniej od nich; niemniej znać było, że wiedzieli
dobrze, kim byli i co się im od ludzi należało; zwłaszcza
Pancewicz, który oprócz swojego, wcale porządnego, go-
spodarstwa niedużą dzierżawkę w sąsiedztwie trzymał,
siedział na zydłu bardzo wyprostowany w jasnym kra-
wacie i, słuchając mowy Konstantego, nadzwyczaj poję-
tnie uśmiechał się pod żółtym wąsem i bardzo mądrze
brwiami poruszał. Strzeczny brat, Michał Osipowicz, i młoda
jego żona, zaledwie przed kilku tygodniami zaślubieni,
daleko więcej zajmowali się sobą, niż tem, co działo się
w koło nich; co moment mrugali ku sobie, rzucali na siebie
gałkami, a nawet całe skórynki chleba, i parę razy najnie-
spodzianie i najniepotrzebniej, z jakiegoś powodu im tylko
wiadomego, wybuchnęli śmiechem. To lekceważenie familij-

nego interesu, a szczególnie to śmianie się wtedy, gdy jemu chciało się bić i płakać, irytowało Konstantego, który też parę gniewnych, a jedno wściekle po prostu, spojrzenie na młodą parę rzucił. Ale w tejże chwili powolutku i pocichutku otworzyły się drzwi od sieni i wszedł przez nie wysoki, chudy, przeszło czterdziestoletni człowiek w grubej kapocie, dużo poniżej kolan sięgającej, z gładko przyczesanemi włosami nad twarzą długą, żółtawą, kościstą, jakby wyschlą, a uderzającą zdala silną czarnością oczu i krótkiego gęstego wąsa. Był to Gabryel Osipowicz, głupim Gabrysiem zwany. Wszedł, milcząc, głową na wszystkie strony kiwnął i tuż przy progu, na zydelku, u samej ściany stojącym, usiadł. Takie przychodzenie i siadanie przy drzwiach głupiego Gabrysia było znać zwyczajnem, bo przyjęte zostało przez wszystkich w sposób najzupełniej obojętny. Wszyscy kiwnęli mu głowami, bo przecież bądź co bądź Osipowiczem się zwał, ale do stołu go nie zapraszano i nikt już na niego ani spojrzał. Słuchano Pancewicza, który, powoli żując kiełbasę, z nadzwyczaj znaczącym ruchem żółtych brwi rozповідаł o tem, że był niedawno u Kazimierza Jaśmonta w Jaśmontach i widział te dwa konie, które on u Onufrego Cydzika kupił. Konstanty, nie rad, że do rozmowy wtrącono inną materję, niż ta, która jego dziś nadewszystko zajmowała, mrukliwie nieco odpowiedział, iż trzy dni temu jeździł także do Kazimierza Jaśmonta z jednym bardzo ważnym interesem, takim ważnym, że od niego może w drugim interesie wszystko zależeć... Chciał on o tem siostry i szwagrów w czasie dopiero uwiadomić, ale ponieważ zgadało się już o tej materji...

Tu przerwał mu przyciszony i powolny głos siedzącego u drzwi gościa.

— Słyszę, Salusia ma dziś przyjechać? — nie zmieniając swojej pozycyi u drzwi, zapytał Gabrys.

— A przyjedzie, przyjedzie, — obie z Końcową przy-

jada, — odpowiedziało mu parę głosów, a Konstanty, na kanapie rozparty, z tajemniczą miną wyrzekł:

— Kazimierz Jaśmont dziś tu przyjedzie...

— Czego? Po co? czy konia masz do sprzedania?
— jednogłośnie u stołu zapytano.

Konstanty głową pokręcił i z tajemniczym uśmiechem odpowiedział:

— Większy tu troszkę targ nastąpi, niżeli o konia...

Pełen powagi i zadowolenia z siebie, z kanapy powstał, uśmiechał się wciąż tajemniczo i patrzył przebiegle.

— Na różne choroby są różne sposoby, — zaczął — otóż na tę chorobę ja jeden sposób wymyśliłem: pojechałem do Jaśmonta i powiedziałem: Jeżeli będzie tak a tak, to jest podług mojego życzenia, ja Salusi sześćset rubli posagu na stół wypłacę...

Pancewiczowa i Zaniewska aż podskoczyły na stolikach, a on, prostując się i ręce w kieszenie wkładając, dokończył:

— Bo kiedy ja coś przedsięwezmę, to już niczego nie pożałuję, aby dokonać... choć własnej krwi utoczę, a dokonam... Może mnie przyjdzie tego siebie w garści ścisnąć, głodem przymrzeć, bez butów pochodzić, ale co powiedziałem, dokonam. Jeżeli stanie się tak a tak, to jest podług mojego życzenia, sześćset rubli posagu na stół jej dam... Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży! U mnie tak!

Skończył i czas jakiś trwało milczenie, które prze-rwała Pancewiczowa, z dłonią przy policzku i dziwnie migoczącymi oczami w tył i naprzód kołysząca się na stolku.

— Jednakowoż, — głośnie, prędko i piskliwie mówić zaczęła, — jednakowoż Konstanty jest bardzo niesprawiedliwy! Dla jakiegóż to przyczyny najmłodszej siostrze aż sześćset rubli posagu ma wypłacać, kiedy starsze dostały tylko po trzysta?

— To jest prawda! — kręcąc się na stolku i jeszcze głośnie, powtórzyła Zaniewska — wszystkim trzysta, a je-

dnej sześćset. Dla jakiejże to przyczyny? Czy dla tej, że ona takie zgryzoty rodziny robi, których my nigdy nie robiły?

— Albo dla tej, — podjęła znowu Pancewiczowa — że Kostanty jest niesprawiedliwy i własną swoją krew chce ukrzywdzać...

— Że Kostanty jest krzywdzicielem — wpadła jej w mowę młodsza, o tem już mnie i wtedy wiadomem było, kiedy to trzy krowy przyobiegał dać, a dał tylko dwie...

Tu ozwał się gruby bas Zaniewskiego:

— To jest prawda, na Kostantego obietnicę nie zawsze spuszczać się można.

Obie siostry zaś razem już krzyczały:

— My takie same córki swoich rodziców, jak i Salusia, i to samo należy się nam, co i jej... Tylko u Kostantego fantazyja więcej znaczy, aniżeli sprawiedliwość... U Kostantego ten najlepszy, kto najgorzej postępuje...

Tu przecież oskarżonemu cierpliwości zabrakło. Wszczynającej się kłótni słuchał zrazu z lekceważeniem, ale teraz, zaczerwieniony, nogą tupnął i krzyknął:

— Czego rozjadłyście się jak psy na dziada? Czy z waszego daję? Nawet nie z rodzicielskiego! Dorobek własny posiadam i co moja łaska dać komu z niego, to dam, a do swoich garnków nikomu zaglądać nie pozwolę!

Kobiety pozrywały się ze stołków.

— A to nas tak Kostanty w domu swoim przyjmuje! A to na takie piękne słowa Kostanty nas zaprosił! Ślicznie dziękujemy za taką uprzejmą gościnę!

— To jest prawda, — wstając także zahuczał Zaniewski — że Kostanty aż nazbyt niegrzecznie z siostrami postępuje... Ale Pancewicz, niezmiernie już przebiegle ruszając brwiami i wąsami, za szwagra ujmować się, a kobiety mitygować zaczął. Wszyscy z miejsc powstawali, wszyscy razem mówili, kobiety rozmachiwały ramionami; Pancewicz pociągał je za czarne rękawy, a żonie dłonią usta zamykał; gruby Zaniewski huczał, że idzie konia

zaprzągać, Konstanty cały czerwony krzyczał, że jest panem swoich pieniędzy i może rozdawać je według wszelkiej swojej fantazyi i upodobania.

W całym tym gwarze i zamieszaniu trzy osoby tylko nie brały udziału żadnego: stryjeczny z młodą żoną, którzy, trzymając się za ręce, obojętnie i z niejakim zgorszeniem kłótni się przysłuchiwali, i Gabrys Osipowicz, w jednej ciągle pozycyi u drzwi siedzący. Gdy tylko dwie kobiety spór o posag zawiodły, uśmiechać się on zaczął pod gęstym, krótkim wąsem, a teraz, gdy kłótnia na dobre już wrzała, powolnem spojrzeniem po wszystkich twarzach wodził, głową trząsł i śmiał się cichym, wewnętrznym śmiechem, od którego drgała mu na piersi brunatna kapota. Można byłoby przypuszczać, że litował się lub naigrawał, gdyby znowu zbiedzona powierzchowność i pokorna u drzwi pozycja przypuszczeniu temu nie zaprzeczały.

Nagle, wśród najwyższego wojennego zapалу, rozległ się czyjś głos u okna:

— Przyjechały! przyjechały! Końcowa i Salusia przyjechały!

W świetlicy uciszyło się, jak makiem zasiał; w mgnieniu oka wszyscy z gniewu ochłonęli i, jak się byli poróżnili, tak znowu sprzymierzyli się nagle i niespodziewanie. Siostry, brat i szwagrowie na znak porozumienia zamrugałi ku sobie oczami i pokiwali głowami; kobiety uroczyście za stołem u okna zasiadły, Konstanty z ręką na kłębie przy kanapie stanął, aż drzwi od sieni otworzyły się ze stukiem i do świetlicy wpadły dwie kobiety w dużych salopach, z głowami w wielkie chustki pozawijanemi.

— Jak się macie? — zawołała jedna.

— Święty Boże! I Kazia, i Marylka, i wszyscy tu! czy to tak zgromadzili się na moje przywitanie?

Głosy były młode i wesole; w mgnieniu oka też z salop i chustek, jak motyle z gąsiennic, wywinęły się dwie młode i żwawe kobiety.

Końcowa wyglądała na nieubogą i w świecie trochę otartą mieszczanekę; włosy miała podniesione w górę i u wierzchu głowy zgrabnie zwinięte, suknię po miejsku skrojoną i przybraną; młoda była i jeszcze ładna, ale obok towarzyszki prawie niemłodą i nieładną wydawać się mogła. Piękna ta dziewczyna wysmukłą i gibką była jak brzoźka, a świeżą jak maj. Drobne jej rysy ocieniała gęstwina czarnych włosów, ciężkim warkoczem na plecy opadających, policzki tryskały rumieńcem, oczy iskrami, z za warg czerwonych błyskały białe zęby. Na uroczyste miny i postawy obecnych uwagi nie zwracając, w mgnieniu oka stół obiegła, kobiety wycalowała, mężczyznom ręce uściśnięła, a wypadkiem ku drzwiom spojrzawszy i zobaczywszy siedzącego przy nich na zydelku gościa, zawołała: „Gabrys, jak się masz?” — i jemu także rękę podała. On, odkąd weszła, oczu z niej nie spuszczał, a gdy przybliżyła się, twarz jego z żółtawej stała się czerwoną. Zerwał się z zydla i we dwoje złamany, wąsate usta w rękę jej tak wlepił, że zdawać się mogło, iż ją pochłonie. Ona, drugą ręką po kapocie go poklepała i żywo zwróciła się ku bratu.

— Jak się masz Kostuś? Czegóż to takim słupem stanął? Nie kontent, że do domu powróciłam, czy co?

Śmiejąc się szła ku niemu, ale on, ku samej ścianie się cofnął i z niskimi ukłonami, urągliwie uśmiechając się, mówić zaczął:

— Owszem, owszem! Wielka to jest promocya dla mnie i dla mojej chaty, że pani Chutkowa była łaskawa do niej wstąpić! Niech pani Chamowa nie uważa, że ja prosty szlachcic, może i nie uniem takiej osobie atencji przystojnej okazywać, ale pomiędzy chamami jeszcze nigdy nie bywałem i nie wiem jak tam oni witają się i atencye swoje składają! cha, cha, cha, cha!

Aż trząśł się z gniewu, a śmiejąc się na całą izbę siostrę piorunującym wzrokiem przeszywał. Ona, jakby jej nogi w ziemię wrosły, stała zdziwiona, bo, jakkolwiek spo-

dziewała się gniewów i wyrzutów, ale takiego aż przyjęcia nie przypuszczała. Już siostry, kiedy na powitanie je całowała, odwracały od niej twarze, szwagrowie palcami, jak patyki twardymi, zaledwie ręki jej dotknęli, a teraz ten z takim naigrawaniem się do niej przemawia!

— A toż co? — zawołała, ale Pancewiczowa mowę jej przerwała:

— A to, że jakie „dopomóż Boże,“ takie „Bóg zapłać!“ Jaka ty dla nas, takie my dla ciebie!

— A cóż ja wam złego zrobiłam?

— A to — zaczęła jedna, — że umyśliłaś siostry zakasować... My sobie biedne szlachcianki, za prostą szlachtę wyszły, a ty wcale inszą partję sobie wynalazłaś... toż i zazdrosne jesteśmy o to, że nas chłopci żonki nie pobrali, a ciebie jeden bierze...

— A jaki jeszcze! Z majątkiem! — dorzuciła druga — ziemi dużo ma, ale nie tyle, aby na niej budę dla psa zbudować!

— Ani domu, ani łomu — zahuczał Zaniewski.

— Bezrolny chłop! — powtórzył Pancewicz.

— Ale za to tytuł jest, ho, ho! — śmiał się znowu Kostanty — pan... przepraszam... jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony pan Cham.

— Dobry los! inszego widać warta nie była!

— A widać zmiarkowała, że lepszy nie weźmie, to sobie sama siakiego takiego bierze!

— *Siakij takij cialepiej, kali swoj, to lepiej!*

— Ot i dobrze utrafiłeś, bo jej chłopskie mówienie najmiłsze!

Salusia, wśród tego plutonowego ognia drwin i przycinków stała jak niema, z głową schyloną, ze wzrokiem wbitym w ziemię i płomiennie zarumienioną twarzą, na której widać było przygniatające uczucie wstydu i upokorzenia. Z całej postawy jej poznać było można, że w głębi mówiła sobie: to jest prawda! to jest prawda! on chłop, ziemi nie ma! wszyscy naigrawają się ze mnie!

Ach, jaka ja nieszczęśliwa! I już lży do oczu nabiegać jej zaczynały, gdy Zaniewska, z tonu szyderskiego w gniewny wpadając i na stolku aż podskakując, krzyknęła:

— Chyba nas wszystkich do grobu położą, wprzód nim ty za tego oberwańca pójdziesz!

— Co to oberwanie! — przywodziła, kołysząc się, Pancewiczowa — to jest łotr, wisielec, powroźnik, łańcusznik...



Salusia wtedy nagle głowę podniosła, wyprostowała się, błyskawicami z oczu sypnęła i, cała trzęsąc się z oburzenia, ku siostrom skoczyła:

— A wy jakim prawem takie przezwiska jemu dajecie? Chwytajcie się za swój nos, a cudzych nie ty-

kajcie! Jaki on łotr, i wisielec, i łańcusznik? Co on komu złego wyrządził? Dla jakiej przyczyny wy go swemi gadzinowemi językami sieczecie?

Teraz dopiero poznać można było, że i ona należała do tych, którzy siebie w kaszy zjadać nie dają. Była bardzo do brata podobną, a teraz stała się jeszcze podobniejszą. Ta sama, co u niego, hardość i gniewliwość głowę jej wysoko odrzuciły, zmarszczyły brwi i rozżarzyły oczy. Jedną ręką na kłębie oparta, wyprostowała się jak struna i ku bratu obrócona krzyknęła:

— Ja waszym językom nie pozwolę, aby na mojego narzeczonego pluły! Słyszysz, Kostanty? On cham, to jest prawda, ale cham chamowi nie równy i on nie taki, jak wszystkie chamy, a daj Boże, aby wy jego warci byli! Słyszysz, Kostanty! I niech was Pan Bóg broni, żebyście na niego wygadywali i od łańcuszników go przezywali, bo jak Boga kocham, jeszcze skoczę i komukolwiek oczy wydrapię, słyszysz, Kostanty!

Tu odwróciła się i wypadkiem spojrzała na Gabrysia, który, do ściany plecami przytulony, jak w tęczę w nią zapatrzony, głową potakująco trząsł i śmiał się bardzo po cichu, ale innym, niż przedtem, bo jakby rozkosznym, śmiechem. Nie miała jednak czasu zwrócić na to uwagi, bo w koło niej powstała już teraz prawdziwa orgia językowa. Wszyscy obecni, z wyjątkiem tylko młodej bratowej i Gabrysia, protestem jej rozjątrzeni, zrywając się z siedzeń, chodząc po izbie, znowu siadając, mówili i krzyczeli. Nie była to już rozmowa, ale wrzawa, w której drwiny i przycinki zastąpione zostały przez wyrzuty, zarzuty i groźby. Zarzutów wprowadzie było tylko dwa: że Jerzy Chutko jest chłopem i że ziemi swojej nie ma, bo co się tyczy łotra, wisielca i łańcusznika, te, jako przygodne i na niczem nieufundowane, po długich zaledwie przerwach na języki powracały, i to tylko w najwyższym już napięciu językowej furii. Z dwu zaś zarzutów w rzeczywistości pod-

stawę mających, jeden dla jednych, drugi dla drugich posiadał wagę większą. Zlewało się to przecież wszystko w jedną całość, która wzrastała, przybierała coraz groźniejszą i bardziej zawstydzającą postać. Co to jest człowiek, który ani kawałeczka swojej ziemi nie ma? Włóczęga, żebrak, dziad kościelny! Miejsce dobre dostał, pensję dobrą bierze, nazywa się nadleśnym! Bajki babom! Miejsce dobre! a stracić to go nie może? A jak straci? Wtenczas manatki na furę i jedź w świat, gdzie oczy poniosą. Drugie dostanie? Pewno! Wszyscy tylko i czekać na niego będą z miejscami! tyle tych miejsc jest w teraźniejszych czasach! A jeżeli nie dostanie, to w miasteczku osiadaj i z fancikami do żyda chodź po trzy grosze na kawałek chleba! Żeby jeszcze samym cierpieć? a dzieci? Będiesz ty miała pięcioro, sześcioro, ośmioro dzieci, najpewniej będziesz miała ośmioro dzieci, które karmić i przyodziewać przyjdzie — a z czego? kiedy nie ma o co rąk zaczepić? A na wypadek wojny, gdy jego do wojska zawezwą? Insze kobiety choć i bez mężów, ale na swojej ziemi i w swoich chatach ostaną, a pani Chutkowa co zrobi? Też w służbę pójdzie? Ładny los! nie ma co mówić. A no, na dziewczkę do dojenia krów i prania cudzych brudów widać rodziła się, kiedy takiego losu pożąda! Tylko z dzieciakami i na taką dziewczkę nikt nie przyjmie. Przyjdzie może brata i siostry w ręce całować, aby przyjęli — ale oni nie głupi, i temu, kto na ich zakazy i prośby uszy zamykał, ku pomocy nie staną. Niech ten, kto ich za nie sobie poczytywał, sam sobie we wszystkim rady daje, a oni, choćby go głodem mrącego widzieli, obojętnymi pozostaną. Przytem i poniżenie. Jaka służba jest, to jest; choćby najlepsza, zawsze to służba, osobliwie, jeżeli kto, swojego kąta nie mając, trzymać się jej musi jak ślepy płotu. Nadleśny czy podleśny, zawždy to co inszego, niż pan w swoim domu, choćby najmniejszym. Każą być lokajem, — będzie! Każą językiem proch przed pańskimi

stopami zlizywać, — będzie! Wszystko spełni i wszystko zniesie, choćby szturhańce i najgorsze ubliży, byle miejsca nie stracić i na psa nie zejść. A co mężowi, to i żonie. Wstyd jego, jej gańba. Jemu zresztą to i przyrodzone, aby służył i wszystko znosił, bo tak z chamami zawsze bywało, ale dla jakiej przyczyny ona zdrową głowę pod ewangelię kładzie? — to już chyba dla tej, że Pan Bóg ją opuścił, dyabeł opętał i siostrzyczka zbałamuciła.

Tu burza wzdeła się, wzrosła w moc i spadła na Końcową, która daremnie po razy kilka usiłowała głos zabrać. Teraz wyrzucać jej zaczęto, że siostrze na niegodne romanse pozwalała, że sama pierwszą przyczyną wszystkiego była, hołysza tego do domu zapraszając, przyjmując, częstując, że nawet bratu, kiedy to on do miasta jeździł, w żywe oczy ważyła się wypowiadać swoje zdanie o wielkich doskonałościach pana Chutki i o szczęściu, które Salusię z nim oczekuje, że zresztą po niej, po Końcowej, spodziewać się tego było można, ponieważ i sama nie wynalazła sobie lepszego kawalera, jak syna takiego, co może tam niegdyś ulice w mieście zamiatał. Ale dla siebie to jednakowoż mądrzejsza była, — nie bój się! męża choć i miejskiego śmieciuchą, lecz z ładnym domem i zyskownem rzemiosłem, wzięła, a siostrę gotowa była za żebraka wydać, zgubić, w łzach wiecznych i nędzy utopić!

Końcowa, łagodniejsza i gładsza od swoich napastujących sióstr, broniła się, jak mogła, siebie uniewinniała, za Jerzego ujmowała się, aż gdy coraz srożej na nią nacierano, gdy i Konstanty krzyczeć zaczął, że jeżeli siostra zginie, to ona Panu Bogu za nią odpowie, zerwała się z gniewem i obrazą, wołając, że wcale nie po to tu przyjechała, aby nią poniewierano, że do poniewierki nie przywykła, swój dom, chwala Bogu, i swego męża i swoje uważanie w świecie ma, konia, którym z miasta przyjechała, natychmiast założyć każe i ani momentu dłużej

tych impertynencyi nie znosząc, do swego domu, męża i uważania odjedzie.

Tego znowu obecni wcale sobie nie życzyli, bo w gruncie rzeczy Końca poważali, Końcową lubili, i była im ona teraz, jako najbliższej z Salusią sprzyjażniona, bardzo potrzebną. Więc ją jako tako ułagodziwszy, znowu na Salusię całym ciężarem runęli... Ale dziewczyna, po środku izby stojąc, wyprostowana, zuchwała, rozogniona, jak osa odcinała się dokoła, najczęściej do brata się zwracając, tak, że w ogólnym gwarze wyraźnie rozróżnić można było ich dwa głosy, jakby w nieubłaganym pojedyńku na piłki czy kule, rzucające ku sobie szybkie, zacięte pociski słów.

— Psy wyją, a miesiąc świeci! Nie znasz, a wygadujesz! Wpierw poznaj, potem gań! — wołała Salusia.

— Właśnie, że znam! Ze wszystkich stron go obejrzałem i z żadnej nie dobrego nie uwidziałem — odkrzykiwał Konstanty. — Ani wełny, ani mleka; ani z mięsa ani z pierza... cham — i kwita!

— Lepszy od ciebie, bo edukowany. Ty takiej edukacyi i nie widział, jaką on ma!

— Nie pomoże krukowi mydło! brudnego gałgana edukacya nie wybieli!

— Kostanty arystokrat, to niechaj sobie wielkiej pani szuka, a ja dla siebie za męża idę, nie dla Konstantego...

— Cha, cha, cha! Bieda tylko, że nie pójdziesz...

— I czemuż to?

— Bo ja zabraniam!

— Już moje dzieciństwo przeminęło! Dwadzieścia trzy lata mam i nikt mi nie nakazać, ani zakazać nie zdoła!

— Słuchaj Salusia, u tego tańca dwa końce: albo posłuchasz i ja ciebie uszczęśliwię, albo grosza posagu nie dam, jednego łachmana nie dam, na próg nie puszczę...

— Mnie i w jednej koszuli wezmą, a na próg twój moje nogi łakome nie będą!

— Z tobą gadać to samo, co wodę rzeszotem czerpać!

— A z takim, jak ty, naigrawaczem i krzywdzicielem to i wcale gadać nie warto!

— A z chamem warto?

— Na was dwóch spojrzawszy, jego za pana, a ciebie za chama poczytać można!

— Niech go psy zjedzą!

— A żebym ja była wskrós ziemi poszła, nim do tego domu przyjechałam! — z ogromną już żalością krzyknęła, twarz rękoma zakryła i z głośnym płaczem do wpółotwartej bokówki wybiegła. Konstanty czapkę z okna schwycił i, głośno sapiąc, cały gniewem ziejący, na podwórko wypadł. Wszystkie pozostałe w świetlicy kobiety porwały się z miejsca i do bokówki za Salusią wpadły. Czy im się jej żal robiło? czy uczuły, że na tę hardą dziewczynę złość i krzyki nie podziałają i trzeba innych sposobów użyć? — dość, że za przymkniętymi drzwiami bokówki dały się wkrótce słyszeć głośne pocałunki, pieśzczołliwe nazwy, tajemnicze szepty, pojękiwania, wzdychania. Szwagrowie i stryjeczny, po cichu z sobą o czymś gadając, za Konstantym na podwórko wyszli; w świetlicy pozostał sam jeden Gabrys. Przez cały czas kłótni ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Salusi, przy każdym jej poruszeniu oczami za nią wodził, a po każdym słowie, które wymawiała, potakująco głową trząsł i śmiał się z zadowoleniem widocznem. Najmniejszym słowem ani poruszeniem nie mieszając się do nader żwawej rozprawy, brał w niej przecież udział widoczny i gorący. Teraz, gdy w świetlicy zrobiło się cicho i pusto, spuścił głowę i ze splecionymi na kolanach rękoma zamyślił się głęboko. Ręce jego były chude i spracowane, czoło wysokie i zorane mnóstwem drobnych zmarszczek, o których przedwczesności świadczyły czarne włosy; zamyślony, usta wydymał tak, że wśród wklęsłych, podługowatych

policzków wąsy sterczały mu naprzód, jak gęsta i twarda kępa szczeciny. Widać było, że smętnie nad czemś dumiał, bo parę razy głową pokiwał, westchnął i ręką uczynił gest jakby zniechęcenia, albo wzgardy. Mogło się здаwać, że mówił do siebie: „nie ma dobra na świecie!“ albo „wszystko głupstwo!“ Obudził się z zamyślenia wtedy dopiero, gdy kobiety jednocześnie do świetlicy powróciły i u stołu z jedzeniem zasiadły, powróciły zaś widocznie w stosunkach jak najlepszych, pogodzone i wzajem dla siebie rozczulone. Idąc, obejmowały się, szeptały pomiędzy sobą, chichotały; jedna tylko Salusia nie śmiała się, milczała i chociaż z gniewu ochłonęła, a nawet przymlające się do niej siostry od czasu do czasu całowała, w ścigniętych jej brwiach i wydętych ustach widać było rozżalenie i zamyślenie. Cokolwiek przecież czuła, nie odjęło to jej apetytu młodego, a zaostrzonego kilkomiłową, odbytą dziś jazdą. Zapraszana więc przez siostry, jeść zaczęła ser, chleb z masłem, kielbasę, krajała, smarowała, mlekiem, które Pancewiczowa w dzbaneczku jej przyniosła, popijała; ale jakkolwiek czyniła to ze smakiem i dość żwawo, nie pozbyła się wyrazu zamyślenia i zmartwienia. Wtem wzrok jej padł na Gabrysia i zgryziona twarz błysnęła przyjaznym uśmiechem.

— Gabryś — zawołała — dlaczego nie siadasz przy stole?

On znowu zaczerwienił się jak burak i z wielkiem zmieszaniem, kręcąc się na zydlu, swoim cichym, przytłumionym głosem, odpowiedział:

— Dziękuję Salusi, bardzo dziękuję, mnie i tu dobrze!

Skinieniami głowy, z której opadał na plecy ciężki kruczy warkocz, przyzywała go ku sobie.

— Chodź! chodź! siądź tu przy mnie! tak dawno nie widzieliśmy się z sobą!

Ale on ani poruszył się, głową przecząco pokręcił.

— Dziękuję, — powtórzył — mnie i tu dobrze!

— Głupi! — szepnęła do Końcowej Pancewiczowa.

— Czy zawsze taki, jaki był?

— Taki sam! głupi Gabrys! gamoń, harbuz!

Ale Salusia odezwała się znowu:

— To zjedźże przynajmniej cokolwiek.

I z porcją chleba, masłem posmarowanego, w jednej ręce, a dużym kawałem kielbasy w drugiej, szła przyjaźnie uśmiechnięta, filuternie ku niemu mrugając. Ale on, z podniesionymi na nią oczyma, podawanej mu żywności nie brał, głową przecząco wstrząsał i odpowiadał:

— Dziękuję Salusi, bardzo dziękuję, ale nie głodnym, jeść nie będę!

Nalegać zaczęła. Usiadła przy nim na zydelku i, ręką głaszcząc go po ramieniu, prosiła:

— Zjedz no, zjedźże, mój Gabrysiu!

Znać było, iż z tym zbiedzonym, pokornym człowiekiem łączył ją stosunek zażyły i bardzo życzliwy. Wypraszał się od jedzenia zrazu nieśmiało, zmieszany i razem uszczęśliwiony, lecz gdy nalegać nie przestawała, uśmiechać się przestał i prawie szorstko mruknął:

— Nie chcę! nie będę! Niech Salusia wybaczy, ale jeść nie będę. Nie głodnym!

— Daj pokój, Salusia! — zawołała od stołu Pancewiczowa, — powinno ci być wiadomem, że Gabrys u nikogo nie do gęby nigdy nie bierze. Widać pierogi u siebie je, kiedy go u ludzi chleb w zęby kole!

On zcicha odpowiedział:

— Pierogów u siebie nie jem, ale chleba od ludzi nie potrzebuje.

— Głupi! — szepnęła Zaniewska.

— Niby to taki dumny! — sarknęła Pancewiczowa.

— A dziurami w butach świeci! — zaśmiała się pierwsza.

Istotnie, Gabrys miał na nogach buty z długimi, mocno zrudziałymi od wynoszenia cholewami i gotującą się do odpadnięcia podeszwą.

Salusia do stołu wróciła, trochę na nieposłusznego

gościa nadaśana, a gdy tylko usiadła, Pancewiczowa w jedno ucho, a Zaniewska w drugie szeptać jej zaczęły o czemś, z czego od czasu do czasu dosłyszeć było można: „chłopy, grubiany“, „jeżeli nie on, to rodzice“ „czy ty jego rodziców w ręce całować będziesz?“. „Ociec jego za pańszczyznę jeszcze w skórę brał!“

Tu do świetlicy weszli i mężczyźni: Konstanty, dwaj szwagrowie, strzecny. Pierwszy wydawał się już ulagodzonym, nawet dość wesołym; chodził po izbie z rękami w kieszeniach i w zamyśleniu pogwizdywał zcicha: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! Co chwilę też stawał przed oknem i spoglądał na drogę, jakby kogoś na niej wyglądał i oczekiwał. Raz, przechodząc około stołu, Salusię po włosach pogłaskał, ale ona nie na tę pieszczotę nie odpowiedziała, tylko lzy do oczu jej nabiegły. Kiedy tak w padającym z okna, białem, śniegowem świetle siedziała nieruchoma, w ciemnej sukni, szczególnie obciskającej jej wysmukłą kibić, z chmurą czarnych włosów nad drobną różową twarzą, z ciężkim warkoczem na plecach i szkłem leż w oczach, wyglądała na istotę, która ciężko i prawie z rozpaczą nad czemś głowę sobie łamie, z czemś walczy, jakieś sprzeczności pogodzić usiłuje. Pancewiczowa zaś i Zaniewska ciągle jej coś do uszu szeptały. Końcowa, przysłuchując się cichemu ich mówieniu, zaczynała potakująco głową trząść, młoda bratowa zaś, obu łokciami o stół oparta i z brodą w dłoniach, na wszystkie otaczające twarze błękitnymi oczami strzelała, to w tę, to w drugą stronę ucha nastawiała, aż nagle, na całą świetlicę donośnym, przewlekłym i gapiowatym głosem odezwała się:

— Wiesz co, Salusia? A jaby nie słuchała, żeby na twojem miejscu była! Dalbóg nie słuchałaby nikogo! Żeby Michał, zdaje się, sto razy chłopem był i ziemi swojej nie miał, jaby za niego poszła. Rodzonego ojca nie posłuchałaby i za Michała poszła!

Salusia drgnęła, zaczerwieniła się aż po brzegi włosów i nagle rozbłysłem okiem na bratową spojrziała.

— Dobrze tobie tak gadać, Emilka, — szorstko sarknęła, — kiedy twój Michał i nie chłop i ziemię swoją ma!

— Emilka tak gada, bo jest smarkata i rozumu żadnego nie ma! — gniewnie na bratową patrząc, zawołał Konstanty.

Ale mąż zgromionej kobiety w tejże chwili wyprostował się, ciemną rękę podniósł do czarnego wąsa i zawołał:

— Za pozwoleniem Kostanty! Ja Kostantemu oświadczam, że do mojej żony takim sposobem przemawiać nie wolno! Ja nikomu nie pozwalam ubliżyć jej wyrządzać!

— To na cóż głupia? — odkrzyknął gospodarz.

— My u Kostantego o pożyczenie rozumu nie prosim...

Zaperzyli się obydwaj, jak dwa koguty. Michał na żonę wołał: „chodź, Emilka“ i za rękę już ją brał, z za stołu chcąc wyciągnąć, ale Pancewicz za ramię go pochwycił i perswadować zaczął. Nie łatwe to przecież było zadanie.

— Niechaj Kostanty gęby pilnuje! Moja żona nie jego sługa, aby na nią złość wywierał!

— Wolna droga do proga! Jeżeli komu w chacie mojej nie miło, może sobie miłszej gościny poszukać!

Pancewicz, z rozpostartymi ramionami, z jednej strony Kostantego, z drugiej Michała gestem i ruszaniem brwi powściągając, perorował:

— Człowiekowi na to rozum przez Pana Boga jest dany, aby pasyami swojemi rządził. Pasye, panie dobrodzieju, to są dyabły w człowieku umieszczone, a kto niemi nie rządzi, przemienia się w bydlę, panie dobrodzieju! Michał! Kostanty! pocałujcie się!

— Bajki babom! Mam go całować za to, że mnie żonkę zlażał!

— Mnie też twoje całowanie tak pachnie, jak psu padlina!

Ale z za stołu ozwał się cienki, wcale tym razem nie gapiowiaty, tylko rozkazujący głos Emilki:

— Michał, pocałuj się z Kostantym!

Trzy inne głosy kobiece zawołały:

— Kostanty, słyszysz? pocałuj się z Michałem!...

A Pancewicz za poły kurt ciągnął ich ku sobie, mówiąc:

— Na to Pan Bóg krewnych stworzył, panie do-brodzieju, aby w zgodzie z sobą żyli...

— Michał, słyszysz? pocałuj się zaraz z Kostantym...

Minutę jeszcze nasrożeni i wahający się stali, aż Michał pierwszy do szwagra przystąpił i, za oba ramiona go ująwszy, w jeden policzek, a potem w drugi głośno pocałował, poczem już i Konstancy względem niego to samo uczynił, tak, że cztery pocałunki, jak cztery wystrzały, rozległy się po świetlicy, a kobiety za stołem w ręce klasnęły i zanosły się od śmiechu.

W tej samej chwili, w drzwiach nagle i szeroko otworzonych, zabrzmiało silnym głosem wymówione pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu!

Kłótnią i godzeniem się zajęte, osoby znajdujące się w świetlicy nie patrzyły w okna i nie widziały wjeżdżających na podwórko ładnych, podkutych sanek, z których wysiedli dwaj mężczyźni i, pod stajenką lejce do koła drzewa okręciwszy, ku domowi poszli.

Teraz we drzwiach stał człowiek z rudą jak ogień czupryną i wielką, wąsatą, piegowatą twarzą, rosły, okazały, a pogrubiony jeszcze przez biały barani kozuch, rzemiennym pasem przepasany, który miał na sobie, a z którym sprzeczność stanowiły zarówno świecące, wysokie buty, jak zgrabna, w ręku trzymana czapeczka.

— Pan Jaśmont! Pan Kazimierz Jaśmont! — jedno-głośnie krzyknęły kobiety, a Konstancy, na którego twarz padła wielka radość, obydwie ręce gościa pochwycił i zawzięcie trząsł niemi dopóty, dopóki ten, uchyłając się od

progu, nie odsłonił stojącej za nim, wcale nie podobnej do niego figury.

Ręką na stojącego za nim młodziutkiego, cienkiego chłopca wskazując, przemówił:



— Mam honor rekomendować! Oto jest pan Władysław Cydzik, jedyny i najmilszy syn pana Onufrego Cydzika, z okolicy Cydziki Mniejsze...

— Znamy! Od dziecka znamy! — zawołały Pancewiczowa i Zaniewska, wstając i na spotkanie przybyłych idąc; Salusia zaś bardzo pobladła i jak zlékniony cień cicha usunęła się daleko od kanapy i stołu, pod sam ko-

niec pieca, w pobliże zydelka, na którym siedział Gabrys. Bo trzeba było chyba nie być szlachcianką i o Kazimierzu Jaśmoncie nie wiedzieć, aby nie domysleć się, co znaczyło, gdy przybywał w kożuch przyodziany i kawalera za sobą wiodący. Dostatni, wesoły, bardzo towarzyski, najlepszy na wiele mil orator, Kazimierz Jaśmont, dopóki się nie ożenił, bywał na godach weselnych najpożądalszym z drużbantów, a po ożenieniu stał się pożądanym dla wszelkich uroczystości i obchodów, na których żonaci w pierwszych rolach występować mogą. Takiego białego kożucha zazwyczaj on nie nosił — gdzie tam! elegantem był i nawet złotny zegarek posiadał, a skoro kożuch taki na siebie włożył i tam, gdzie znajdowała się panna, z kawalerem przyjeżdżał, były to, tak, niewątpliwie i niezawodnie były to — swaty! Oprócz Salusi, żadnej panny w domu tym nie było. Więc swaty przybywały do niej, do niej zaręczonej, do niej w narzeczonym tak zakochanej, że i w tej chwili, w tej chwili nawet więcej, niż kiedykolwiek, stał on przed jej oczami jak żywy, patrzył na nią, uśmiechał się do niej, — jej Jerzy, jej śliczny, dobry, najmiłszy Jerzy!

Spojrzała na brata i z rozradowanej jego twarzy, z hucznego i zamaszystego sposobu, w jaki przeze drzwi wołał na parobka, aby konia pana Jaśmonta do stajni wprowadził, odgadła, że te swaty były umyślną jego sprawką, że to on sam na dzień przybycia jej do domu przysposobił je i sprowadził. Doświadczyła takiego uczucia, jakiego doświadczać musi mucha, gdy jedną nóżkę uczuje już zaplątaną w pajęczynę, — więc pobladła, zmieszana stała w kącie izby i, gibką, wysmukłą kibić naprzód nieco podając, wylęknionemi, ale zarazem i zaciekawionemi oczyma na dwu przybyłych patrzała.

Jeden z nich, Kazimierz Jaśmont, wyciągnięte ku parobkowi ramię Konstantego powstrzymującym gestem ujmując, mówił:

— Za pozwoleniem! Niewiadomem jest jeszcze, czy

kobyłka nasza do stajni wprowadzoną ma zostać, lub też wspólnie z nami wprędee za wrota się wydalić. To się dopiero okaże, gdy o dekret dla siebie i dla niej zapytamy, a tymczasem pięknie proszę, aby w oczekiwaniu na ten dekret pod boskim dachem sobie postąpiła!

Jeżeli przedtem mogła była jeszcze istnieć wątpliwość jaka, teraz rzecz stała się jasną jak słońce. Koń pod boskim dachem na dekret oczekujący nie mógł przywieźć kogo innego, jak tylko — swata.





III.

Siedzieli obok siebie na wielkiej kanapie: jeden w białym kożuchu, jak dąb silny i rosły, drugi z całą możliwą wytwornością w czarny tużurek i jasny krawat ubrany, do latorośli cienkiej i wybujałej podobny. — Zaledwie dwudziestoletni, wysoki a cienki, na twarzy bladawy i chudawy, Władysław Cydzik siedział bardzo wyprostowany, z otwartymi trochę ustami, nad którymi wysypywać się ledwie zaczynał ciemny puszek wąsów. Nie był brzydkim, w przyszłości nawet, ze swemi gładkimi plecami i dość delikatnie zarysowaną twarzą, mógł stać się przystojnym, ale teraz z całej jego postaci biła nieśmiałość, niezgrabność, niedojrzałość i można go było nazwać pacholęciem raczej, niż młodzieńcem.

Pancewiczowa, z energią, która malowała się wyraźnie w wyostrzonym, jak nóż, jej profilu i żywych, jak wicher, ruchach, objąwszy ster gospodarstwa braterskiego, w pożyczonym od sąsiadki fartuchu, na wysoko podnie-

sionej sukni, krzątała się po kuchni, sieni i przeciwku, odpowiedni traktament dla gości przygotowując. Z jej rozkazu szwagrowie i strzeżny stół od okna przed kanapę przenieśli, a ona resztki żywności, przez cały dzień spożywanej, szybko uprzątnąwszy, zasłała go grubem, lecz jak śnieg białem i w piękne desenie wytkanem, płótnem. Wszyscy dokoła stołu, lub nieco dalej, u ścian, posiadali i rozmawiali gwarnie, tłumliwie.

Ciemniało. Do napełnionej gwarem świetlicy wpływać zaczynał ten lekki zmrok, który w zimowe wieczory towarzyszy leżącemu na ziemi śniegowi i blademu światłu występującego na niebo księżycy; w zmroku zaś tym kształty i rysy ludzi, gęsto przy sobie siedzących, mętnieć i szarzeć zaczynały. Przez jedno okno widać było gwiazdę, która pośród rozdartych obłoków zaświeciła wprost nad jaśniejącą w powszechnej szarzyźnie żółtą stodolą, przez drugie padł ukośny promień niewidzialnego ztąd księżycy i złotą kratę położył na białej ścianie. Wtedy, z zapaloną niewielką lampą w obu rękach, weszła z sieni Salusia i, zwolna świetlicę przeszedłszy, lampę na stole postawiła. Siostra kazała jej zanieść światło do bawialnej izby, więc je przyniosła; ale dlaczego miała na szyi nieobecną przedtem czerwoną wstążkę, a kosę, która wpierw na plecy jej opadała, z tyłu głowy w węzeł zwiniętą? Jaśmont na jej widok porwał się z kanapy i łokciem szturchnął Cydzika na znak, że i jemu uczynić tak samo należy. Obaj kłaniali się; swat uśmiechnięty, przymilony, wyrażający uradowanie swoje nad tem, że panna Salomea po tak długim oddaleniu do ojczystego gniazda powróciła; kawaler, wyprostowany jak kolek, z szeroko otwartemi, w nią wpatrzonemi oczyma, w których, kiedyś na dnie, ogniste iskierki zamigotały. Ona dwa razy dygnęła i po brzegi włosów zarumieniona, z uprzejmym jednak uśmiechem, śmiało odpowiedziała, że miło jej bardzo pana Jaśmonta widzieć, bo przecież pamięta

jak na weselu siostry jej, Zaniewskiej, družbował i z nią, wcale jeszcze pod ten czas niedoroślą, krakowiaka tańczył.

— Jeszcze, da Pan Bóg, i na pani weselu, choć już żonaty i podstarzały, tańcować będę! — wesoło zawołał Jaśmont i usiadł, szturchnięciem w łokieć dając znać Cydzikowi, aby uczynił to samo, czemu on był posłuszny, ale tylko jak maszyna, bo cała jego przytomność i uwaga skupiły się w oczach, ścigających odchodzącą od stołu Salusię. Odeszła najdalej, jak tylko mogła, bo aż do drzwi, u których obok Gabrysia na zydelku usiadła. Gabrys po woli ku niej twarz obrócił, popatrzał na nią, uśmiechnął się i znowu siedział, jak przedtem, nieporuszony, a tak, zda się, z zydelkiem i ścianą zrośnięty, że żadna siła odebrać-by go od nich nie zdołała. Może istotnie wielka jakaś siła zatrzymywała tu tego człowieka teraz, gdy tuż, tuż rozstrzygnąć się miał los tej dziewczyny. Ale Jaśmont z niczem nigdy ani śpieszył się, ani późnił. Nikt nad niego lepiej nie wiedział, kiedy i co w jakich okazyach poczynać i kończyć wypada. Więc i teraz nie jeszcze o celu swojego przybycia nie powiadał, tylko szeroko rozprawiał o przedmiotach innych, jako to: o gospodarstwie i handlu końmi, który zyskownie prowadził, o świeżo zmarłym dziaduniu żony swojej i o wielkim żalu, którego z tej przyczyny też żona jego, Jadwiga z Domuntów, doświadcza. Tymczasem jedni z pomiędzy obecnych głośną rozmowę z gościem prowadzili, inni czynili ciche uwagi nad przywiezionym przez niego kawalerem.

— Młodzieniaszek taki, że żał się Boże!

— A smarkaty jeszcze, ale tem łatwiej Salusia i koźła i barana zrobić z niego zdoła!

— Ze wszystkich kawalerów, jakie tylko są w powiecie, najbogatszy!

— Żeby i brylantowy cały był, ja-by za niego nie poszła. Taka niedostała trawa!

— Jedynek, do wojska nie pójdzie, to i żenić się jemu pora, a gospodyni, słyszę, potrzebują w chacie.

— Ociec, słyszę, wszędzie oświadcza, że z pięknego domu żonkę dla syna wziąć życzy....

— Temuż go tutaj w swaty przysłał!

— Niczego nawet sobie, tylko że jeszcze bardzo niezgrabny.... czysty kolek w ziemię wkopany!

Tu Pancewiczowa wniosła i umieściła na stole bochen chleba, talerze, łyżki cynowe i sztuce w drewnianej oprawie; Jaśmont też zaraz mniej mówić i bardzo zamyślać się począł, a gdy na stół butelka z wódką i druga z pitnym miodem jeszcze przybyły, ruchem głowy bujną czuprynę wtył odrzucił, po wszystkich spojrzął, chwilę jeszcze milczał, aż głosem zniżonym i jakby zasmuconym mówić zaczął:

— Otóż i nadszedł ten moment, w którym o losie naszym dowiedzieć się nam przyjdzie, a chociaż serce od niespokojności bije, lecz na dłuższe odkładanie też zgodzić się nie chce i rozkazuje mi wszystkich państwa pięknie prosić, abyście tego, co powiem, życzliwemi uszyna wysłuchali.

Słuchali. Świetlicę zaległa cisza, wśród której słyhać było lekkie szmery drzew za oknami. Jaśmont obie duże, piegowate ręce na stole położył i znowu mówić począł:

— Małżeństwo, spólność żywota nierozdzielna mające, w kościele siódmy sakrament święty, rzecz przyrodzona człeku i pocziwa. Dobrze jest je zawierać, dobrze i zawieraniu jego ku pomocy stawać. Z tą pomocą ja panu Cydzikowi, tu przytomnym będącemu, chętnie przybiedz zgodziłem się, do zacnego tego domu spólnie z nim przybyłem, aby w interesie jego, najważniejszym, jaki tylko na świecie człowiek mieć może, życzliwem a prawdziwem słowem przemówić.

Tu zaczął wychwalać osobiste przymioty kawalera, jako to: pocziwość, trzeźwość, delikatność, synowską miłość, warunki urodzenia jego: jako pochodził z rodziny godnej, u wszystkich w poważaniu będącej; warunki ma-

jątkowe, jako jedynakiem jest u ojca, bo choć siostry ma, ale te wyposażone i za mąż wydane, a ojciec, można powiedzieć, że nie na zagrodzie już, ale jakby na osobnym folwarku siedzi, z półtora włóki dobrej ziemi mając, dom na dwa końce wyporzadzony, dziesięć pięknych krówek w oborze, sto drzewek fruktowych w młodym sadziku; a co tam u niego, obok tych rzeczy widzialnych, należeć się może takich, których nikt nie widzi, bo są ostrożnie schowane, ale które on, jako dobry ojciec, dla najmilszego syna jedynaka pilnie zgromadza, o tem mówić nie potrzeba, ponieważ na dłoni okazać ich nie można, ale wszyscy znają pana Onufrego Cydzika i wiedzą, że syn i sukcesor pustych skrzynek i próżnej sakiewki po nim nie odziedziczy.

W tem miejscu mowę zawiesił i ruchem głowy ogni-
stą czuprynę wtył odrzuciwszy, po obecnych wzrokiem wodził, wyraźnie śród nich jakiejś jednej twarzy wyszukując; nie wynalazł jej jednak, bo ta, dla której głównie płynął potok jego swady, plecami stojących mężczyzn zasłonięta, w oddalonym kącie świetlicy stała. Stała i płonęła zarówno gorącemi, chociaż zupełnie sprzecznemi uczuciami gniewu i dumy. Gniewała się na brata, który tę pułapkę na nią nastawił i zarazem olśniewała ją świetność tej pułapki. Już dawniej o bogactwach Onufrego Cydzika nieraz słyszała, a gdy teraz Jaśmont obszernie wyliczać i opowiadać je począł, aż jej się w głowie zakręciło na myśl, że panią ich zostać może.

Jaśmont zaś, po chwilowem milczeniu, znowu mowę swą rozpoczął:

— A dla jakichże to przyczyn kawaler tak zaletny, osobiwie tu, w tym domu, dozgonne szczęście swoje upatrzył i tę pannę, która jest jego najpiękniejszym przyozdobieniem, prosić i zaklinać postanowił, aby mu to szczęście zaofiarowała? A to dla tych przyczyn: że dom ten jest godnym, a zdawna urodziwością i cnotliwością swoich

białych głów słynącym, i że ta panna jest tak zaletną, iż jej równej trudno byłoby na całym świecie znaleźć.

I jak przed tem zalety kawalera, tak teraz te, które pannę przyozdabiały, wyliczać począł. Czynił to zaś w dość osobliwy sposób, bo, powiedziawszy naprzód, że przedziady w doskonałej pannie sześć przymiotów na *p* rozpoczynających się upatrywali, z twarzą, niby w wysiłku pamięci ku sufitowi podniesioną, na szeroko rozstawionych palcach rąk owe sześć *p* wyliczał. Pierwsze tedy:



pobożna, Boga obrazić jakimkolwiek grzechem albo przestępstwem bojąca się; drugie: piękna, co tłumaczenia nie wymaga, bo wszelkiemu oku jest widzialnem; trzecie: pracowita, czyli rączek na krzyż nie zakładająca i wszelkiej roboty potrzebnej i pożytecznej imająca się chętnie i umiejętnie; czwarte: pokorna, mężowi, jakoteż rodzicom jego i wszelkim dobrym przykazaniom ludzkim ulegać lubiąca; piąte: przystojna, co znaczy, że skromna, grzeczną, wszystkim przypodobującą się być potrafi; szóste: posażna, ale to choćby i przekreślić można, bo gdzie

znajduje się pięć *p*, tam szóste, jeżeli znajdzie się, to dobrze, ale jeżeli i nie znajdzie się, to o nie bynajmniej! Panna Salomea Osipowiczówna pięć *p* posiada, a z szóstym niech już będzie podług woli i łaski jedyne go jej brata i opiekuna, bo chociaż pan Cydzik tej łaski nie odrzuca, lecz też i granic żadnych jej nie naznacza i nie jeszcze o szóstym *p* nie wiedząc, przez usta jego prosi i zaklina, aby panna Salomea Osipowiczówna rączki swojej i dobrego serca mu nie odmawiała, i aby jedyny jej brat i opiekun był przed najmilszą siostrą swoją jego życzliwym pośrednikiem i orędownikiem.

Skończył i chustką z za kożucha wydobyłą pot z czoła otarł. Gorąco mu też musiało być w kożuchu; świetlica bowiem, z dobrze ogrzanym piecem i pełna ludzi, napelniała się coraz większą ciepłością i duchotą. Ale taki już z Kazimierza Jaśmonta człowiek był, że gdy raz przyjął do spełnienia jakąś towarzyską i sąsiedzką misję, żadna przykrość przykrością mu się nie zdawała. Teraz także, pocąc się i na całej piegowatej twarzy gorząc, minę miał rozpromienioną, siebie i swojej sprawy pewną, i tylko nieduże, siwe jego oczy ciekawie pośród obecnych jednej jakiejś twarzy upatrywały. Ale Salusia stała ciągle w kącie izby, plecami mężczyźni zasłonięta i ze spuszczoną głową tak się zamyśliła, że aż czarne brwi zbiegły się nad jej oczami i utworzyły chmurę prawie posępną. Wzamian na twarzy Konstantego nie było żadnej chmury. Ponieważ u końca mowy swojej swat odwołał się do jego pośrednictwa i orędownictwa, więc z głową podniesioną i jedną ręką na kłębie opartą, wnet odpowiedział:

— O mojem przyzwoleniu i życzliwem do siostry pośredniczeniu niech pan Władysław Cydzik nie ma żadnego wątplenia. Owszem: przyzwalam, błogosławię i za promocyę dla siebie, jako i dla siostry mojej, poczytuję... A, żeby na to dowód złożyć, oświadczam, że siostra moja

i bez szóstego *p* nie pozostanie i jeżeli za pana Cydzika wyjść się zgodzi, 600 rubli posagu na stół...

Urwał, spuścił głowę, chwilę pomilczał, poczem ciszniej nieco mówić dalej zaczął:

— Choć niektóre ludzie inaczej mówią (tu ukosem na starsze siostry zerknął), podług zdania mego, najmłodszej siostrze najwięcej odemnie się należy, bo małą jeszcze i ledwie troszkę od ziemi odrosłą umierające rodzice mnie ją przyporuczyli i ja jej prawie ojcem byłem...

Głos mu drgnął, oczy zwilgotniały, więc otarł je wierzchem ręki i, prędko głowę podnosząc, przyspieszoną mową kończył:

— Sześćset rubli posagu ona odemnie otrzyma na stół, w gotówce. Trzy krowy też z obórki mojej niech sama sobie wybiera, a o kobiecych łachmanach to już starsze siostry pomyślą, ja zaś i w tem dopomogę.

Mówił teraz bardzo głośno, wysoko głowę trzymał i z energicznym gestem dokończył:

— Tak obiecuję i obietnicy dopełnię, choć mnie to może i z wielkimi trudnościami przyjdzie. Ale, kiedy bieży to bieży, a gdy upadnie to leży. U mnie tak!

Zaraz też, oglądając się za siebie, zawołał:

— Salusia!

Z rękami skrzyżowanymi u piersi, co postawie jej wyraz energii nadawało, zbliżyła się, przed stołem stanęła i zaraz niewątpliwego posiadania dwóch przynajmniej *p* jasno dowiodła. Piękność jej, według słusznego wyrażenia się Jaśmonta, wszelkiemu oku była widzialną, a przystojność okazała się w zgrabnym, ku swatowi zwróconym dygu, w uprzejmym uśmiechu, do którego usta zmusiła, i w bardzo grzecznym sposobie, jakim wypowiedziała słowa następne:

— Za honor i grzeczność ślicznie dziękuję i panu Cydzikowi życzliwą jestem, ale, zaręczoną już będąc, nikomu innemu, oprócz narzeczonego swego, nie obiecywać nie mogę.

Konstanty aż zatrząsł się od gniewu; on pewnym już był, że świetnemi zaletami konkurenta i braterską hojnością olśniona, Salusia żadnego oporu stawiać nie będzie. Była też ona istotnie olśnioną, niemniej przecież opór stawiała. Tuż za nią stojąca Pancewiczowa, z gniewu czy dla przestrogi, szturchnęła ją w bok pięścią, szwagrowie stęknęli i sarknęli, Końcowa do ucha jej szeptała:

— Salka! bój się Boga! taki los!

Ten tylko, kto najwięcej zmieszać się i obrazić był powinien, mianowicie swat, zachował całkowitą pogodę i pewność siebie. Przyjaźnie, trochę filuternie na dziewczynę spoglądając, swobodnie po stole grubemi palcami przebierał i z uśmiechem mówić zaczął:

— O tem, że panna Salomea jest zaręczoną, już nas głosy publiczne uwiadomiły, ale my, nie zważając na to, przybyliśmy z nadzieją, że ten węzeł rozwiązany, a drugi zawiązanym być może. Ja o narzeczonym pani nic złego nie wiem i nie powiem; może on i dobry jest, ale dobre przy lepszym tanieje. Kiedy zaś jeden kawaler cudzy a drugi swój, jeden poważny, a drugi upośledzony, jeden dozgonnej towarzysze swej dostatki i wygody wszelkie ofiarowujący, a drugi nie posiadający i takiego nawet kamienia, na którymby mu wolno było głowę położyć — to który lepszy?

Dla nikogo z obecnych rozstrzygnięcie tego pytania najmniejszej wątpliwości nie pozostawiało; to też kilka głosów męzkich i kobiecych ozwało się chórem:

— A jakże! a pewno! ma się rozumieć!

— Może być, że mój narzeczony jest cudzy, i upośledzony, i własnego swego kamienia nawet nie posiadający, ale ja jemu przyrzekłam i słowa dotrzymać muszę.

Tu wypadkiem wzrok jej padł na konkurenta, który, z otwartemi wciąż ustami, jak kolek wyprostowany, wlepił w nią takie smutne, rozżalone i razem błyszczące oczy, jakby wszystko, co w nim było życia, uczucia, przytomności, w tych oczach zebrało się i zapaliło. Przy ga-

piowatej minie i kółkowanej figurze, te rozkochane i zasnucone oczy tak śmiesznie wyglądały, że pomimo wielkiego i wcale nie wesołego wzruszenia Salusia zaledwie śmiechem nie parsknęła. Jak krew czerwone jej wargi drgnęły i zatrzęsała się broda; jednak silnie w zębach język ścisnęła i śmiech zdławiła w gardle, bo niechże Bóg broni, aby miała naigrawanie jakie okazać tak grzecznym i zaszczytnym swatom! Jaśmont, powtórną jej odmowną odpowiedzią jeszcze nie zrażony, poważnie, pogodnie przemawiał, że dane słowo jest rzeczą ważną i pięknie to za panną Salomeą przemawia, iż dotrzymać go żąda, ale, że co się tyczy małżeństwa, to tutaj przysięga tylko przed ołtarzem świętym złożona dwoje ludzi na wieki wiąże, a dopóki jej nie było, wszystko można pocziwie i przystojnie rozwiązać, nikomu ubłigi nie czyniąc, ale jednej stronie zarówno jak drugiej, drogę do szukania szczęścia wolną pozostawiając.

Tu Pancewiczowa swatowi w mowę wpadła i donośnie zawołała:

— A pewno! ten pan może sobie inszą żonę znaleźć i dla niego daleko od Salusi stosowniejszą. Chłopi-nek, chwała Bogu, nie mało na świecie!

— Temu panu, jeżeli dobrowolnie od mojej siostry nie odczepi się, ja wszystkie zęby w gardło wepchnę! — prawie zaryczał już Konstanty.

Salusia zaś, z błyskawicą w oczach zaraz odpowiedziała.

— Do tego pana ja bardzo przywiązana jestem, a żebym też i przywiązaną nie była, słowa jemu dotrzymać muszę.

Tym razem Jaśmont już zmarkotniał, rudawe, gęste brwi zjeżył i ze spuszczoną głową zamyślił się. Wśród obecnych zaś zakotłowało jak w garnku, ale zcicha, wrzawy bowiem przy obcych i w tak uroczystej okazyi robić nie wypadało, więc mężczyźni sarkali:

— Babskie bałamuctwa!

— Ot, jak zaskaliła się w postanowieniu swoim!

— Ziółko mieć będzie, kto taką weźmie!

Konstanty, za siostrą stojąc, za rękaw ją targał i, jak mu się zdawało, pocichu, w rzeczy samej wściekle, więc głośno, szeptał:

— Salusia, upamiętaj się, bo, jak Boga kocham, wyrzeknę się ciebie, grosza nie dam, na próg nie puszczę!

Siostry wzdychały, jęczały, szeptały, ale Salusia stała jak słup, niczego dokoła zdając się nie widzieć i nie słyszeć, tylko amarantowe rumieńce policzki jej okryły i z pod spuszczonej powiek stoczyły się dwie łzy.

Jaśmont głowę podniósł, głęboko westchnął i zaraz potem, uprzejmie uśmiechając się, rzekł:

— Choć nas tutaj i niespodziewana konfuzyja spotkała, my jednakowoż interesu naszego za przegrany nie uważamy. Czas traci, czas płaci. Nie skrzywdzi siebie pan Cydzik, jeżeli tak zacnej pannie czas do namysłu zaofiaruje. Smętnie to jest w oczekiwaniu na dekret zostawać, ale cierpliwość w niebo wwdzi. My też cierpliwymi będziemy. Wszystko jedno, trzeba nam ztąd do Bohatyrewicz jechać, gdzie ja żonine dziedzictwo do obejrzenia mam, a pan Cydzik krewnych swoich odwiedzi. Wracając zaś, czy tak, czy inaczej, tędy nam droga, więc pan Kostanty Osipowicz wybaczy częstych gości, ale jutro o tej samej porze wstąpimy znowu, aby raz jeszcze do rozmowy i dobrego serca panny Salomei zakochać.

— Proszę, owszem, najpiękniej proszę! ślicznie prosimy! tak miłych gości z niecierpliwością oczekiwać będziemy — ozwali się wszyscy i na wszystkie twarze spadł wyraz uradowania z tego, że sprawa stanowczo rozstrzygniętą jeszcze nie została. Filut-bo z tego Jaśmonta! krótko, zdaje się, myślał, a jak wymyślił! Noc i dzień wiele znaczą i kto wie czy do jutrzejszego wieczora tej upartej kozie rozum i ambicya nie powrócą. Pancewiczo-wa, jak wicher szybka, przyniosła z kuchni dwie dymiące się salaterki, z których wychodziło piskliwe skwierczenie

dosmażającej się w gorącej strawie słoniny i wszyscy razem gości na wieczerzę zapraszać zaczęli. Jaśmont przecież z czapką w rękę za stołem wstał, Cydzikowi szturchnięciem w łokieć oznajmił, że tak samo ma uczynić, i zaczęły się ceremonie. — Swatowi i odpalonemu konkurentowi jeść, zwłaszcza też pić, w domu panny nie wypadało; z drugiej jednak strony, odpalenie za stanowcze uznanem nie było, ani przez swatą, ani przez familię panny, i jutro we wcale inszy dekret przemienić się mogło. Przytem z salaterek buchały wraz z parą zapachy nadzwyczaj smakowite i obiecujące; więc skończyło się na tem, że obaj usiedli znowu i do jedzenia zabrali się z apetytem, który wszelkie przypuszczenie rozpacz lub nawet smutku stanowczo oddalał. — Na wypicie jednak czegokolwiek Jaśmont za nie zgodzić się nie chciał, a naśladował go w tem Cydzik, niebawem też, o tem i owem przy jedzeniu pogadawszy, swat powstał i oświadczył, że pora w drogę ruszać, tem bardziej, że do Bohatyrewicz jadąc, Niemen, choć i po lodzie, ale zawsze z ostrożnością przebywać trzeba. — Ze wszystkimi żegnał się pięknie, ale najpiękniej może z Salusią, którą w rękę pocałował, poczem, pilnie i dość długo w same oczy jej popatrzwszy, zcicha rzekł:

— Taki kwiatek do kożucha przypinać, krzywda ludzka i obraza boska!

Nakoniec, we drzwiach jeszcze odwrócił się do wszystkich i z czapką w rękę, kłaniając się, rzekł:

— Pokój temu domowi!

— I temu, co mówi! — kłaniając się także, chórem odpowiedziały kobiety.

W kilka minut potem Salusia stała po środku izby, tak przez siostry otoczona i ściśnięta, że ledwo ją z nich dostrzedz było można. Obejmowały jej kibić i szyję, głaskały, upominały, groziły, prosiły.

— Dla jakiej przyczyny, ty, Salka, nas wszystkich żalem karmisz?

— Czy ty cudzego człowieka nad familię własną, nad dom rodzony, nad strony swoje wyniesiesz?

— Szczęście to jeszcze, że ten Jaśmont taki rozumny człowiek, a żeby nie to, jużbyś zginęła...

— Sióstr i brata za grosz nie dostaniesz, a nie zastąpi ci ich mąż — zwłaszcza taki!

Kończowa nawet, zupełnie już przez dzień ubiegły, a szczególnie przez zaszłe swaty, na stronę familii przeciwnięta, persadowała:

— O niego ty się nie bój! Pociesz się prędko, o jej! Ja tobie tego wpierw nie mówiłam, ale wiem dobrze, że on wielki bałamut, do zakochania się łatwy. — Wprędce też pewnie drugą sobie znajdzie.

— O sobie najwięcej pamiętaj, mówiły inne, domu ani łomu mieć nie będziesz, w garść chuchać będziesz, łzami do grobu ścieczesz — z ośmiorgiem dzieci!

Z paplającej gromadki wydobył się rozpaczliwy głos Salusi:

— Dla czego z ośmiorgiem? ot już koniecznie i z ośmiorgiem! Ty sama masz tylko troje, a Marylka dwoje...

— To nie, że mam troje, a Marylka dwoje, ty ośmioro będziesz miała, z pewnością ośmioro, jak Bóg na niebie, ośmioro! gdzie ty to podziejesz, kiedy on ani ziemi, ani chaty nie ma, brat zaś tobie ani grosza posagu nie da?

— Ot, podziękowałabyś bratu, pocałowałabyś go w rękę, że taki hojny dla ciebie, jakim nigdy dla nas nie był, i skorzystałabyś z jego łaski!

— To i podziękuję! — zawołała Salusia i, wyrwawszy się ze ściskającej ją gromadki, podbiegła do Konstantego, który u okna stojąc, do niczego się już nie mieszał i, wściekle kręcąc wasa, z niedbałością niby pogwizdywał: fiu fiu! fiu, fiu, fiu! Podbiegła i w oba policzki kilka razy go pocałowała, mówiąc.

— Dziękuję, Kostuś, za twoje dobre chęci, za

twoje żalowanie, za twoją życzliwość, dziękuję Kostuś, dziękuję!

On, usuwał ją i odwracał się niby gniewnie, ale z ukosa ruchy jej twarzy wzrokiem śledził, a widząc, że naprawdę wdzięczną jest i rozrzuwnioną, parę razy też ją wzajemnie pocałował i zapytywać zaczął:

— A będziesz jutro grzeczną? a będziesz rozumniejszą?

W tej chwili z gromadki niewiast wyskoczyła mała, szczupła, płowowłosa Emilka, strieczna bratowa, i jako to młoda, bo zaledwie ośmnastoletnia, była kobieta, jęła jak fryga okręcać się po świetlicy, w ręce klaszcząc i przyśpiewując:

— A ja by nie poszła! a ja by nie poszła! Żeby on i brylantowy cały był, ten kolek, ja by za niego nie poszła!

I kręciła się póty, póki nie dokręciła się do męża, na którego kolanach usiadłszy, dośpiewała:

— Żeby Michał sto razy chłop był i żeby sto razy swojej ziemi nie miał, jaby za niego poszła, dalibóg za nikogoby nie poszła tylko za niego!

Rozśmieszony i może uradowany, nie wiele zresztą familijną tę sprawę do serca biorący, Michał na całą izbę wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem.

— Niech Emilka przestanie wyrabiać i wygadywać głupstwa! — krzyknął Konstanty, a Salusia, rękę swoją z jego ręki wyrwawszy, jak strzała wybiegła do sieni, na ganek, i na podwórko.

Ta głupia Emilka i ten jej mąż Michał przez cały dzień serce jej szarpali. — Ile razy na nich spojrziała, zawsze musiała pomyśleć, że jej z Jerzym byłoby tak samo mile i dobrze, jak im jest z sobą, a teraz znowu ten Michał zaśmiał się zupełnie tak samo, jak śmiał się Jerzy, ile razy mu coś ucieśznego i miłego powiedziała. Ten śmiech, do śmiania się tamtego zupełnie podobny, tak jej w samą głąb serca poszedł, że wyleciała z izby nie nie myśląc, ale tylko czując, że musi gdzieś lecieć,

tak, jak to czuje człowiek, na którym zapali się suknia. Ona także była cała w ogniu: policzki jej, czoło, oczy i ręce płonęły. To też wprost z ganku, aż na środek podwórza wybiegła, jakby uciekać zamierzała. Istotnie, na środku podwórka stojąc, patrzyła na drogę, której nieduży kawałek widzialnym był pomiędzy dość wysokim płotem a wielką, żółtą stodołą. — Po głowie jej kręciły się myśli: żeby tak na tę drogę wylecieć i lecieć, uciekać od tych krzyków i naigrawań, od tych próśb i gniewów, od swoich własnych strachów i niepewności! Boże, jak dobrze byłoby, żeby mogła zalecieć aż do niego, poskarżyć się, uspokoić, upewnić się znowu o swoim postanowieniu tak, jak upewniona była dopóty, dopóki widywać go nie przestała, a ludzie nie zaczęli kłaść jej w uszy różnych okropności! Sześć mil tylko ztąd do Laskowa: co to dla niej znaczy, dla niej, silnej, zdrowej i niewiedzieć ile mil ujść mogącej?

Zdjęła ją tęsknota ogromna i taka chęć zobaczenia Jerzego, wygadania się przed nim, że ptakiem, zdaje się, leciałaby po tej drodze, przez te białe pola, których pustki i rozległości nie lękała się bynajmniej, bo były jej dobrze znane, swoje, a teraz nawet udręczona przez swarliwą wrzawę i nakładane na nią kajdany, nęciły ją ku sobie ciszą i swobodą. — Leciałaby do niego temi polami jak ptak, jak błyskawica i zdaje się, że lecąc śpiewałaby jak ptak i paliłaby się jak błyskawica od radości, że do niego leci — ale nie można! Przystojność i ambicya nie pozwalają. Byłby to wielki wstyd i grzech; myśleć nawet o tem nie podobna.

Odwróciła oczy od drogi i z wolna poszła ku niskiemu płotkowi, który rodziną jej zagrodę od najbliższej sąsiadującej rozdzielał. — Nogi jej po kostki w śnieg zapadały, ale nie dbała o to wcale, bo wszelkie drogi: ośnieżone, albo ulewą zmoczone, kamieniste czy gęstemi trawami zarosłe, były jednostajnie dla stóp jej, bosych czy obutych, znane, swoje, zwyczajne. Nie wiedziała nawet

czem jest i że jest na świecie troska o wygodne i zdrowe chodzenie. — W śniegu przy płotku stanęła i łokciami na nim wsparta, z brodą w dłoniach, zaczęła się przypatrywać sąsiedniej zagrodzie, którą dobrze widziała, bo księżyc, jakkolwiek ukryty za białymi obłokami, całe niebo oblewającami, rzucał przez nie na ziemię przyćmione srebrnawe światło. Z tem łagodnem i monotonnem światłem łączyło się w przestrzeni powietrze spokojne, trochę zwilgłe i tak ciche, że tylko kiedy niekiedy wiatr z pola lecący szmerząc przebiegał drzewa i na chwilę gałęzie ich rozchyłał. — Wtedy, z za rozchylonych i trochę chwiejących się gałęzi, pobłyskiwały tu i ówdzie oświetlone okna domów, od których zresztą nie dochodziły żadne gwary, ani głosy. — Koguty nawet nie piały w tej chwili i psy nie szczekały. — Na rozłogu niezmiernym, gładkim, białym, od przyćmionego księżycowego światła smętnym i tajemniczym, szereg nierówno rozstawionych domostw, z okienkami, jak zaspane oczy, mętnie pobłyskującami, w swoich śniegach i drzewach, w swoim samotnem oddaleniu od gwarne go świata, układał się do przespania długiej, zimowej nocy.

Zagroda, na którą patrzała Salusia, była zaledwie małą zagródką. — Domek o dwu okienkach, chałupa raczej, niż domek, podwórko wąskie, jak zaułek, i cudzemi płotami zewsząd ściśnięte, w jednym małym budynku obórka i stajenka; — ciasnota i ubóstwo, a za całą ozdobę kilka grubych, wyniosłych drzew.

Na tę zagródkę patrząc, Salusia myślała: oto jakie są skutki poniewierania radami ludzkiemi i majątkiem! Ten Gabrys mógłby być, tak jak inni, dostatnim sobie gospodarzem, gdyby był ludzi posłuchał i należące się mu grunta przez proces od brata odebrał. — Kiedy to po kilkoletniej służbie w sąsiednim, wielkim dworze do okolicy wrócił, i całą prawie swoją posiadłość przez brata zagrabioną znalazł, wszyscy mówili mu, doradzali, krzyczeli na niego, aby bratu proces wytoczył. — On zaś,

chciał i i nie chciał, namyślał się, zwlekał, az ręką machnął, te kilka morgów, które brat był łaskaw mu wyznaczyć, przyjął, tę chałupkę sobie zbudował i na zawsze już wyrzekł się i procesu i pięknego kawałka swojej ziemi. — Tłómaczył się z tego przed ludźmi tak i owak: że brat kilkoro dzieci ma, że chociaż i ukrzywdził go teraz, ale wprzód hodował i edukował, że jeżeli z bratem za czuby się weźmie, sam jeden na świecie zostanie, bo oprócz jednej jeszcze siostry żadnej blizkiej familii nie ma. — A ludzie śmieli się tylko z tych wszystkich jego tłómaczeń i wtedy to po raz pierwszy nazwali go „głupim Gabrysiem.“ Lecz on i przedtem i potem jeszcze mnóstwo podobnych głupstw nawyrabiał. — W tym wielkim dworze, do którego brat młodym jeszcze chłopcem na obowiązek go wyprawił, miejsce było bardzo korzystne i, gdyby na niem dotąd był pozostawał, możeby już i piękny majątek sobie zebrał. — On zaś to miejsce rzucił i wrócił do okolicy, bo jacyś wyżsi oficyaliści niegrzecznymi względem niego się okazywali: wołał więc, jak sam powiadał, chleb z wodą jeść, niż marcepany z ubliżą i hańbą. — Tego także ludzie bynajmniej mu nie pochwalali, bo rzeczą jest wiadomą, że na obowiązku będąc, zawsze coś znieść trzeba, o lepszej przyszłości myśląc, taka zaś duma, która choćby największych korzyści wyrzeka się, byle swoje zadowolenie mieć, jest głupią i grzeszną. — Potem... no, co on zrobił potem, to już wszelkie wyobrażenie przechodzi. — Na obowiązku będąc, choć i niedługo, ale zawszeż przez lat kilka, trochę grosza zebrał, trochę, niedużo, ze dwieście rubli podobno, które tak przez brata obdartemu i na nędznych kilku morgach ziemi pozostawionemu, wielce przydać mu się mogły. — Miał też na nie różne projekty: krówkę drugą kupić, bryczuszkę okutą sporządzić, szczepków fruktowych do zasadzenia sadziku sprowadzić zamierzał. Wtem przyjeżdża siostra, ta, co za młynarzem o półtora mili ztąd siedzi i jak zacznie jęczeć, jak zacznie prosić: pożycz mnie swoje pieniądze,

pożycz i pożycz, bo młyn u nas taki stary i reparować go potrzeba, a nie mając za co uczynić tego, z dziećmi poginiemy! Sprzeciwiał się z początku, odmawiał, własną biedę siostrze pokazywał, aż gdy ona siedziała mu wciąż nad karkiem i siedziała, jęczała i płakała, wziął i pożyczył — na wieczne nieoddanie. — Poprostu: ostatni grosz siostrze oddał. — Wtedy już ludzie o mało ze śmiechu nie popękali, i przydomek głupiego Gabrysia ostatecznie przykleił się już do niego. — Ale on o to jakby nie dbał i dwa razy jeszcze po swojemu zrobił: raz, kiedy stare ciotczyisko niedołężne, swarliwe, którego nikt trzymać u siebie nie chciał i które na żebry już miało iść, do swojej chałupy przyjął; drugi raz, kiedy z panną niemłodą i na twarzy bardzo czarną, ale posażną, ożenić się nie chciał. — Sama Pancewiczowa swatała mu tę pannę; bo choć on i we wzgardzie zaczynał być u wszystkich, ależ zawsze krewnego jakkolwiek ratować i z biedy podnieść wypadało. — Żadna posażna i młoda nie poszłaby za niego, wynalazła więc posażną i starą, a szpetną. — On zaś za nic! Na co mnie to? — mówił. — Mnie i tak dobrze. — Ja nie niewolnik, aby mnie ktokolwiek, choćby i za największe pieniądze, kupował! Tak i pozostał: biednym, że aż podeszwy od butów mu odpadają i pustelnikiem, tylko zwierzątkami, kwiatkami i skrzypcami umiła sobie życie. — I cóż za korzyść z takiego życia? Ani wygody i przyjemności żadnej, ani honoru żadnego nigdy nie ma. — Jedna krowa, jeden mizerny konik, kilka kur, które ciotka hoduje; przyjdzie gdzie, nikt nawet nie zauważy i siedzieć nie poprosi; odezwie się z czem, wszyscy, i nie słuchając, śmiać się już zaczynają, bo z góry wiadomo, że głupi Gabrys nic mądrego powiedzieć nie zdoła. — To też od dawna już nie chodzi nigdzie i nie odzywa się do nikogo. Jeżeli dla interesu lub innej jakiej przyczyny wsunie się gdziekolwiek, to zaraz przy drzwiach siada, aby nikomu na drodze nie zawadzać, i milczy, najmniejszego zaś jedzenia za nic w gościnie

do gęby nie weźmie, widać dla tego, aby ci ludzie, którzy naigrawają się z niego i we wzgardzie go mają, nie pomyśleli czasem, że głodnym jest i chleba ich pożąda. Miał i on swoją ambicję! i jaką! Biedny jestem, to biedny, — mawiał, — głupi, niech sobie będę głupi, ale żebrakiem nigdy się nie okażę, choćbym i z głodu zdychał! Biedny, głupi Gabrys, ale dobry. — Salusia zawsze lubiła go bardzo i wiele dobra od niego doznała. Kiedy powrócił ze służby dworskiej i nazwę „Głupi Gabrys“ dostawać zaczął, ona jeszcze małą dziewczynką była, więc tuż, przy płocie brata chałupkę swoją wzniosłszy, często wołał ją do siebie, zabawki różne z drzewa dla niej strugał, ogródki zasadzał, płotki z kamuszków stawiał, a potem, ofiarowawszy się bratu na jej guwenera, czytania i pisanie ją nauczył. — To ostatnie wprowadzie udało mu się nie arcy-doskonale, bo za wielką miał do niej słabość, aby do nauki napędzać ją mógł, jak należało. Zawszeż jemu to winna, że całkiem ciemną i nieumiejącą nie pozostała.

Twarz na dłonie opuściwszy, Salusia myślała: żeby Gabrys zamiast tej chałupki miał ładny domek i zamiast małego kawałeczka ziemi wielki jej kawał, ludzie pewnie nie przezwaliby go byli głupim i na jego dobroci poznali się doskonale. — Chociaż procesowania się z rodzonym bratem, ani puszczania na żeby starej ciotki, ani żenienia się ze szpetną panną dla tego, że jest posażną, nikt nie pochwała; jednakowoż gdyby Gabrys to wszystko był uczynił, a przy tem dobry majątek miał, ludzie by go chwalili, poważali. — Ot, co majątek znaczy! Nie tylko wygody i dostatki przynosi, ale daleko ważniejszą rzecz, bo chluby i honory. — Nie tylko od głodu broni człowieka, ale i od tego, co nad głód boleśniejsze, — od poniewierki i upośledzenia. Nic tak człowieka wysoko nie wyniesie i takiej spokojności do śmierci mu nie zapewni, jak majątek; nie też takiego naigrawania się pomiędzy ludźmi nie obudzi, jak gdy kto, dla jakiegokolwiek przy-

czyny, majątku się wyrzecz. — Ot, jak na świecie jest: Boże mój, Boże, czemu to tak jest na świecie?

Pograżona w tych myślach, które opłatywały zagadkę własnego jej losu, nie słyszała cichych stąpań człowieka, który wyszedł z chałupy i, spostrzegłszy ją za płotkiem stojącą, ku niej zmierzał. — Cicho po śniegu szedł, bo na nogach nie miał butów, tylko grube, płóciennie szmaty. — W kapocie, poniżej kolan sięgającej, bez czapki, stanął przy niej i zeicha wymówił: — Dobry wieczór Salusi!..



Podniosła głowę, uśmiechnęła się do niego. Tak potrzebowała wygadać się przed kimś, wyskarżyć się przed jaką duszą przyjazną, a nieswarliwą, że ogromnie ucieszył ją jego widok.

— Jak to dobrze, że Gabrys tu przyszedł! — zawołała — może Gabrys mnie co powie, może co poradzi. Ja taka biedna, biedna, biedna!

Z załamanemi rękoma, cicho i prędko szeptać zaczęła:

— Co mnie tu czynić? co mnie tu robić? Tak mnie oni męczą, tak straszą, takim wstydem karmią! Czy ich posłuchać, czy jemu słowa dotrzymać? Czy familii i majątku wyrzec się? czy jego opuścić? Oj, nie mogę ani jednego, ani drugiego zrobić! Niech Gabrys mnie poradzi! Mój drogi, mój złotny Gabrysie, poradź ty mnie co-

kolwiek! pomóż ty mnie jakim sposobem, bo ja już taka biedna, biedna, że i sama nie wiem, co stanie się ze mną!

Po drugiej stronie niskiego płotku stojąc, słuchał tej skargi z pochyloną głową i policzkiem na dłoni opartym. — Milczał dość długo, a potem powoli, z głębokim namysłem mówić zaczął:

— Co ja tobie poradzę? jak mi tobie radzić? Jeżeli za sercem pójdziesz, na ubocz zejdziesz, dla ścieżki gościniec porzucisz i źle tobie będzie na świecie. — Tym ludziom, którzy, za sercem idąc, na ubocz schodzą, zawsze na świecie źle.

Ona potakująco i z żalem głową wstrząsnęła.

— Gabrys sam na sobie tego doświadczył.

— A jakże! — odpowiedział krótko.

— No, to co? — zawołała — opuścić mnie jego... i nie mogła dokończyć, bo łkanie zdławiło jej głos w gardle.

Splecione ręce podniosła nad głowę i, walcząc z płaczem, mówiła:

— Ja jego nigdy nie zapomnę... nigdy nie zapomnę... nie zapomnę!

On z wahaniem się w głosie zauważył:

— Tego nie można wiedzieć. Jedno zachodzi, drugie wschodzi. Może też i dla Salusi insze słońce, tak samo, jak to, świecić będzie.

— Gabrys tak mówi — pośpiesznie zaszepiała — bo Gabrys jego nie zna i nie wie, jaki on śliczny, rozumny, dobry!

Możność mówienia o nim przed kimś, o kim była pewną, że przyjaźnie i bez naigrawania się jej słucha, sprawiła jej wielką ulgę, prawie rozkosz. — Więc też, pośpiesznie, jednym tchem prawie szepiała:

— Osobliwie dobry. Wie Gabrys, że ja nawet i nie wyobrażałam sobie, aby na świecie mógł być taki dobry człowiek. Nie wiem jak tam dla kogo, ale dla mnie to taki był dobry, że czasem aż dziękowałam Bogu za to, że mnie takiego dobrego człowieka napotkać pozwolił.

Podobałam się ja jemu i on mnie podobał się odrazu, od pierwszego spojrzenia, zaraz też potem do Końców przychodzić zaczął, bo Końca i wprzód już znał. Anulka zapraszała go, pięknie przyjmowała, bo mówiła, że na takiego ślicznego chłopca i mężatce popatrzeć miło. My też już i wiedzieliśmy o tem, co między nami jest: ja do domu nie chciałam powracać, a on do rodziców nie jechał, choć już i skończył wojskową służbę; ale nie mówił jeszcze ani słowa i ja nie mówiłam, aż tu Anulki wszystkie dzieci okropnie się pochorowały i taka bieda, taki smutek i postrach zrobił się w domu, że niech Pan Bóg broni. Wtedy ja Anulce do pomocy stanęłam, a on mnie. Snu mu nie było, jedzenia nie było, ani żadnej najmniejszej zabawy. Ciągłe na nogach był, na usługach naszych, popychadłem naszem zrobił się, posłańcem, felczerem, pocieszycielem, towarzyszem. Bywało, mówię mu: niech pan choć na spacer pójdzie! — a on tylko ramionami ruszy: będzie pora do spacerów, kiedy bieda przeminie! — mówi. Wtenczas już ja poczułam, że na wieki przywiązałam się do niego; wtenczas też, jednej takiej nocy, kiedy i sam Koniec na tę zarazę zachorował i Anulka przy nim, a my przy ich biednym synku, który potem umarł, siedzieli, on mnie wszystko powiedział. Kiedy biedy pokończyły się, my z wiedzą i przyzwoleniem Końców zaręczyli się z sobą, on mnie ot ten pierścioneczek na palec włożył... Boże mój Boże! czy ja spodziewałam się wtenczas, że taka nieszczęśliwa i taka od niego odgradzona będę!

Ukazywała Gabrysiowi mały pierścionek z perelką, który na palcu miała, a potem mówiła znowu:

— Raz to i ja troszkę chorowałam, nie długo, trzy dni tylko, ale gorączka była taka, że musiałam leżeć. To, czy uwierzy Gabrys? — że kiedy Anulka w drugiej izbie dziećmi zatrudniona, on, bywało, przez całe szare godziny u łóżka mego klęczy i w nogi mnie całuje...

Twarz na dłonie spuściła, załkała i nie spostrzegła, że człowiek z drugiej strony płotku przed nią stojący

westchnął cicho, ale tak głęboko i ciężko, że aż zadrgała mu na piersi gruba kapota. — Dotknęła ręką stanika, za którym zaszeleścił papier.

— Ot dziś, przed samym wyjazdem, otrzymałam list od niego, odpowiedź na moje doniesienie, że brat rozniewany i grozi, iż ani grosza posagu mnie nie da. Więc on na tę wiadomość odpowiada: Ty o to nie dbaj, że posagu nie dostaniesz: mnie twój posag nie potrzebny. Ja ciebie choć w jednej koszuli wezmę, a jeszcze za szczęśliwego będę się poczytywał przez to, że wszystko odemnie tylko jednego będziesz miała. Ot jaki on! I jak mnie tu jego wyrzec się! jak mnie o nim zapomnieć, jak tu jego przehandlować na tego kołka!..

Tu, pomimo łez, które napelniały jej oczy, zaśmiała się:

— O, Jezu! jaki on śmieszny ten Cydzik! jaki niezgrabiasz! i taka niedostała trawa, taki smarkaty! Jaz od niego pewno ze trzy lata starsza!

— A pewno! — potwierdził Gabryś, — jemu dziewiętnaście lat skończyło się nie dawno. Ja o tem wiem.

I po chwilowem milczeniu, bardzo cicho, z trudnością jakby, rzekł:

— To niech Salusia za sercem idzie... niech na nie nie uważa, niczego nie lęka się i za sercem idzie!

Ona znowu, o płot oparta, nisko pochyliła głowę i znowu szeptać zaczęła, a w szepcie jej słychać było żal i nadąsanie:

— Łatwo to Gabrysiowi mówić. Mnie familii szkoda. Brat dla mnie też dobry i siostr ja nigdzie na świecie drugich nie najdę. Oni mnie wyrzekną się i noga moja nigdy już w tym domu, w którym rodziłam się i wyrosłam, nie postanie...

Rozzaliła się znowu i z płaczem walczyć zaczynała.

— Przytem okropny mnie wstyd zdejmuję, kiedy ludzie naigrawają się, że on jest nieszlachetnego urodzenia, i okropny strach, kiedy pomyślę, że on ani ka-

walka swojej ziemi nie ma, ani domu swojego, ani takiego kamienia, któryby miał prawo pod głowę sobie podłożyć. Jak, broń Boże, miejsce straci, to co będzie? Tulać się przyjdzie po świecie z manatkami. Nędza i hańba. A ten Cydzik z takiej rodziny i taki bogaty... i Kostanty tak wiele mnie da, jeżeli za niego pójde, dwa razy więcej, niż dał siostrom... Co to jest na całe życie swój dom, swoją ziemię, swój posag i zgodę z rodziną i uważanie na świecie mieć! Oj, czemu to on nie z takiej rodziny jest i nie taki bogaty! Boże mój, Boże, jaka ja szczęśliwa byłabym, gdyby tak było! A teraz, to sama nie wiem, co mnie robić i w którą stronę iść! Sępy dra pieżne w sercu mnie zasiadły i drą, zdaje się, na kawaleczki! Jak pomyślę, że jutro znowu te swaty przyjadą...

Zaniosła się od płaczu, ale cicho, bo nie chciała może, aby ktokolwiek w domu rozmowę jej z Gabrysiem dopatrzył i podsłyszał.

On długo milczał, aż powolnym, miękkim gestem gładzić począł dłoń jej nisko pochyloną głowę i z zamysleniem, powoli mówił:

— Wyniesienia chce się, chluby, honorów, pewnych dostatków...

Urwał i jakby pożałował tego, co powiedział, smutnie głową zatrzęsł...

— Nic ja tobie nie doradzę, nie doradzić mocen nie jestem. Ja tego tylko żądam, aby tobie dobrze było, a po której stronie znajduje się twoje dobro? nie zgadnę. Sam sobie ja tak poradziłem, że drugim radzić sumienie mnie nie pozwala. Ludzie przezwali mnie głupim, może też i nie innym jestem, tedy nie mogę być swojej rady pewnym. Ale tego tylko pewny jestem, że czy ty za sercem, czy za ambicią pójdziesz, ja dla ciebie przygany nie najde, bo jednego tylko żądam, aby tobie dobrze było...

I jeszcze ciszej dokończył:

— Niczego innego ja nie spodziewam się i nie żądam... Niczego!



IV.



Laskowskim dworze obszerny dziedziniec napelniony był ruchem ludzi i zwierząt, mnóstwem zmieszanych głosów ludzi i rzeczy. Przedewszystkiem toczył się tam i aż na sąsiednie pola zataczał turkot młócerni, potężny, basowy, do nieustającego ani na chwilę i tylko słabnącego czasem, a czasem wzmagającego się, grzmotu podobny. Przez bramę wjeżdżały i przez dziedziniec ze skrzypami ciągnęły szeregi sań przywożących drzewa przy leśnej trzebieży ścięte, długie pnie sosnowe z szeroko na wsze strony sterczącymi i w szyszki ustrojonemi gałęzmi. Stuki tych pni na ziemię zwalanych rozlegały się razem ze zgrzytaniem piły i stukaniem siekier, które w pobliżu wznoszonych stosów opałowego drzewa, przy każdym podnoszeniu się i opadaniu rzucały ostre, zimne połyski. Wielkie koło studni obracało się często, wyciągając z głębokości wia-

dra pełne wody lub napełniając nią koryta, do których przychodziły liczne i piękne stada koni i bydła. Ludzie donośnemi głosami przyzywali się i nawoływali; na stawie, za topolami kilkoro dzieci ślizgało się z głośnym krzykiem; psy oszczekiwały każde wjeżdżające na dziedziniec sanie, poczem śpiesznie wracały ku drzwiom piekarni i kuchni, które z kominów buchały kłębami dymu, a z otwierających się co chwilę drzwi zapachem razowego pieczywa i blaskami palących się w piecach ogni. Ruch, życie, dostatek, minuty zapełnione po brzegi, ręce zajęte po krańce sił, królestwo, w którym pod panowaniem Floryana Kuleszy wesołość, zarówno jak praca, musiała być rzeczą znaną, powszednią. Pomiedzy błękitnem niebem, z blado-złotą tarczą słoneczną pośrodku, a iskrami zasianą białością ziemi, w czarnym wieńcu lasów, w powietrzu lekko mroźnem, rzeźwem, czystem, był to akord ludzkiego życia, tryumfującego nad pozorną śmiercią natury, wrzątek ludzkich zabiegów i nadziei, zwyciężający jej chłód i srogość.

Floryan Kulesza ukazał się w otwartych wrotach stodoły rumiany, z błyszczącemi pod barankową czapką oczyma, w krótkim, obeisłym kożuszku i długich butach, krępy, rażny i silny. W ciemnawej głębi stodoły, wśród zasieków do połowy jeszcze zapełnionych i pachnących uschłemi kłosami i ziołami, pozostawił on maszynę, która, warcząc, turkocząc, hucząc, wybijała z rzucanych jej na pastwę więzi zbożowych, twarde grady ziarn i szeleszczące deszcze zmiętej słomy. Ziarna były czyste, równe, ważne, słoma obfita, więc Kulesza miał minę i postawę człowieka zupełnie zadowolonego. Zziębłe ręce zacierając, rozglądał się po dziedzińcu, aż patrzeć zaczął w stronę, w której zrzucano z sań przywożone drzewo, ogałacano je z szyszek, piłowano i rąbano. Ej, nastał-bo też teraz ruch i porządek z tem drzewem, które przedtem tyle kłopotu i zmartwienia mu przyczyniało! Za czasów starego nadleśnego nigdy go ani na opał, ani do popra-

wiania dworskich budynków we właściwej porze i w należytych gatunkach otrzymywać nie mógł. Przypominał, prosił, klócił się, skarżył nawet: nie nie pomagało, a szkody i niewygody wynikały z tego ważne i nie mile. Teraz wcale co innego; wszystko idzie prędko, rzeźko, akuratnie, kiedy i jak potrzeba. Ten młokos wybornie zna się na tych rzeczach, a przecież i czyta o nich jeszcze, całemi niekiedy wieczorami zanurzając się w tych książkach, które sobie u głównego zarządu książęcych lasów uprosił. Do pracy ochotę ma wielką, ale jeszcze większą ambicję, i ta pchałaby go naprzód wtedy nawet, gdyby go kiedy i lenistwo opanowało. Zdaje się, że o przyszłości swojej nie byle jak myśli, to też i pewno będzie ją miał nie byle jaką. Onegdaj jeszcze przy wieczerzy powiedział: „Gdybym był szkoły skończył... ho, ho! Ale i samemu wiele nauczyć się można, byle zdatność i ochota były. To już wiem, że z moich raportów tam w zarządzie kontenci, więc tak im w Laskowie las urządzę, aby za dwa, trzy lata do większego mię przenieśli!“ Powiedziawszy to, zerwał się od stołu, a że wieczerza skończoną już była, więc zawołał:

— Panno Aurelio! Panno Zofio! Panno Karolino!
Cztery kąty, a piec piąty!

Dziewczęta migiem w trzech kątach stanęły, ale Antek gdzieś się przepadł, więc, Boże odpuść! matkę, jak te drapieżne ptaki, porwali, aby czwartym kątem była. Jęczała, pisała, ale w kącie stanęła i dawaj latać od pieca, który pośrodku pokoju z rozpostartymi rękami stał, uciekając. Latając, jęczeć i pisać nie przestawała, co, przy małej i cienkiej jej figurce, czyniło ją bardzo do myszy podobną. Kulesza myślał, że pęknie od śmiechu, aż mu się też żal zrobiło żony, przez dzień cały dobrze stuptanej, i, posadziwszy ją na stolku, sam latać zaczął. No, było to latanie, aż okna trzęsły się i podzwaniały, wcale też nie szybkie, a jednak dziwna rzecz, piec ani razu go nie złapał. Co złapie który z kątów, to pewnie

dziewczyna, najczęściej Awrelka. Wiadomo, młody, choć zaręczony i zakochany, woli zawsze zakręcić młynka z córką, niż z ojcem. Ale nie w tem złego, ani nieprzystojnego nie ma, broń Boże! Grzeczny jest, delikatny, nikomu nigdy ubliżenia nie wyrządzi, Awrelka zaś, zdaje się, że już amory z głowy sobie wybiła, jeżeli jeszcze miała je kiedy, bo mogło też to być wymysleniem matki, we wszelkiej rzeczy biedę upatrywać, nad wszelką rzeczą jęczeć lubiącej. Tak zawsze z nią bywało: urodzi się córka, jęczy: czemu nie syn? Urodzi się syn, jęczy znowu: czemu nie córka? Nieurodzaj, jęczy: z nędzy poginiem! urodzaj, jęczy znowu: a co na przyszły rok będzie? Zachoruje ktokolwiek, jęczy: umrze już niezawodnie! Wszyscy zdrowi, jęczy jednak: pewnie wprędce kto zachoruje! Tak i teraz do Awrelki upatrywała: „dziewczyna mizernieje, smętnieje, apetyt traci!“ Złoży, bywało, ręce na kolanach i wzdycha: ach, Boże, mój Boże, do czego to miłość bez wzajemności doprowadzić człowieka nie może! Ot, przypomniła sobie babka dziewiczy wieczór! pora jej o miłości bez wzajemności myśleć! Ale te baby, żeby nie wiedzieć jakie pocziwe i sterane, zawsze mają głowę do romansów przygotowaną. Dziewczyna tymczasem zdrowa jak ryba, czerwona jak róża, je jak rodzona córka Floryana Kuleszy, a w czterech kątach i piątym pięcu lata, aż podłoga pod nią się trzęsie! W przyjaźni jest z Jerzym, to prawda, gadają z sobą często, ona mu czasem smaczniejsze jedzenie przysunie, albo, kiedy on w lesie, w pokojkach jego porządek zrobi; ale cóż w tem osobliwego? Chłopiec jest miły, roztropny, do rodziny jakby już należący, a dziewczyna, zwłaszcza w ojcowskim domu, dla wszystkich grzeczną być powinna. Ot, ożeni się niebawem, żonkę tu przywiezie i Teofila swoje babskie androny pleść przestanie, bo co do jęczenia, to to jest w niej nieśmiertelnem. Nad tą materią już jęczeć nie będzie, nad drugą będzie... Zresztą, może i istotnie szkoda, że... W teraźniejszych czasach, tacy, jak on,

z pod każdego kamienia nie wyrastają. Poczciwość żony i krwawicę teścia szanować-by umiał, a może też z czasem żonę wyniosłby wyżej, niżby to jaki kiepski panicz potrafił uczynić. No! co z pieca spadło, to przepadło, i nie ma o czym myśleć! Lepiej oto trzeba jemu powiedzieć, aby nie dwadzieścia sążni drzewa ustawić kazał, jakem go był prosił, ale dwadzieścia pięć; bo nuż zabraknie?

W tej chwili ozwał się z ganku cienki, donośny głosik:

— Tatku! czy tatko zaraz na obiad przyjdzie?

Kulesza z połowy dziedzińca odhuknęła:

— Nie zaraz jeszcze, bo z panem Jerzym pogadać muszę.

Aurelka z ganku zbiegła i wkrótce znalazła się obok ojca; wysunęła się też z sieni Kuleszyna i zdaleka jęczała.

— Jezus Marya! A to już dawno pora ci jeść! Jak wygłodniejesz, to objesz się zanadto i, broń Boże, zachorujesz!

Ale za córką żwawo ku mężowi po śniegu dreptała.

Z oficyny wypadła średnia z sióstr, Karolka; ze stawu, gdzie ślizgały się z kilkorgiem chłopskich dzieci, jak ptaki zerwały się i przez dziedziniec leciały dzieci najmłodsze. Wszyscy już razem zbliżyli się ku miejscu, gdzie kipiała różna około drzewa robota. Opróżnione sianie z powrotem ku lasowi odjeżdżały, kilku ludzi z powalonych na ziemię drzew obierało szyszki i zsypywało je do wielkich worów, inni stukali siekierami, inni jeszcze wznosili stopy.

— Od strony słońca składać, od słońca, lepiej wysychać będą! — wołał Jerzy, a obracając się ku tym, którzy nad szyszkami pracowali, nadchodzących spostrzegł:

— Dzień dobry, państwu!

Czapki grzecznie uchylił, do Aurelki uśmiechnął się i szepnął:

— A z panny Aurelii fałszywy jest prorok!

— Cóż ja panu Jerzemu przepowiadałam? już i nie pamiętam!

— Że dziś list miły będę miał?

— Czy nie przybył?

— Posłaniec z poczty przybył, lecz bez listu.

— A pan Jerzy niespokojny?

Zmarkotniał i cicho do dziewczyny mówić zaczął:

— A niespokojny jestem. Pani o wszystkim wie, bo ja wszystko pani powierzyłem. Zdaje się, że lepszej przyjaciółki nad panią mieć nie mogę, więc i to powiem, że cały dzień dzisiejszy takie myśli mam w głowie: może oni ją za mnie bardzo męczą i prześladują, może ona zachorowała, może jej w pisaniu do mnie przeszkody stawia...

Chmury przechodziły mu po oczach i czole, gdy to mówił, Aurelka zaś, ze spuszczonej oczami, końcem stopy obutej w skórzany trzewik, esy na śniegu kreśliła, a po chwili z cicha odezwała się:

— Niech tylko pan Jerzy o jej wierności żadnego wątpienia nie ma, bo toby panu bardzo bolesnem było.

— Ja też tego wątpienia nie mam, — z wyrazem silnego przekonania odparł — wiem dobrze, iż ona dla mnie, tak jak ja dla niej, zmienić się nie może... Ale zawsze takie przeszkody i nieprzyjemności...

— Kochającemu sercu wszystko łatwo, aby tylko do swego celu dojść zdołało...

— A zkądże panna Aurelia wiedzieć o tem może, kiedy niedawno mówiła, że nigdy jeszcze w życiu nie była zakochaną?

Zmieszała się ogromnie i, jak zwykle bywało, gdy zmieszana lub niespokojną się czuła, zaczęła we wszystkie strony oczyma rzucać, a zarazem szyją i głową poruszać to w prawo, to w lewo, to w górę, to w dół, co czyniło ją podobną do przeleknionego lub zaciekawionego ptaszka.

Kulesza tymczasem oglądał wzniesione już sążnie

i Kuleszyna też dokoła nich dreptała, jęcząc, że bardzo mokre, że z samego sosnowego drzewa zbudowane, że podpalek za mało w nie włożono... Zośka i Antek huśtali się na jednej z leżących dokoła desek, Karolka i Aurelka, na wiórach przysiadłszy, zaczęły szyszki z leżących sosen obrywać, niemiłosiernie koląc sobie ręce o sosnowe igły. Wszyscy aż po kostki stali i chodzili w wiórach i miążkich opiłkach drzewa, które na znacznej przestrzeni, niby piaszczystymi wzgórkami, okrywały ziemię. Jerzy pokazywał dziewczętom szyszki, które na nasienie obrywać z gałęzi potrzeba: brunatne, błyszczące, z łuszczkami zasklepionemi żywicą, takie bowiem tylko są pełne ziarna, która zaś łuszcзки ma już otwarte i z żywicy ogołocone, ta na nic; nasienie z niej wysypało się, lub je wiewiórka i ptaki wyjadły. Dziewczęta usiłowały otwierać szczelnie zwarte łuszcзки szyszek i tego tylko dokazały, że na palcach ich osiadły bursztynowego koloru kryształki, z których ulatywał, do przeczcucia wionny podobny, zapach żywicy. Wtem psy z zaciekle ujadaniem rzuciły się ku bramie, przez którą wjechały sanki, w ładnego, spasego konika zaprzężone. Siedział na nich człowiek w kozuchu, który też, konia u pierwszej topoli zatrzymawszy, z sań wysiadł i przez dziedziniec iść zaczął. Obcym był widać i pierwszy raz tu się znajdował, bo od psów, które go napastowały, batem się opędzając, szedł powoli i nieśmiało oglądał się na wszystkie strony. Zanim ktokolwiek słowo mógł wyrzec, Antek z zaimprovizowanej huśtawki zeskoczył, pędem puścił się ku przybywającemu i, psy rozpędziwszy, z zadartą głową, bo przybysz dość wysokim był, a on maleńkim, kilka słów z nim zamienił, potem zaraz, równie wielkim pędem biegł napowrót, trzepocząc ramionami i zdala krzycząc:

— Do pana nadleśnego!... posłaniec z listem!
pooo-słaaa-nieeec z Tooo-łooo-czek!

— A co? czy fałszywy prorok ze mnie? — szepnęła Aurelka do Jerzego.

On jakby w promieniach cały stanął. Widać było, że ucieszył się ogromnie i wielką niecierpliwość uczuł, jednak, ku nadchodzącemu posłańcowi patrząc, krokiem nie ruszył się z miejsca. Może przez wstyd i dumę nie chciał przed wszystkimi okazywać, jak bardzo listu od narzeczonej pożąda. Wszyscy też pomilkli i z ciekawością na niego patrzyli; nawet trzej leśnicy, jego podwładni, przestali obrywać szyszki i z pospuszczanemi rękami stanawszy, w niego wlepili oczy. Posłaniec też, od psów uwolniony, szedł prędko i wkrótce, ze stopami w opilkach i wiórach grzęznącemi, przed Jerzym stanął. Był to człowiek w znoszonym kozuchu i starej czapce, na pozór gapiowaty, w gruncie jednak może i przebiegły, bo z pod brwi gęstych żartobliwy jakby wzrok w Jerzego wlepiał. Naprzód nieco pochylony, za kozuchem u piersi szukał czegoś dość długo i ciągle na Jerzego patrzył.

— Kto ty taki? — zapytał Jerzy.

— Parobek od Kostantego Osipowicza, — odpowiedział — i nakoniec wyciągnął z za kozucha list, a Jerzemu go podając, rzekł:

— A to od Salusi Osipowiczówny... od panienki...

Przy ostatnim wyrazie uśmiechnął się pod zbiegłym od mrozu wąsem, ale Jerzy tego nie widział, bo, z niepodobnym już do ukrycia pośpiechem list pochwyciwszy, prędko rozdarł kopertę i nagle, ze zsuniętymi brwiami, z żyłami na czole krwią nabiegłemi, ręce opuścił. Z rozdartej koperty wypadł i u stóp jego, na pagórku miałkich piłowin leżał, w promieniu słońca błyszcząc, mały, złoty pierścionek z perelką. Aurelka krzyknęła, poczem, nierada z siebie, w obu garściach ukryła usta; Karolka i Zosia parsknęły śmiechem, Kulesza zaczerwienił się i szeroko wytrzeszczył oczy, Kuleszyna splasnęła rękoma i zajęczała: Jezus Marya!, jeden zaś z leśników poskoczył, pierścionek podniósł i Jerzemu podał. Uczynił to niby



z grzeczności względem zwierzchnika, ale, młodzik i filut, niedawno przez Jerzego za niedopilnowanie jakiejś defraudacyi w lesie zgromiony, z uciechy nad tem, co się zdarzyło, aż oczami błyskał. A co się zdarzyło, wszyscy od razu zgadli, bo i dziecko wie przecież co znaczy, gdy z listu narzeczonej pierścionek wypada. Jerzy z pierścionkiem w ściśniętej ręce, w drugiej list trzymał i z zarumienionem czołem czytał. Nie długo czytał, bo list był krótki:

„Bardzo mnie jest przykro i boleśnie, że pana Jerzego pożegnać muszę, i to już na zawsze, ale widać taka jest wola boska, i podług woli rodziny mojej postąpić mi trzeba, która mnie pięknie prosi, a jak nie, wyrzec się i przekląć obiecuje. Niech pan Jerzy będzie upewniony, że z wielką trudnością to postanowienie dokonywam, ale muszę, bo gdyby tak stało się, jak kiedyś myśleliśmy sobie i pragnęli, pewnie obojgu nam nie byłoby dobrze na świecie. Niech pan Jerzy będzie jaknajszczęśliwszy i niech wszystko na świecie panu sprzyja. Ja dla pana na wieki zostanę życzliwą, a teraz bardzo smutna jestem i, lzy wylewając, to piszę. Ten zaręczynowy pierścionek, który mam od pana, odsyłam, a ten, który pan ma odemnie, proszę bardzo, aby pan na pamiątkę schował, od nieszczęśliwej i wiecznie panu życzliwej *Salomei*.“

Skończywszy czytać, Jerzy chwilę jeszcze na list patrzył, jakby przytomność odzyskać usiłował. Spokojnym też głosem, i tylko z czerwonym ciągle czołem, posłańca zapytał:

— Czy panna Osipowiczówna sama tobie ten list oddała?

Chłop, kłaniając się, odpowiedział:

— Sama, a jakże, sama! A Kostanty Osipowicz to tylko przykazał mnie panu powiedzieć...

Tu zawahał się, na wszystkie strony pokłonił się i dokończył:

— Kostanty Osipowicz kazał to tylko powiedzieć:

że nie dla psa kiełbasa i jego siostra nie dla takiego, którego baćko jeszcze w skórę brał!...

Mętną mgłą przysłonięte oczy Jerzego spotkały się w tej chwili z drwiącym trochę wzrokiem młodego, przed paru dniami zgromionego leśnika i z pełnemi zmieszania twarzami dwu innych; na całym ciele drżeć zaczął, a na całej twarzy, tak płonąc, jakby krew z za skóry wnet mu trysnąć miała, z podniesioną ręką rzucił się ku posłańcowi. Ale Kulesza w mgnieniu oka pochwycił go za tę podniesioną rękę.

— Daj pokój! daj pokój! — śpiesznie i głośnie sapiąc mówił, — posłańca nie wieszają i nie ścinają... Awrelka, zaprowadź go do kuchni i jeść mu daj... Chodźmy, panie Jerzy, do domu, bo i na obiad czas...

Chciał go pod ramię wziąć, ale Jerzy, cały kipiący, pierścionek z małym turkusem z palca zerwał i na posłańca rzucił.

— Masz! Pannie Salomei powiedz odemnie, że ja żadnych pamiątek od niej nie potrzebuję... a panu Osipowiczowi, że ja pięknie kłaniam się jemu i zapowiadam, że nie daj Boże, aby on kiedykolwiek jeszcze przeciw ojcu mojemu językiem chlasnął, bo jeżeli to do uszu moich dojdzie, przyjadę i łeb roztrzaskam... Nie kijem, ani toporem to uczynię, bom nie zbójca, ale wprost kulą... ze strzelby!...

Wyprostował się, czapki uchylił i rzekłszy: „do widzenia państwu“, szerokim krokiem ku oficynie poszedł. W kwadrans potem ze strzelbą na plecach szedł ku bramie. Karolka przez okno to zobaczyła i chciała biedz na obiad go zapraszać. Ale Kulesza córkę powstrzymał.

— Daj pokój! Niech wysapie się z żalu i gniewu. W samotności łatwiej mu to przyjdzie, aniżeli pomiędzy ludźmi.

Po obiedzie Kuleszyna przybiegła do męża, który w pokoju, kancelaryą nazywanym, do pisania rachunków

zasiadł. Wydawała się nadzwyczaj zajęta, ożywiona i, na biurku mężowskiem łokcie kładąc, zaszeptała:

— Czy Floryan wie, że ta panna już z kim innym zaręczona?... słyszę z Cydzikiem, który jeszcze smarkaty jest, ale jednak u ojca i bogaty...

— Od jakiejże to sroki Teofila wiadomość tę powzięła? — drwiąc niby z babskiej chętności do plotek, ale w gruncie zaciekawiony, zapytał Kulesza.

— A toż ten posłaniec Awrelce odpowiedział, kiedy mu w kuchni obiad dawała. Dużo tam hałasu było, — mówił, — i proszenia i grożenia, dwa razy swaty przyjeżdżały, za pierwszym razem zrekużowała, a za drugim zgodziła się narzeczoną pana Cydzika zostać...

— Taka to babska stałość! — mruknął Kulesza.

— Kiedyż, słyszę, familia tchnąć jej nie dawała... ciągle jej wyrzucali, że on chłop i ziemi swojej nie ma...

— Kpy, osły, bałwany, barany!

— Floryan mówi kpy, osły, bałwany, barany, a ja mówię, że pomyślawszy, to może oni rację mieli... Zawszeż to prawda, że on chłop...

Kulesza wyprostował się i tak na żonę spojrział, że umilkła. Z wielką też stanowczością mówić zaczął:

— Niech Teofila posłucha. Ja Teofilę szanuję, bo matką moich dzieci jest i, zawsze poczciwą, pracowitą kobietą będąc, mojego przywiązania nigdy nie zawiodła. Ale teraz, to mówię i poprzysięgam, że jeżeli Teofila kiedykolwiek przy nim, albo też i bez niego, choć słoweczko o jego chłopstwie piśnie... to... to...

Widocznie groźby dość silnej przez chwilę nie znajdował w głowie, aż pięścią w biurko uderzył i zawołał:

— To ja z Teofilą do rozwodu pójde!..

Jak piorunem rażona, znieruchomiała, oczy wytrzeszczyła; jednak zarazem i śmiać się jej zachciało.

— U Floryana zawsze facecye... — zaczęła.

On przerwał jej mowę.

— To nie facecye... do rozwodu z Teofilą pójdę... jak Bóg na niebie...

Tu jednak na osłupiałą i przestraszoną żonę popatrzył i aż wargi zaczęły mu latać od powstrzymywanego śmiechu.

— I z młodszą ożenię się, z ładniejszą, a zwłaszcza z mądrzejszą — dokończył.

— Floryan plecie... — zdołała наконец wymówić Kuleszyna.

— Wcale nie plotę i Teofilę upewniam, że jeżeli mnie w tym razie nie posłucha, coś złego zajdzie między nami... cokolwiek, ale złego! Bo to nie ładne facecye, komuś pochodzenie wypominać, ale po pierwsze: głupi zabobon, a po drugie: wielki grzech... daleko większy, niż w piątek i sobotę mięso jeść... Niechże Teofila lepiej już w piątki postu mi nie nakazuje, a głupią być przestanie i grzechu względem bliźniego swego nie popełnia...

Kuleszyna, wybornie męża znająca, spostrzegła, że z gniewu już ochłonał, i raz jeszcze do sprzeczki stanęła.

— Floryan o bliźnich mówi, a i Osipowicze, zdaje się, chrześcijanie tak jak my, jednak w nim bliźniego nie uwidzieli...

— Ot i powiedziała! Wiadomo, że nawet Pan Jezus nie zdołał wszystkich osłów i baranów w ludzi przemieniać! Ale co Teofili do tego? Byleby sama osłem, ani baranem nie była!

Tego dnia Jerzy przyszedł na wieczerzę o zwykłej porze, ale wyglądał wcale nie zwykle. Zmienionym był, nie na twarzy, która owszem od długiego chodzenia po lesie żywiej niż kiedy była zarumieniona, ale w obejściu się i postawie. Malowała się w nich niezwykła spokojność i obojętność; wydawał się więcej niż zawsze wyprostowanym i ze sposobu, w jaki powitał osoby, przy stole już zebrane, powiał chłód. Wyglądało to tak, jakby drugi lub trzeci raz zaledwie widział te osoby i nie ży-

czył sobie wchodzić z niemi w stosunki poufale. Niegrzeczności najmniejszej nikomu nie zrobił; owszem, z Kuleszą rozmawiał przy wieczerzy o gospodarstwie rolnem i leśnem; Kuleszynie z pośpiechem podniósł i podał chustkę, która zsunęła się jej z pleców, do Aurelki podszedł i wazę z zupą z rąk jej wzięwszy, na stole ją postawił. Ale wszystko to czynił, nie tak, jak zwykle: bez zwykłej wesołości i poufalości. Zaraz też po skończeniu wieczerzy wziął czapkę i z grzecznym ukłonem, wszystkim życzenie dobrej nocy oddawszy, wyszedł. Ale przed nim jeszcze Aurelka wymknęła się z pokoju i, kiedy na ganek wychodził, zobaczył ją przy jednym ze słupów stojącą i prędko poruszającą głową, to w dół, to w górę, to w prawo, to w lewo.

— Dobrej nocy, pannie Aurelii, — rzekł i, minawszy ją, już z paru wschodów gankowych zstąpił, gdy ona odezwała się z cicha:

— Panie Jerzy!

Obrócił się ku niej i stanął.

— Co pani każe?

Dziewczyna aż zatrzęsła się cała.

— Ja nic nie każę! — zawołała, — dla czego pan taki jakiś... taki jakby pan nas wszystkich pierwszy raz w życiu swoim widział? Ja chciałam tylko panu powiedzieć, aby pan nie martwił się bardzo... mój panie Jerzy, mój drogi panie Jerzy, proszę bardzo nie martwić się... Wszystko przejdzie... może też Pan Bóg da, że szczęście znowu kiedykolwiek dla pana zaświeci... może...

Widocznie nie wiedziała już co mówić dalej, jak pocieszać; w zmroku wieczornym twarzy jej dobrze widzieć nie mógł, ale przyciszony głos jej był tak żałośnym, że aż w jęklive tony wpadał.

— Mój panie Jerzy — zaczęła znowu — niech pan choć ze mną nie będzie taki jakiś... obojętny, czy też ambitny i tak, jak dawniej, wszystko mnie powierza...

przecież to lżej jest, kiedy człowiek może komukolwiek wszystko powierzyć...

Stał przed nią milcząc i istotnie postawa jego wydawała się obojętną, czy dumną, po chwili dopiero z cicha zaczął:

— Ja pannie Aurelii bardzo wdzięczny jestem, za przyjaźń, którą mnie pani okazuje, ale przyjąć jej mnie nie wolno, ona pomiędzy nami być nie powinna. Dobrze życząc pannie Aurelii, nie chcę swoją przyjaźnią ubliżać pani sprawiać...

— Co pan wygaduje? — krzyknęła.

Ale on żywiej, niż przedtem, mówił dalej:

— Wczoraj jeszcze inaczej myślałem, ale dziś taką srogą naukę mi dano, że o niej, póki życia, nie zapomnę i na zawsze już będę wiedział do kogo powinienem przybliżyć się, a od kogo trzymać się w oddaleniu, aby mnie potem nie oddalono. Wiele z tego, co było we mnie, przewróciło się dziś do góry nogami, albo też i zupełnie znikło, a choć życzliwość moja dla pani nie znikła, jednakowoż okazywać mi jej nie trzeba, aby czasem przez to kogoś nie obrazić i pani nie pokalać. Dobranoc pani!

Czapki uchylił, ze wschodów zbiegł i ku oficynie poszedł. Nazajutrz o bardzo wczesnej porze wszedł do kuchni, już ze strzelbą na plecach, i, krzątającą się tam Kuleszynę w rękę pocałowawszy, przeprosił, że ani na obiad, ani na wieczerzę nie przyjdzie.

— Wiele zajęcia mam, i w lesie, i z rachunkami — mówił — zjem sobie cokolwiek u którego z leśników, a wieczorem w swoim mieszkaniu herbaty się napiję, i dosyć mi będzie!

Kuleszyna, jak mogła najspieszniej, do męża pobiegła i kiedy on piwo grzane ze śmietaną i serem zjadał, usiadłszy przy nim, jęczeć zaczęła:

— Czy wie Floryan, że dziś już to wielką desperacyę po nim widać! Wczoraj jeszcze udawał, że nic nie czuje, ale dziś to z niego całego aż bije desperacya!

Gadał do mnie, a w drugą stronę patrzył... jak waryat! Żeby on sobie tylko czego złego nie zrobił! Co to jest fuzyę ciągle na plecach trzymać, w desperacyi będąc! Niech Floryan cokolwiek na to poradzi, żeby on sobie czego złego, broń Boże, nie zrobił!

Przeciw zwyczajowi swemu Kulesza nie żartował z nieśmiertelnych, jak się wyrażał, jęków żony, tylko, zapalczywie jedząc piwo i znajdujący się w niem ser przeżuając, z niebywałą szybkością wąsami poruszał, a nieruchomemi oczami w przeciwną stronę patrzył. To zmieszanie łakomstwa z zamyśleniem nadawało jego twarzy wyraz bardzo pocieszny, ale Kuleszyna wcale tego nie spostrzegała i, małe ręce na kolana opuściwszy, małą główką smutnie trzęsąc, westchnęła:

— Ach, ach, ach, do czego to zawiedziona miłość doprowadzić człowieka nie może!

Tym razem Kulesza nie wytrzymał już i zażartował.

— Czy Teofila zawiedzionej miłości doświadczała, że tak o niej mówi? Zdaje się, że ja nigdy takiego zawodu nie sprawilem, więc chyba obok mnie był u Teofili jeszcze kto inny...

— Floryan plecie... — szepnęła.

Ale i on też zaraz żartować przestał. Duża salaterka, wpięrw pełna jak oko, pustem dnem już świeciła, więc usta i wąsy starannie serwetą otarł i z powagą do żony rzekł:

— Niech Teofila żadnych strasznych myśli do głowy sobie nie przypuszcza. Jerzy jest zanadto rozsądnym, aby dla lekkomyślnej dziewczyny, która go opuściła, życia siebie pozbawiać miał. Posmęci się trochę, posmęci i przestanie. Najlepiej go przez czas jakiś w spokojności pozostawić. Niech je, gdzie chce, i robi co chce, dopóki się nie wysapie, a jak wysapie się, taki będzie, jaki był!

Kilka dni minęło, w czasie których Jerzy zaledwie parę razy do Kuleszów zaszedł, i to na krótko, widocznie przez grzeczność tylko, i aby niewdzięczności względem

nich nie okazać. Rozmowa i obejście się jego były grzeczne i spokojne, ale od dawnej, przyjacielskiej poufałości bardzo dalekie; co zaś do wyglądu, Kuleszyna utrzymywała, że okropnie zmizerniał, Karolce i Zośce zdawało się, że wcale się nie odmienił, Kulesza śmiał się z bab, że widać nic do roboty nie mają, skoro tak pilnie przypatrują się chłopcu, czy zmizerniał, albo utył. Aurelka tylko nigdy o Jerzym nie mówiła, ale raz, po krótkiej jego bytności, gdy ze stosem talerzy w rękach przez pokój szła, Karolka krzyknęła na nią:

— Awrelka! co ty tak z błędniemi oczyma idziesz, jakbyś blekotu się objadła? Na ścianę wleziesz i talerze potłuczysz!

Istotnie, szła z szeroko otwartemi, jakby osłupiałemi oczyma i, drzwi od kuchni ominąwszy, całym stosem talerzy mało co o ścianę nie uderzyła. Zresztą nie zmieniła się w niczem: jak dawniej dopomagała matce w gospodarstwie, krzątała się po domu i dziedzińcu, szyła, ojcu wieczorami czytywała głośno małą gazetkę, którą dwa razy na tydzień posłaniec z poczty przywoził, czasem nawet, choć rzadziej, niż dawniej, śmiała się i swawoliła z siostrami i małym bratem. Z Jerzym od tego wieczoru, w którym odmówił jej swojej przyjaźni, nie rozmawiała ani razu i wcale do tego sposobności nie szukała, tylko, kiedy przychodził, cichła jakoś, rzucała oczyma na sufit, na podłogę, na drzwi, na okna, aż zatrzymywała je na jego twarzy tak, jakby zbadać chciała, co mu najbardziej dolega i z kąd pochodzi zmiana, która w nim zaszła.

Zresztą nikt nie zajmował się bardzo, ani osobą Jerzego, ani tem, co mu się wydarzyło. Kuleszyna z córkami i sługami ledwie że głów nie traciły przy kluciu wieprzy i urządzaniu z nich całorocznych dla dużego dworu zapasów, a Kulesza tak był zajęty pośpiesznem młóceniem zboża i dostawianiem go do miasta, że w domu czasem po całych dniach nie bywał. Jedzenie nawet noszono mu do stodoły, albo do śpichrza, z kąd powracał

tak zmęczonym, że ochota do rozmów i facecyi zupełnie go opuszczała. Raz przecież usłyszał rozmowę Jerzego z jednym z leśników, którą potem przy wieczerzy żonie i córkom opowiedział. Przechodził około oficyny, w której drzwiach stał Jerzy, rozmawiając z leśnikiem, prosząc go o pozwolenie pojechania na dni parę do wsi rodzinnej. Miał tam jakiś interes, chciał z bratem zobaczyć się, za dni parę z pewnością wrócić przyrzekał.

— Dobrze, — rzekł Jerzy, — jedź sobie, a tylko dłużej nad trzy dni nie baw...

Chwilę zdawał się nad czemś myśleć, a potem znowu do leśnika mówił:

— Ja ciebie, Antoni, przy tej okazji o jedną przysługę poproszę. Będziesz tam niedaleko chaty mojej przejeżdżał... Wiesz tę grobelkę, co to przez las idzie, a z dwóch koło niej stron krzaki malinowe rosną? Otóż zaraz za malinami droga na prawo skręca w piękny dębowy las... dęby rzadko stoją, a pomiędzy nimi gdzieś nigdzie brzozy i jarzębiny... tą drogą, z grobelki skręciwszy, dwie małe wiorsty będziesz miał do chaty leśnika, Mikołaja Chutki... to jest, mojego ojca. Bądźże łaskaw dojeżdż tam i powiedz, że ja bardzo proszę, aby ktokolwiek z domu jak najprędzej do mnie przyjechał, czy ojciec, czy matka... najlepiej matka... niechby który z braci matkę tu przywiózł... Powiedz tylko, że ja bardzo pięknie proszę i koniecznie, koniecznie...

Leśnik pokłonił się, żądanie zwierzchnika spełnić przyrzekł i odszedł, a Kulesza, który się był nieco na stronie zatrzymał, przybliżył się do Jerzego. Nikt z tych, którzy go częściej nawet od Kuleszy widywali, nie zauważył, że w dniach ostatnich nikomu on pierwszy, przy żadnej sposobności, ręki nie podawał. I teraz także, gdy Kulesza zziębłe ręce w kieszeniach trzymał, Jerzy czapki tylko uchylił i na powitanie jego odpowiedział grzecznie, ale obojętnie, bez uśmiechu i pośpiechu.

— Pan Jerzy — zaczął Kulesza — bardzo widać

zatręsknił do domu i do rodziny, skoro tak nagli rodziców o prędkie przybycie.

— A zatręskniłem — odpowiedział — prawie trzy miesiące nikogo ze swoich już nie widziałem.

— Spodziewam się, że pan i tu nie jesteś pomiędzy cudzymi...

Jerzy uklonił się.

— Za życzliwość bardzo dziękuję, ale wiem dobrze, jak daleko do tego, abym był państwu swoim.

Zanim Kulesza, trochę zirytowany, mógł cokolwiek odpowiedzieć, — dodał:

— Co się zaś tyczy rodziców moich, to nie dziwnego, że mam dla nich i serce i uszanowanie. Ojciec jest człowiekiem poczciwym i wiele dobrego dla mnie zrobił, a matka taka, że chyba lepszej nikt na świecie mieć nie może.

Kiedy to mówił, taka hardość wybiła mu na twarz, a w oczach błysnęła taka tklivość, że Kuleszę to zastanowiło. Idąc ku domowi pod wąsem mrucał:

— Dobry syn! dobre serce! Ale z kądem mu ta obojętność względem nas do głowy strzeliła?

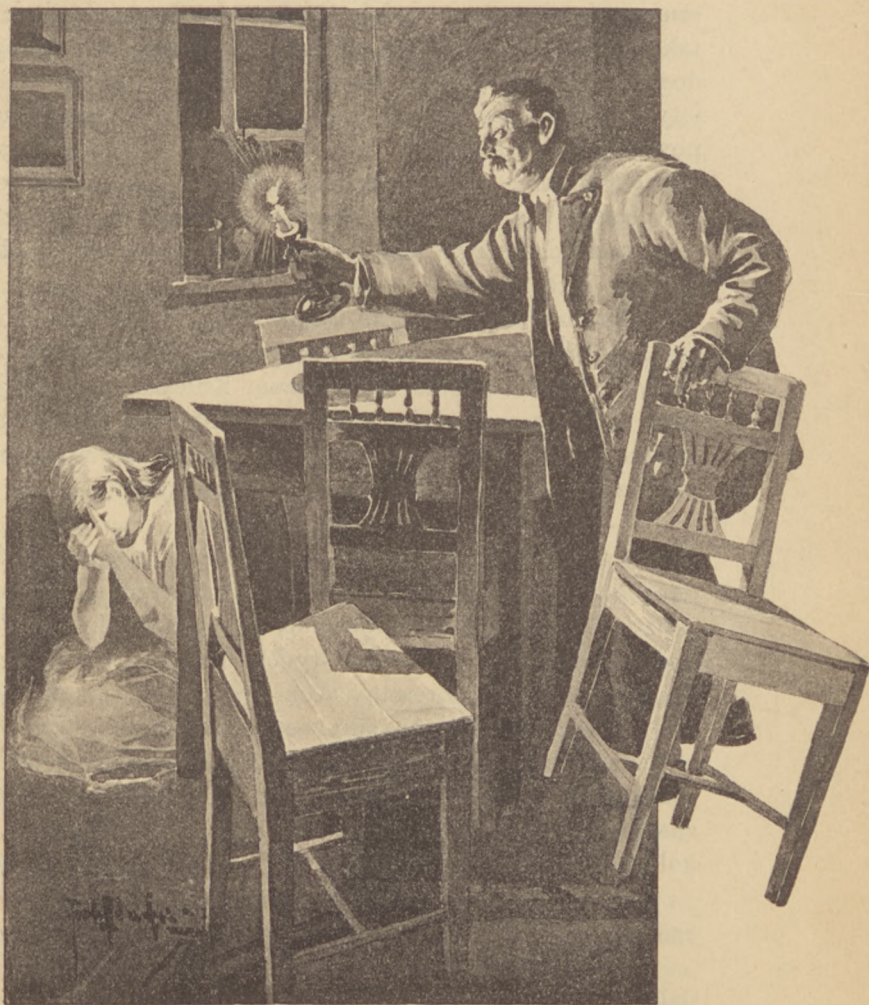
Zmiany w zachowaniu się Jerzego wcale nie rozumiał i silne miał na żonę podejrzenie, że przed kimkolwiek, może i niechcący, z chłopstwem jego wyjechała. Przy wieczerzy też o Jerzym mówić zaczął i rozmowę jego z leśnikiem i z nim opowiedział. Potem, przenikliwie na żonę patrząc, zapytał:

— Czy Teofila głupstwa jakiego nie palnęła? Niech Teofila dobrze sobie tylko przypomni!

Gdy zaś Kuleszyna palce na krzyż składając, z wielkim jękiem przysięgała, że o Jerzym nie miała nawet czasu przed kimkolwiek wspominać, będąc w tych dniach urządzaniem wieprzowiny bardzo zajęta, głową pokręcił i rzekł do siebie:

— To już, jak Boga kocham, nie rozumiem! chyba z desperacyi bzika dostał!

Aurelka, ojcowskiego opowiadania słuchając, bardzo prędko głową we wszystkie strony obracała i nadzwyczaj już była podobną do przeleknionego ptaszka. Potem wybiegła z pokoju i tak gdzieś przepadła, że ledwie dowołać się jej mogli do przeczytania ojcu gazety. Kuleszy to czytanie wielką rozrywkę sprawiało, zwłaszcza w zimie, ale nikt mu w niem oprócz Aurelki dogodzić nie mógł. Żona zanadto piszczała czytając, Karolka wyrazy łykała, Zośka znów przekręcała je, nie mogąc powstrzymać się od rzucania oczyma na wszystkie strony; jednej tylko Aurelki czytanie zupełnie miłem mu było. Czytała też i tego wieczora, tak jak zwykle, a on w kancelaryi, na twardej kanapie leżąc, fajkę palił i słuchał, a gdy, skończywszy czytanie, odeszła, czas jakiś jeszcze nad rachunkami przesiedział, aż wszystko w domu ucichło, wszystkie światła prócz jego lampki pogasły i wiszący w jadalnej izbie stary zegar jedenastą godzinę wydzwonił. Kuleszy też oczy zaczynały się kleić do snu, ale musiał jeszcze ostatni w dniu obowiązek gospodarza spełnić: dom cały obejrzeć dokładnie, czy na noc wszystkie drzwi i okna pozamykane a ognie pogaszone. Na nikogo nie spuszczał się z tem nigdy, często też jeszcze oficynę i parobczyńskie mieszkania w ten sposób oglądał. Z kawałkiem świecy zapalonej w mosiężnym lichtarzu z kancelaryi wyszedł i zaraz w sieni spróbował drzwi od podwórza, poczem w dwóch innych jeszcze izbach popatrzał na okna, dziewczęta bowiem przez roztrzepanie często o zamykaniu lufcików zapominały. Bardzo cicho, bo w pantoflach z grubego wołoku na nogach z przyzwyczajenia promyk świecy dłonią osłaniając, jak grube i szare, a na twarzy czerwone widmo przesuwiał się po niskich, prostemi sprzętami dostatnio napelnionych izbach, aż nagle stanął, głowę podniósł i przysłuchiwać się czemuś zaczął. Z przyległej, jadalnej izby doszedł go odgłos tłumionego, niemniej wyraźnego płaczu.



— Co za dyabeł! — mruknął, ktośś płacze, czy co? A tak jest! płacze!

Płacz w tym domu był rzeczą tak niezwykłą, że Kulesza zadziwił się, a nawet zląkł się trochę; śpie-

sznie też wszedł do jadalnej izby, ale daremnie, świecę jak najdalej wysuwając, dokoła się rozglądał: nikogo dostrzedz nie mógł. Nic też już nie słyszał; płacz umilkł i tylko wśród ciszy nocnej rozchodził się po izbie równy, powolny tentent starego zegara. Kulesza, myśląc, że mu się coś wydało, miał już odejść, gdy tak poruszył świecę, że promyk jej upadł na świecącą w najgłębszym kątku izby, pomiędzy ścianą a stołem jadalnym, białą spódniczkę.

— Kto tu taki? — zapytał.

Najmniejszej nie było odpowiedzi, tylko biała spódniczka poruszyła się lekko i za stołową nogą zaszemrało znowu tłumione łkanie. Tym razem Kulesza, parę stojących mu na zawadzie stołków ze stukiem potrącając, prędko zbliżył się do tajemniczego kątku i, za nogę stołową zajrzawszy, ze zdziwieniem wykrzyknął:

— Awrelka! A ty tu co robisz?

Co robiła? Po prostu ukryła się w tym kącie dla tego, aby wypłakać się do woli. Nieco pierwiej musiała zapewne przed siostrami udawać, że rozbiera się i do snu kładzie, bo miała na sobie tylko koszulę i białą niedługą spódniczkę. Zresztą, bosa była, a na ramiona jej, białe i okrągłe ramiona młodziutkiej blondynki, których nie zakrywała, tak, jak i szyi, nisko opadająca koszula, rozsypywały się blado-złote włosy. Temi włosami wpół zasłonięta siedziała na ziemi, z łokciami na podniesionych kolanach i z twarzą w dłoniach.

— Awrelka, — zawołał Kulesza, — co to jest? czego beczysz?

Chwilę jeszcze nie odsłaniała twarzy i nie odpowiadała, aż nagle zerwała się z ziemi, oba ramiona ojcu na szyję zarzuciła i, ruchem pieszczonego dziecka tuląc się do niego, drżąc, z płaczem mówić zaczęła:

— Mój tateczku! niech się tatko na mnie nie gniewa, ale niech tatko co takiego zrobi, aby jego pocieszyć, aby jemu cokolwiek poradzić, aby jego wyratować... Mój tateczku kochany! niech tatko tylko pomyśli, a pewno co-

kolwiek wymyśli, bo starszy jest i więcej ma doświadczenia. Jeżeli tatko jego nie wyratuje, to kto go wyratuje?... rodzice pewnoby chcieli, ale nie zdołają, a więcej nikogo on nie ma i zginie pewno, zmarnuje się, przepadnie...

Placz mowę jej przerwał, twarz ukryła na piersi ojca. Kulesza, ze świecą w jednej ręce, a drugą przytuloną do niego córkę ogarniając, stał chwilę z ustami od nadzwyczajnego zdziwienia szeroko otwartymi.

— Ehe! ot, gdzie raki zimują!

Lichtarz ze świecą na stole postawiwszy, do córki mówił:

— Co się tobie stało, Awrelka? co ty wygadujesz? Od czego ja go mam ratować? dla czego on ma ginąć i przepadać? Babskie bzdurstwa! zwaryowałaś!

Ona zaś, z ukrytą ciągle twarzą, szeptała:

— Tatko nie wie... już on wcale nie taki, jak był!.. Leśniczyna jedna do naszej kuchni wczoraj za interesem przychodziła i mówiła, że w lesie na nie już on tak, jak pierwej, nie nagłada, roboty wszystkie, nie tak, jak pierwej, idą, raportu do zarządu w tym tygodniu nie posłał... a u tego leśnika, do którego teraz na obiady chodzi... jakie tam obiady: groch, albo kartofle... wczoraj aż trzy kieliszki wódki od razu wypił... Boże mój, Boże, jaki on musi być nieszczęśliwy, kiedy i pracować już nie zdoła i w wódce pocieszenia dla siebie szuka!

Znowu rozplakała się, a Kulesza, ze zwieszoną głową, smutnie dumal. O tem, co mu córka teraz powiedziała, istotnie nie wiedział. Żle! — myślał — obowiązek zaniedbuje... grochem i kartoflami żyje... Szkoda chłopca!

— Żle! — powtórzył głośno, — ale cóż ja na to poradzić mogę? Jeżeli jest taki głupi, że dla dziewczyny, która go opuściła, tak waryuje, toż ja mu ani rozumu do głowy nakłaść, ani tej dziewczyny powrócić nie zdołam! Zresztą, nie wiadomo dla jakiej przyczyny, oddalił się

od nas i nie okazuje tego wcale, aby naszej pomocy i przyjaźni potrzebował.

Aurelka twarz podniosła, ramiona z szyi ojca zdjęła i, plecami o ścianę oparta, włosami sobie lży z twarzy otarła. Kiedy rozgarnęła i w tył odrzuciła włosy, twarz jej ukazała się splakana, ale zarazem bardzo zamyślona. Głowę przecząco kilka razy potrząsnęła.

— On nie dla tej dziewczyny tak waryuje, — z zastanowieniem i zwolna mówiła — on takiej, co go tak łatwo na innego przehandlowała, długo ani pamiętać, ani żałować nie może...

— No, to cóż mu się stało do dyabła? — sarknął Kulesza.

Stali oboje w tak ciasnym kącie, że on, do stołu przyparty, ją wzajem do ściany przypierał i bardzo zbliżka na nią patrzył. Zdziwił go też wyraz dojrzany w oczach córki. Te oczy, zawsze tylko łagodne lub wesołe, teraz miały wyraz takiej roztropności i takiego głębokiego namysłu, jakiego, zdawało mu się, u nikogo jeszcze nie widział.

— No, no! W młodej dziecinie, nauka słyńie! — szepnął.

A ona, bose stopy jedną na drugą zakładając i nagie ramiona u nawpół odsłoniętej piersi krzyżując, mówiła:

— On, nie z zawiedzionego kochania waryuje, ale z obrazy i z tego, że przez jednych ludzi skrzywdzony, wszystkim już przestał ufać... Ponieważ oni jemu wzgardę okazali, więc boi się i od innych jej doświadczyć, dla tego też oddalił się od nas...

— To głupi! — przerwał Kulesza.

Znowu przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, tatku, on nie głupi jest, tylko bardzo ambitny. Kulesza uderzył się dłonią w czoło.

— A prawda! a pewno! To, to, to! ambicya obrażona! Temuż to tak przedemną rodziców swoich wysławiał! Tak jest. Prawda. Ja i nie zgadłem tego, a ty zga-

dłaś. No, ale teraz to już spać idź i mnie do łóżka puść, bo ledwie na nogach stoję...

Ona jednak czepiała się ciągle jego szyi, a ręce pocałunkami osypywała, prosząc, aby cokolwiek zrobił, poradził, ratował...

— Hm, hm, — mruczał Kulesza, — hm, hm! — i, dłonią głaszcząc jej włosy, półgębkiem obiecywał:

— No, zastanowię się, pomyślę, może co i poradzę, ale przestań beczeć i spać idź... słyszysz? przestań zaraz beczeć, bo jak nie, to... dam różgami!

Na wspomnienie różg, podniosła splakaną twarz, spojrziała ojcu w oczy i zaśmiała się:

— Tatko żartuje, — szepnęła.

On ją z kąta wyciągnął i ku drzwiom pokoju, w którym z siostrami sypiała, popchnął. Gdy już zniknęła za temi drzwiami, dość długo jeszcze stał ze świecą w ręku pomiędzy stołem a ścianą, w ciasnym kącie.

— Sprytna dziewczyna! — szeptał — oho, rozumna dziewczyna!

Do wszystkich dzieci swoich był przywiązany, ale dla tej najstarszej miał większą, niż dla innych, słabość. To samo było i z Kuleszyną. Dawno, dawno temu, utracili byli troje dzieci; Aurelka rozpoczęła szereg tych, które zdrowo i szczęśliwie hodować się miały. Może więc podstawą ich wyjątkowej dla niej słabości była wdzięczność za to, że pierwsza rodzicielskim ich uczuciom pociechę przyniosła.

— A Teofila miała rację!

Najzupełniej już przyszedł do przekonania, że spostrzeżenia żony nad Aurelką słusznymi były i, z kąta wyszedłszy, pośrodku izby jeszcze przystanął, głową potrząsł i w zamyśleniu do siebie zaszeptał: Matczyne oczy! matczyne oczy!

Kiedy ze swoim kawalkiem zapalonej świecy wszedł do ciemnego pokoju, w którym sypiał, rozchodził się po nim odgłos, mogący każdemu obcemu uchu dziwnym się

wydać, mianowicie gwizdanie, czasem bardzo cienkie i przewlekłe, czasem grubsze i w drżące trele wpadające, ale zawsze głośnie i nie przerywające się ani na moment. Było to zupełnie podobne do świergotania ptaszka. Kulesza jednak wiedział, iż w pokoju żadnego ptaszka nie było, i przyczynę tej szczególnej, wygwizdywanej melodyi tak dobrze znał, że już nawet nigdy nie zwracał na nią uwagi. Teraz przecież, gdy ona o słuch mu się obila, uśmiechnął się i, swoje łóżko ominawszy, zbliżył się do drugiego, które w głębi izby u przeciwległej ściany stało. Na tem łóżku, starą watowaną kołdrą szczelnie owiniętą, twardym jak kamień snem usypiała kobieta mała, szczupła, w nocnym czepku, z pod którego wychylały się gładkie pasma ciemnych włosów, z drobną twarzą o małych ustach i małym nosku, z którego-to właśnie wychodziło owe zawzięte i trelujące gwizdanie. Było to stałą jej wadą, że śpiąc, przez nos gwizdała. Zresztą, starą jeszcze nie będąc, utraciła już całkowicie świeżość i wdzięk młodości. Kiedy Kulesza za żonę ją brał, wesołą była i wcale nieszpętną. Teraz, mała i przedtem, twarz jej skurczyła się i bardziej jeszcze zmalała, skóra na niej stała się ciemną, grubą, czoło uwiędło i okryło się drobnymi zmarszczkami, na drobnych rękach zgrubiały i powypreżwały się żyły, osiadły różne, dziwne jakieś guzy i blizny. A wszystko to stało się od pracy, zresztą wcale nie ciężkiej. Gdzie tam! jaką tam ciężką pracę kobiecina taka spełniać mogła! Ot, po prostu, od dwudziestu kilku lat stała przy olbrzymim warsztacie świata i jedno ma-lutkie kółeczko ciągle, nieustannie, z żarliwością niezmierną obracała. Nic więcej. Lecz przytem obracaniu oblewała się cała potem i troską, i ta-to kapiel zmyła z niej do szczytu wszystkie powaby młodości, przemieniając ją też w katarynkę, przy każdym dotknięciu rozlegającą się jękami. Kulesza jednak przez chwilę na nią popatrzał, głową potrząsł, aż nachylił się i coraz zawzię-

ciej przez nos gwiżdżącą w biedne, uwiedle czoło pocałował.

Nazajutrz, w poobiednich godzinach, turkot młocarni przestał rozchodzić się po dziedzińcu, młócenie i odsyłanie do miasta zboża na czas jakiś ukończonem było. Kulesza ze stodoły wyszedł, zamknął ją i, zamiast ku domowi, ku bramie dziedzińca się skierował. Zamyślony był, widocznie plany jakieś w głowie układał. Za bramą, śród drogi przystanął, fajkę na krótkim cybuszku zapomocą hubki zapalił i poszedł ku lasowi, kędy też przed paru godzinami udał się być Jerzy. Wkrótce potem znajdował się już w głębi lasu i dążył w stronę, z której dochodziły stuki siekier i kiedy niekiedy padających na ziemię drzew. Niebawem też znalazł się w miejscu dokonywującej się trzebieży, las rzedniał, drzewa zdawały się rozstępować, pomiędzy niemi ukazywały się coraz większe płachty szarego nieba, aż nakoniec kręta wstęga dymu potoczyła się nisko nad białem podścieliskiem lasu i na małej przestrzeni, zupełnie z gęstwiny ogołoconej, błysnął płomyk. Przy tym niskim, jaskrawo śród białości lasu świecącym ogniu stało, grzejąc się, czy żywność jakąś sposobiąc, paru ludzi; kilku innych, zrzadka na wielkiej przestrzeni rozrzuconych, pracowało nad takim przerzadzaniem lasu, któreby drzewom swobodny i zdrowy wzrost zapewniało. Stuki siekier szybko następowały jedne po drugich; zresztą wszystko milczało. Ptaki uciekły ztąd, zapewne także i drobne zwierzęta; może nawet owady przeleknione, w swoich gniazdach pod mchami i korami, w zupełniejszą jeszcze, od zwykłej zimowej martwość zapadły. Raz tylko załopotало i zakrakało coś w górze; była to para odważnych kruków, które, niby straż dokoła rodzinnego drzewa odbywając, zakrażyły nad jego wierzchołkiem.

Kulesza szedł i tak rozglądał się dokoła, jakby ktoś wzrokiem szukał, aż zobaczył Jerzego, który, z odpowiednim narzędziem w ręku od drzewa do drzewa

chodząc, znakami opatrywał te, które nazajutrz wycinanemi być miały. Czynił to w milczeniu, prędko, jakby co rychlej pozbyć się chciał roboty, poczem, chwilę jeszcze z dwoma leśnikami półgłosem porozmawiawszy, skierował się w inną stronę. Kulesza zaszedł mu drogę.

— Pan Jerzy do domu już wraca?

— A tak; spodziewam się, że ktokolwiek z domu przyjedzie dziś do mnie, i chciałbym na tę porę być już u siebie.

Rzekłszy to, miał już Kuleszę ominąć, ale ten go zatrzymał:

— Kiedy pan do domu, to i ja także. Po to tylko tu przyszedłem, aby z panem na osobności pomówić... a w lesie osobność lepsza, niż w domu, gdzie ktokolwiek zawsze przeszkodzić może.

Mówiąc to, pilnie przypatrywał się młodzieńcowi i po raz pierwszy spostrzegł zmianę, która w nim zaszła: przychudł i ściemniał. Usta miał zamysłone, z pod spuszczonej powiek patrzył w ziemię. Były to te same rysy kształtne i niszczącem dłutem czasu jeszcze nie nadwężone, lecz życie położyło już na nich pierwszą chmurę, która przyćmiła ich blask i świeżość. Jeżeli boleść wgryzie się w nie i przejmie je swoim jadem, wkrótce zmienią się do niepoznania.

Kulesza pomyślał:

— Teofila miała rację: zmizerniał. Zgryzota, a do tego codzień groch i kartofle na obiad!

Jerzy zaś, nie podnosząc oczu, zapytał:

— A o czem pan ma ze mną do pomówienia? Może o tem drzewie do reparacyi budynków?

Głos jego zmienił się także. Trochę szorstki był, trochę leniwy.

— Mówienie o drzewie osobności nie potrzebuje, — żywo odparł Kulesza. — Moje mówienie z panem wcale o czem innem będzie. A oto o czem: czy pan mnie i moją familię za dzikie zwierzęta poczytujesz, albo też sam sie-

bie masz za takie zwierzę, co sobie osobną norę w lesie lub też i w polu wykopuje? Jakiż z ciebie człowiek, kiedy dobrymi sercami ludzkiemi, jak śmieciem, gardzisz? Jaki z ciebie mężczyzna, kiedy dla babskiego bzdurstwa ręce od roboty odrywasz i pocziwość pod nogi sobie chcesz brać? Pfuj! i to wszystko przez jedną dziewczynę, która może i podeszwy twojego buta nie warta! Wstydzilibyś się i oczów ludzkich i samego siebie! Pfuj, spodziewałem się, że wcale inszym jesteś; jak Bóg na niebie, spodziewałem się po tobie wcale czego inszego!

Przed wyjściem z domu i po drodze Kulesza układał dla załatwienia sprawy z Jerzym wielce dyplomatyczne plany, ale kiedy popatrzał na niego i mówić zaczął, dyplomacya w łeb wzięła, a im więcej mówił, tem większy gniew go porywał. Zaczzerwienił się, zaindyczył, z pana wpadł na ty, mówiąc, dwa razy w bok splunął. Jerzy podniósł na niego zdziwione oczy, lecz wnet spuścił je znowu, a gdy Kulesza umilkł nakoniec i tylko głośno sapał, zniżonym trochę głosem odpowiedział:

— Ja panu bardzo wdzięczny jestem za życzliwość i naukę, ale pan o mnie wcale nieprawdziwe ma wyobrażenie, skoro myśli, że ja dla babskiego bzdurstwa i dla dziewczyny...

— Wiem! wiem! — przerwał Kulesza — ale to też jest głupstwo, może jeszcze większe, aniżeli tamto. Dla tego, że na świecie kupę bałwanów znalazłeś, to już zwątpiłeś o tem, czy na nim ludzie być mogą!

— Przepraszam pana, ludzie na świecie są pewno i dobrzy, ja o tem wątpienia nie mam... tylko nie dla mnie!

— A toż czemu?

— Temu — podnosząc oczy, w których przeleciała błyskawica, odpowiedział Jerzy — że na taką poniewierkę, jaką raz zniosłem, drugi raz nie narażę się pewno i wszystkim, oprócz swojej familii i innych ludzi sobie równych, na zawsze obcym pozostanę!

— Wiem, wiem! — powtórzył Kulesza — a jakże! Dla tej przyczyny odstrychnąłeś się od naszego domu, dla tejże i rodziców swoich wczoraj przedemną wysławiałeś! Oho! chcesz, abym powiedział, coś sobie wtenczas myślał? A ot, coś myślał: „Masz wiedzieć, kpie szlachcicu, że choć mnie ludzie za pochodzenie moje sponiewierali, ja go nie wstydzę się, owszem, wysławiam, a was bałwanów, znać nawet nie chcę!“ Może nie prawda? Powiedzże nie prawda? zelżyj!

Jerzy uśmiechnął się. Niepodobna było, choćby najsmutniejszemu człowiekowi, nie uśmiechnąć się z gestów Kuleszy i głosu, którym myśli Jerzego przedrzeźniał.

— Łgać nie będę — rzekł — zupełnie tak, jak pan mówi, nie myślałem, ale że względem pochodzenia mojego nigdy Judaszem nie zostanę i że go wcale nie mam za gorsze od innych, to jest prawda. A czemuż ono gorsze? Nie od złodziejów, ani inszych zbrodniarzy pochodzę, ale od takich, którzy w pocie czoła dostarczali chleb sobie i drugim. Ojciec mój, prosty człowiek, często nawet w łapciach chodzi, bo go nie zawsze stać na buty, ale przez to samo co w życiu swoim przepracował i przecierpiał, wart każdego inszego pocziwego człowieka, choćby na największych wysokościach urodzonego.

Podniósł głowę, rozbłyśłym wzrokiem przed siebie patrzył.

— Masz rację, masz rację — potwierdził Kulesza — kto z nas gorszy, a kto lepszy, i czyi ojcowie byli gorsi, a czyi lepsi, Bóg niech sądzi, Bóg niech sądzi... wszystkich zarówno ojciec...

Jerzy, może szczerością Kuleszy rozgrzany, może też to, co go dręczyło, wypowiedzieć nakoniec pragnący, mówił dalej:

— Jak ja do tej dziewczyny przywiązany byłem, jak mnie serce rozdarło się, gdy przekonany przez nią samą zostałem, że ona nie tyle warta, ile ją ceniłem; ile razy przez te kilka dni ona ukazywała się mnie i we

śnie i na jawie, i zrana i wieczorem, aby znów rozwiać się jak mara i mnie w żałości pozostawić, — to już ja jeden wiem i o tem pewno nikomu opowiadać nie będę... bo i nie potrzeba i trudno...

Istotnie, z głosu jego poznać było można, że trudno mu było o tem mówić; umilkł też i po chwili dopiero zaczął znowu:

— Ale właśnie dlatego, że ona mego serca niegodną się okazała i że sam przed sobą wstydę się swojej słabości i tego swego zdradzonego kochania, wprędce może pozbyłbym się żalu, a na żadną desperacyę pewno bym sobie nie pozwolił... Ale to, czego od jej rodziny, a zwłaszcza od jej braciszka, doznałem, na wieki, zdaje się, jadovitym wężem we mnie ugrzęzło. Bo kiedy oni uczciwego człowieka za nic mieli i jak brudny gałgan nogą podrzucili, to pewno i insi tak samo myślą i postąpić są zawsze gotowi. A kiedy tak, to na cóż mnie starać się, pracować, o dobrem umieszczeniu na tym świecie myśleć? Żeby i gwiazdę z nieba na ziemię przeniósł, tobym jeszcze na niej nic nie odmienił i sam się z pod ludzkiej pogardy nie wymknał!

Ręką uczynił gest zupełnego zniechęcenia; gniewu nie znać było po nim w tej chwili, ale oblekła go jakby całego ciężka posępność.

Kulesza też zmarkotniał i przez chwilę milczał, głową tylko czasem trzęsąc, smutnie i z namysłem.

— Słuchaj-no, Jerzy — zaczął — nie zupełnie to tak jest, jak ty myślisz: nie jedna była przyczyna tego, że oni cię odtrącili, ale dwie, a druga, pewno dla nich ważniejsza jeszcze, niżeli pierwsza. Ja również z okolicy szlacheckiej rodem jestem, z Kuleszów, pod Lidą; znam też dobrze i zabobony i cheiwość, które w zapłotkach tych panują. Sam ich pozbyłem się, chwała Bogu, ale to dlatego, że za młodu w świat wywędrowawszy, z niejednego pieca chleb jadałem, nieraz znajdowałem się na wozie i pod wozem, a różnych wielkości i małości ludz-

kich napatrzyłem się tyle, że jednemu już tylko Boga za wielkiego uznał... Ludzie zaś wszyscy pod nim żyją, a wielcy czy mali, zarówno ułomni są i na tym świecie cierpieć muszą...

Umilkł na chwilę, parę razy nosem czmychnął, namyślał się, a Jerzy po raz pierwszy uważny i trochę zdziwiony wzrok na twarzy jego zatrzymał.

— Otóż widzisz — ciągnął Kulesza — oni ciebie nie tylko z przyczyny zabobonu tyczącego się pochodzenia twego odtrącili, ale także, i jeszcze więcej, dlatego, że ty swojej ziemi nie masz...

— Głowę i ręce mam! — sarknął Jerzy.

— Ja to przyznaję — odparł Kulesza — ale oni i największy na świecie honor i uciechę i spokojne ubezpieczenie — w ziemi tylko upatrują. I nie można powiedzieć, aby na dnie tego naczynia krzty prawdy nie było. Ziemia to taka piękna i droga rzecz, że przy niej wszystkie brylanty tanieją; ona wyleczeniem jest dla człowieka z troski o ciało i z wszelkiej desperacji dusznej; ona matką jest, która czasem chłoscze, ale często też mile pieści, a zawsze karmi...

Rozczulił się, ziemię matkę, pocieszycielkę i karmicielkę wysławiając; to samo tętno, które od wieków w rodzinnych jego Kuleszach w krwi i sercach ludzkich dzwoniło, jemu także, po tylu już leciech, sprowadziło krew do skroni i wilgoć do oczu. Po chwili przecież mówił dalej:

— To jest prawda; ale znowuż ja ze swojego choćby doświadczenia i o tem wiem, że i bez posiadania ziemi można sobie uczciwie i pomyślnie wiek przez Boga przeznaczony na tym świecie przeżyć. Kiedy z Teofilą żeniłem się, goły byłem, jak bizun, a ona także tyle posagu mnie wniosła, że i kot na ogonie mógłby go unieść. Ot tak, jak ty teraz: głowę i ręce miałem — więcej nic, a jeszcze wielką ochotę do pracy i ambicję, aby na psa nie zejść, akurat jak ty teraz. Prawda, że różnie z nami by-

wało, czasem to i wcale ciężko i niemile, lecz koniec we wszelkiej robocie najważniejszy, a u jakiego końca ja stanąłem, sam widzisz. Za nieszczęśliwego się nie poczytuję, ani za ubogiego, owszem za bogatego, bom nikomu nic nie dłużeń, niczyjej krzywdy na sumieniu nie noszę, a chleba tyle mam, że jeszcze z biedniejszym nie jeden raz podzielić się nim mogę! Ziemi swojej wprawdzie nie posiadam, ale choć i na cudzej, więcej niż sto sztuk bydelka mam, tysiąc owieczek, dwanaście sprzęgów koni i wszystkie tam różne ruchomości, gospodarstwu i dostatkowi potrzebne... Może też i groszyk jaki, choć nie duży, na nagłą potrzebę w kieszeni najdę! dzięki Bogu! Sześcioro dzieci Pan Bóg mnie pozostawił, troje najstarszych odebrawszy... inni narzekają, że z dziećmi trudno, a ja cieszę się, że je mam... dzięki Bogu! Dziewczęta jak łanie powyrastały, starszy chłopiec w szkołach nieźle się uczy, młodszy, choć teraz bęben jeszcze, ale spodziewam się, że tak jak i inne zgryzoty mi nie przyniesie... dzięki Bogu!

Teraz cała optymistyczna, gołębia natura człowieka tego wybuchnęła mu na twarz szczerym, szerokim uśmiechem. Śmiejąc się, dłoń na ramieniu Jerzego położył i mówił:

— Tak i z tobą będzie, kochanku! tak i z tobą będzie! Zgryzotę pod nogi rzuć, do roboty rękawy zawiń, lamentować napróżno przestań. Lamenty babom właściwe; toć przecież i one, obok lamentowania, co innego jeszcze robić muszą. I moja wiecznie jęczy — a jak przytem pracuje! hej!

Jerzy zdawał się być rozmową bardzo zajęтым.

— Już to pewno — po chwili rzekł — że pan ma rację i że jeżeli ktokolwiek na świecie smutnemu człowiekowi odwagi dodać, a wątplenia ująć może, to nikt lepiej od pana uczynić tego nie zdoła.

— To i czegoż puszyłeś się przedemną jak indyk,

a od nas wszystkich jak leśny odynieć stroniłeś? — z tryumfem zaśmiał się Kulesza.

Ale Jerzy na pytanie jego nie odpowiedział. Z posępnym blaskiem w spuszczonych oczach zamyslił się znowu.

— Aha! — nagle wybuchając, zawołał — żebym ja mógł jakim sposobem pomścić się na nich za tę obrazę, którą oni mnie wyrządzili, zdaje się, że waż jadowity wypadłby ze mnie! Już parę razy blizki byłem tego, aby do Tołłoczek pojechać i Osipowiczowi w łeb z fuzji wypalić, ale powstrzymywało mnie, po pierwsze: zbrodniarzem być nie chcę, a po drugie: ona mogłaby sobie pomyśleć, że ja o nią, choć mnie na innego prze-handlowała, tak dbam, iż sumienie i wolność moją niżej od niej stawię... Ale żebym mógł jaki sposób wymyśleć, żebym mógł... aby pokazać im, że od nich nie gorszy, a jeszcze lepszy, że i o nich i o nią tyle dbam, ile o ten śnieg, który w przeszłym roku padał...

Zakipiał cały, ogień buchnął mu z oczu, a suchą gałązką, którą był sobie z drzewa ułamał, tak o krzak jakiś uderzył, że złamała się na drobne szczęty. Kulesza uśmiechał się pod wąsem; parę razy z ukosa na niego zerknął, aż półgębkiem wymówił:

— A no, to klin klinem wybij... zakochaj się w drugiej i...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale powstrzymał się z widocznym wysileniem, bo wszelkie przemileczenie i ukrywanie myśli ogromnie trudnem mu było. Jerzy z uniesienia ochłonał, pobladł, ręką znowu gest zniechęcenia uczynił.

— Kiedyż bo ja wcale już nie wiem, czy prawdziwe kochanie jest na świecie, albo też każde oszukaństwem tylko być musi — rzekł z cicha.

— Toś głupi! — nagle wybuchnął Kulesza i z niezwykłego rozszerzenia się jego oczu, zarówno jak z roz-

machliwych gestów, poznać można było, że nie już na świecie nie zdołałoby słów jego powstrzymać.

— A tak jest, jeżeli dla kupy bałwanów wszystkimi ludźmi, a dla jednej niestałej frygi, wszystkimi kobietami i ich kochaniem poniewierasz, — toś głupi! Otóż, na złość ci powiem... tak jest, na złość, i abyś zawstydził się... że może jest na świecie taki szlachcic, któryby za ciebie chętnie córkę wydał i taka panna, od tamtej może nawet troszkę lepsza, któraby dla ciebie może stałe kochanie miała... żebyś... żebyś... żebyś... nie był głupi!

Zasapał się i wnet po uniesieniu wpadł w markotność. Żałował tego, co powiedział; tak daleko zajść w rozmowie z Jerzym nie chciał i nie zamierzał; ale, jak zwykle z nim bywało, to, co na sercu i w myśli miał, wybuchnęło mu na język, który teraz trochę zębami przygryzał, ale już nie w czas, — nie w czas, bo Jerzy sens słów jego odrazu zrozumiał i nie zadziwił się nawet, tylko długo i uważnie na niego popatrzał. Nie zadziwił się może dlatego, że i dawniej już miał te i owe domysły i spostrzeżenia, ale po chwili opanowało go wzruszenie wielkie i bardzo widoczne, a w całym wyrazie twarzy, z jakim na Kuleszę patrzył, widać było rzewną życzliwość i wdzięczność. Zanim jednak cokolwiek mógł odpowiedzieć, usłyszał tuż za plecami głuchy po śniegu tentent konia, obejrzał się i z okrzykiem: „Mama!“ rzucił się ku nadjeżdżającym jednokonnym sankom, na których siedziała przygarbiona, w płachty szczelnie owinięta postać kobieca. Było to już na dziedzińcu dworskim, blisko oficyny, więc gdy sanki przed drzwiami tej ostatniej podjechały, Kulesza, który zatrzymał się był w pobliżu, widział Jerzego, jak objąwszy kobietę, niby piórko zdjął ją z sani, a powożącemu wyrostkowi rękę tak ścisnął, że aż nią mocno zatrzęsł. Na twarz wystąpiła mu radość; o Kuleszy i rozmowie z nim, zdawać się mogło, że zapomniał.

Kulesza zaś wszedł do jadalnej izby, w której wszystkie dzieci swoje znalazł. Ponieważ był to dzień

formy sl. 111. ?

niedzielny, więc Aurelka, w tym samym kątku, w którym wczoraj rozmawiała z ojcem, smutnie jakoś do ściany przytulona, książkę w starej oprawie czytała, Antek z głową na jej kolanach opartą spał; Karolka i Zośka, szepcząc i chichocząc pomiędzy sobą, trochę baki po izbie zbijały, trochę nakrywały stół do wieczerzy. Jękliwy głosik Kuleszyny dochodził tu z kuchni, przez drzwi przyknięte, razem z zapachami smażącej się tłustości i świeżego jakiegoś pieczywa. Kulesza, wszedłszy, zapachy tenosem pociągnął i zaraz odgadł z nich doskonałą hreczaną babkę ze słoniną. Uśmiechnął się.

— Ehe! Teofila dziś występuje!

I, na żadną z dziewcząt nie patrząc, rzekł:

— Do pana Jerzego matka i brat przyjechali. Niech która koza skoczy i poprosi ich do nas na wieczerzę.

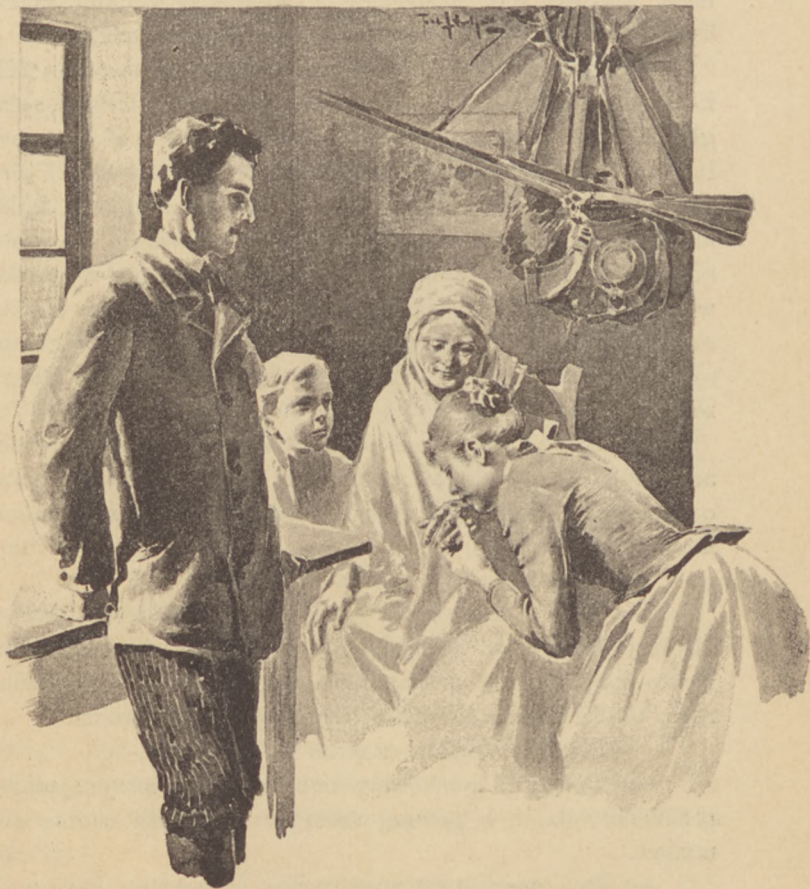
Dwie młodsze kozy spojrzały po sobie.

— Niech Awrelka skoczy, bo ubrana — odezwała się Karolka.

Istotnie, one same były w zupełnych negligach: bosc, z roztarganemi kosami, w codziennych spódnicach i kaftanach. Zbyt młode, aby w stroju kochać się już mogły, swawoląc i pomagając w kuchni matce, o ubieraniu się zapomniały. Aurelka, przeciwnie, była po niedzielnemu ubrana, miała na sobie czarną, wełnianą sukienkę, z obcisłym stanikiem, błękitną wstążkę na szyi i prunelowe buciki na nogach. Od starannego uczesania gruba jej kosa, nad głową zwinięta, połyskiwała jak blade złoto. Pomimo niewysokiej i nieco krępej kibici, zbyt szerokich policzków i zbyt małego noska, wyglądała w tym stroju na zgrabną, świeżą i ładną panienkę. Gdy tak ubrana i wyglądająca do mieszkania Jerzego weszła, zobaczyła starą, szczupłą, pomarszczoną na twarzy chłopkę, przy stole na jednym stolku siedzącą, a przystojnego wyrostka w siermiędze, na drugim. Jerzy stał przed nimi i z ożywioną twarzą słuchał tego, co mu na wyjściu oboje

opowiadali, aż usłyszawszy otwieranie się drzwi, obejrzał się i wprost oczyma spotkał jej oczy.

Ona przez króciutką chwilę zatrzymała się u drzwi, na sufit, na podłogę, w prawo, w lewo okiem rzuciła, i gdy



uspokoila się zupełnie, zamyślona, poważna, zwolna przez izbę przeszedłszy, przed starą chłopką pochyliła się i milcząc w pomarszczoną, ciemną rękę ją pocałowała, potem z uśmiechem rzekła:

— Tatko i mama kazali mnie panią Mikołajową i pana Jerzego...

Tu do Jerzego brata zwróciła się:

— I pana... bardzo pięknie na wieczerzę prosić. Niech pani Mikołajowa i pan Jerzy i brat pana Jerzego, będą łaskawi nas odwiedzić i wieczerzę z nami zjeść. Tatko i mama pięknie proszą i my wszyscy także.

W godzinę lub nieco więcej potem Kuleszyna i Mikołajowa, przy stole jeszcze siedząc, prowadziły z sobą głośną i zawziętą sprzeczkę o to, czy przed rozścielaniem lnu na trawie trzeba go moczyć, czy nie trzeba; Kulesza, po obfitej kolacyi szeroko na krzesle rozparty, fajkę na krótkim cybuszku palił; młodsze dziewczęta ze stołu zbierały i przystojnego lecz bardzo nieśmiałego wyrostka w siermiedze z żartami i śmiechem przyzywały co chwilę do różnych usług i pomocy; Jerzy z Aurelką w cieniu nieco u okna stał, bo na stole paląca się nieduża lampa nie wszystkie kąty izby dobrze oświecała.

— Czy panna Aurelia przebaczy mi kiedykolwiek, że w żalu i gniewie na cały świat będąc, przyjaźń pani odrzuciłem? I czy ta przyjaźń kiedykolwiek przywróconą mi zostanie?

Aurelka żartobliwie odpowiedziała.

— Ja nie zawzięta i jeżeli pan Jerzy życzy sobie, abyśmy znowu w przyjaźni z sobą byli, to i owszem. Tylko już teraz to proszę mnie wszystko mówić i powierzać, bo za każdą skrytość okropną pokutę zadam.

— Jakaż to będzie pokuta? — zapytał.

— Taka, że pan Jerzy będzie musiał przynajmniej przez cały dzień o pewnej rzeczy i o pewnej osobie nie myśleć.

— Ja i teraz już o niej myśleć przestaję — szepnęła.

— To znów źle, to już zbyt wielka jest niestałość! — sprzeciwiła się niby nadąsana, ale usta jej drżały tłumionym śmiechem. Była wesołą, a z pod białego czoła i blado

złotych brwi oczy jej, tak jak u ojca, pogodne i szczere, świeciły jak szafiry najczystszej wody.

On stał jeszcze chwilę zamyślony i milczący, aż odezwał się znowu:

— Panno Aurelio!

— A co?

— Pani więcej wie o tej rzeczy odemnie. Czy ten posłaniec mówił pani: na który dzień naznaczony jest ślub tej osoby?

— A jakże! — mówił — na zapustną niedzielę!

— To jeszcze do tej niedzieli trzy tygodnie.

— A trzy.

Znowu zamyślił się i znowu odezwał się po chwili.

— Panno Aurelio!

— A co?

— Niech mnie pani rączkę swoją poda!

Bez chwili wahania wyciągnęła do niego rękę.

On, schylony, kilka razy ją pocałował, za każdym razem mówiąc:

— Za ten pocałunek, który pani na ręku mego biednego matczyńska złożyła... za pani przychylność i dobroć dla mnie... za te śliczne oczy, które na mnie tak mile teraz patrzą... na wieczną przyjaźń... na dożgonną zgodę...

Kuleszyna i Mikołajowa sprzeczały się jeszcze: czy len przed rozesłaniem lepiej moczyć, czy nie moczyć, a Kulesza, pykając z fajki, ku oknu zerkął, zerkął, aż się zdrzemnął.

Około północy w jednej z izdebek przez Jerzego



zamieszkiwanych rozlegało się sapanie i chrapanie dwóch śpiących osób; w drugiej on sam stał przed oknem i, patrząc na dziedziniec pełnią księżyca oświecony, myślał długo, aż ręką tryumfujący gest uczynił i z cicha zawołał:

— Otóż i pokażę wam, że dbam o was równo tak, jak o starą podeszwę!

Potem jednak smutek spadł mu na twarz:

— A z tobą, Salusiu, tak jak żądaliśmy i zamierzali, jednego dnia przed ślubnym ołtarzem staniemy... jednego dnia... tylko w oddaleniu i rozłączeniu wiecznem...

Ręką otarł mokre powieki, na stolku usiadł i ze spuszczoną głową długo siedział, bardzo smutny.





V.

Konstanty Osipowicz w swojej nowej, wielkiej stodole młócił owies, który dobrze obrodził w tym roku i którego ani części jeszcze nie sprzedał. To powstrzymywanie się ze sprzedażą głośno i otwarcie przypisywał swojemu rozumowi. „Bo do wszystkiego — mówił — trza mieć rozum. Ja czego nie wiem i wiedzieć nie mogę, bo w boskich ręku jeszcze pozostaje, to odgadnę, albo i przeczuję. Drugi dawno polakomiłby się na ceny i pozbył się owsa, a ja odgadłem potrzebę, w jakiej się najdę! Tak jakby mnie coś do ucha szeptało: niech to ziarno poleży jeszcze sobie! A cóż to szeptało? rozum i kwita! fiu! fiu!”

Potrzeba zaś była taka, że weselników zjechać się miało wielu, a on był zbyt ambitnym, aby mógł nie zasypać każdemu „gościowemu” koniowi choćby małego i choćby z sieczką zmieszanego garncyka owsa. W innym czasie ta ujma w dochodach martwiłaby go ogromnie, ale teraz pomyślny obrót małżeńskiej sprawy siostry taką mu sprawiał uciechę i dumę, że czasem tylko i trochę jedynie markotniał, starając się w dodatku tego po sobie nie pokazywać.

Pancewicz, którego żona ciągle teraz u brata prze-
siadywała, wczoraj tu przyjechał i aż do blizkiego już
wesela miał pozostać. Wstawszy więc z rana, po zagro-
dzie pochodził, braterskie budynki tak uważnie i ze stron
wszystkich obejrzał, jakby po raz pierwszy w życiu je
widział, na chałupę Gabrysia z politowaniem i większem
jeszcze lekceważeniem popatrzał, aż znudził się, surdut
zdział i bratu do pomocy w młóceniu stanął. Bez surdu-
tów i kamizelek, tylko w białych jak śnieg koszulach,
pomiędzy dwoma pachnącemi zasiekami zboża, niedaleko
od siebie stojąc, podnosili obaj cepiska i spuszczać je
w leżące na toku snopy biczami walili. Pancewicz czynił
to powoli i poważnie, Konstanty — prędko i zapalczywie,
tak, że na jedno uderzenie pierwszego dwa drugiego wy-
padały, aż z głuchych lecz silnych odgłosów tych ude-
rzeń utworzył się rytm stały, jednostajny i przez otwarte
drzwi stodoły nieustannie, jednostajnie rozchodził się po
zagrodzie. Na dziedzińcu, w sadzie, około obory i stajni,
nawet na wyboistej drodze, biegnącej brzegiem pola, sły-
chać było głośnie, ciągle, równe trzy tempa: Taf, taf, taf!
Taf, taf, taf! Zdawać się mogło, że duża, żółta, białą
koldrą w górze przykryta stodoła gadała.

Pośród długiego szlaku okolicy były i inne jeszcze
stodoły, które gadały tak samo; komuś więc, ktoby drogą
szedł lub jechał, wydawałoby się mogło, że budynki te
prowadziły z sobą zawziętą i gadatliwą rozmowę. Mie-
szały się do niej czasem głuche stukoty sanek skaczą-
cych po twardych wybojach drogi i przeraźliwe świegoty
wróbli, których ogromne stada z głośnym trzepotem
wznosiły się w powietrze, to znowu na ziemię opadały
u rozwartych i zmiętą słomą usianych wrót każdej stodoły.

Wcale inne odgłosy z za zamkniętych okien wycho-
dziły z domu Osipowicza, w którym, niby rój pszczół,
brzęczały rozmowy i śmiechy. Łatwo było odgadnąć, że
garstka młodzieży napelniała świetlicę i że było tam bar-
dzo wesoło. Jakoż ze stukiem, szeroko otworzyły się

drzwi domu i na ganek, ścigana widocznie przez dwóch młodych i urodziwych chłopców, wybiegła dziewczyna wysoka, zgrabna, piękna, w czarnych warkoczach nad śniadą twarzą, po miejsku ubrana, w suknię z obcisłym stanikiem i turniurą. Jeden ze ścigających chwycił ją za fałdy sukni, drugi za rękę, a obaj wołali i zaklinali się, że jej nie puszcza, że nie po to przyszli, aby ich ona w smętku i samotności pozostawiała, że jeżeli już nieszczęsny los tak zdarzył, iż pan Cydzik wprędce porwie ją i w dalekie strony uwiezie, to oni choć tymczasem widokiem jej nacieszyć się żądają. Jeden, z niejaką elegancją w szarą kurtę, zielonemi taśmami naszytą, ubrany, półgłosem jej mówił, że tego Cydzika zastrzeli chyba za pozbawienie całej okolicy najpiękniejszego kwiatka, który w niej wyrósł! Drugi coś jej także do ucha szeptał. Parę dziewcząt w samodziałowych spódnicach i codziennych kaftanach, przez drzwi z sieni wyglądało, szczerząc zęby i przyglądając się tryumfowi towarzyszek. Widocznie bowiem była ona tryumfatorką i z zadowoleniem przyjmowała sypiące się na nią komplementa i czułości. Zadowolenie, rozbawienie, zalotność tryskały z jej twarzy, spojrzeń i ruchów. — Ten Adaś Strupiński szczególnie był takim przystojnym i dowcipnym chłopcem, że wesoło było z nim pożartować, a ponieważ uchodził za bałamuta i wielu już pannom w okolicy głowy napróżno pozawracał, więc nawzajem zawrócić mu głowę niemałym musiało być tryumfem. Że zaś głowę miał już zawróconą, to wyraźnie widziała i była pewną, że gdyby nie zaręczył z Cydzikiem, on teraz oświadczyłby się o nią. — Jednak choć kompania była tak wesołą, umyśliła porzucić ją na chwilę, a myśl ta niewiedzieć zkad i nagle strzeliła jej do głowy, gdy, u długiego pieca na kołowrotku przedąc, z chłopcami i dziewczętami rozmawiała i żartowała. Niewiedzieć dla czego i nagle wśród największej wesołości pomyślała sobie: dość już tego! nie chcę już ich! do Gabrysia polecę! Zerwała się od kołowrotka,

na ganek wypadła, gdzie ją znowu te męciwody i pochlebniaki bardzo zabawili i zozśmieszyli. Jednak, gdy Strupiński zbyt już mocno rękę jej ścisnął i zbyt zuchwale w same oczy zajrzał, zaczerwieniła się, po ramieniu go uderzyła i wyrwawszy się mu, jak strzała ku zagrodzie Gabrysia pobiegła. Płotek, dwie zagrody rozdzielający, nie był dla niej żadną przeszkodą, bo od dzieciństwa przebywać go przywykła w taki sposób, w jaki uczyniła to i teraz. Przeskoczyła go jak sarna i tylko fałdy miejskiej sukni, nie bardzo do przeskakiwania płotów odpowiedniej, zaczęły się o coś i na chwilę znajdującą się pod niemi kraciastą, samodziałową spódniczkę ukazały. Przystanęła i, nachyliwszy się, z niepokojem obejrzała: czy się czasem nie rozdarły. Od powrotu swego z miasta nie ubierała się już inaczej jeno w takie miejskie suknie, których dwie miała: jedną od Końcowej, drugą, którą sprawiła sobie za pieniądze, otrzymane ze sprzedaży utkanych własnymi rękoma kołder i kilimków. Ponieważ za bogatego wychodziła, mogła sobie tedy na ten zbytek pozwolić i suknie te znosić choćby jeszcze i przed ślubem. Nieraz, wkładając je i nowe wstążki na szyję zawiązując, myślała, że przecież teraz takie rzeczy, to całe już jej szczęście, więc też pewno nie będzie ich sobie szczeni. Ile razy tak pomyślała, zawsze łzy zakręciły się jej w oczach, ale przy zapinaniu i zawiązywaniu kokardy osychały.

Przez podwórko Gabrysia szła nieco wolniej, słuchając rozlegającego się w chacie ciągłego, monotonnego stukania.

— Gabrys sieczkę rznie! — pomyślała.

Istotnie, w ciemnawej sionce, przy ustawionem w głębi razidle Gabrys stał bez kapoty, w grubej koszuli i, bosą stopę na ponożu opierając, wielki nóż w drewnianej rękojeści prędko jedną ręką na podsuwany drugą snop słomy opuszczał. Z pod rzezaka spadała żółta ulewa na drobną sieczkę pokrajanej słomy; czoło pracującego było trochę zwilżone potem, a czarne jego wąsy

na wydętych od wysilenia i zamyślenia wargach ster-
czyły pośród chudych policzków, jak kępa twardej szcze-
ciny. Wtem, tuż za jego plecami, zadzwonił świeży, do-
nośny głos kobiecy:

— Dla czego to Gabrys, choćby i do rznięcia sieczki,
nie ubierze się porządniej? Bosy, z rozczochranymi wło-
sami, w rozpiętej koszuli, tak jak ostatni kapcan! fi!

Zmieszał się tak ogromnie, że słomę i rzezak z rąk
wypuszczając, jak mały chłopczyk na gorącym uczynku
schwyty, z opuszczonemi w dół ramionami i zwieszoną
głową stanął. Ona, cała rozweselona komplementami i żar-
tami, z pośród których tylko co się wyrwała, stała przed
nim z rozbłysłemi oczyma, teraz wreszcie zbliżyła się, ręką
odgarnęła mu z czoła zwilżone nieco od potu włosy i ko-
szulę u szyi zawiązała. Bardzo lubiła Gabrysia i im wię-
cej ludzie nim gardzili i głupim go przezywali, tem wię-
cej go lubiła. Czasem zdejmował ją żal nad nim, że
był takim biednym i samotnym, czasem też śmiała się
i żartowała z niego sama, bo śmiesznie wyglądał, gdy
tak, jak teraz naprzykład, z rozcierwienioną twarzą i ob-
wisłemi rękoma, stał jak kolek i patrzył na nią łypiąc
powiekami i uśmiechając się gapiowato. Głos miewał za-
wsze cichy, przytłumiony, jakby od nieśmiałości, czy też
od braku wprawy w mówieniu. Tym więc głosem zapy-
tał ją nakoniec:

— Czy Salusia jaki interes ma do mnie?

— Ej nie, zachciało mi się tylko Gabrysia odwie-
dzić, a przy tem już i zapytam: czy Gabrys da mnie swój
wazonik mirtu na wianeczek i bukieciki?

— To niech Salusia do izby wejdzie i ten mirt zo-
baczy, a ja zaraz też tam pójde.

Przez niskie, szerokie drzwi, na drewnianą klamkę
zamykane, do izdebki wbiegła i natychmiast, niby wonna
fala, ogarnęły ją silne zapachy geranium i heliotropu.
Tem silniejszymi wydawały się te zapachy, że izdebka
była malutką. Stał tam pod ścianą szeroki tapczan z sien-

nikiem, samodziałową kołdrą przykrytym, i z dostatnią czystą poduszką; nad nim, obok kilku jaskrawych obrazków, wisiały skrzypce. Zresztą, oprócz starego stołu, na którym stała lampka i leżało parę książek w zniszczonych oprawach, zydelka, paru stołków, nic tam nie było i prawie nic zmieścić-by się już nie mogło. Podłogę, z gliny ubitą, wysoki próg, w wązkich drzwiczkach położony, przedzielał z kuchenką, w której palił się w piecu mały ogień i stały przed ogniem dwa niewielkie garnki. Jedy-nym zbytkiem tego ciasnego i ubogiego wnętrza były dwa dość duże okna, w spore i czyste szyby zaopatrzone, a jedyną ozdobą—umieszczone przy nich rośliny. Wcale nie dużo ich było: okwitająca już pelargonja i w pełni rozkwitły heliotrop, rozłożyste geranium i dwa mirty, które, nie mieszcząc się w oknie, na stołkach przy niem stały, całe w słońcu, którego południowe blaski z za zie-lonych liści sypały na glinianą podłogę deszcz złotych kólek i esików. Cisza tu była wielka, czasem tylko ogień w kuchence zatrzaskał i od strony Osipowicza dochodziło zgłuszone oddaleniem, rytmiczne stukanie cepów.

Salusia, uśmiechnięta, cała w słonecznej smudze, obu rękoma obejmowała wazonik z heliotropem i z całej siły wciągała w siebie zapach drobnego, bladego kwiatu.

— Salusi podoba się mój heliotrop?— usłyszała za sobą przyciszone pytanie— to niech go sobie Salusia na nowe gospodarstwo weźmie.

Gabryś stał za nią w kapocie już i w butach z od-padającymi podeszwami.

— Niechże Salusia mirty zobaczy.

— Prawda, Gabryś ma teraz dwa mirty, dawniej przecież miał tylko jeden!...

Delikatnie dotykając palcami drobnych listków mir-towych, z uśmiechem mówił:

— A tak; ten starszy zasadziłem dziewięć lat temu, kiedy Salusia niedorosłą jeszcze była, myśląc sobie, że jak raz na tę porę wyrośnie, w której Salusia za mąż

wychodzić będzie. Ale potem, cościś trzy lata temu, zasadziłem drugi, aby Salusia dostаточно go miała na ślubny wianuszek i bukietiki dla asysty...

— To Gabrys umyślnie dla mnie te mirty hodował?

— A jakże! — odpowiedział z takim zdziwieniem, jakby przypuszczenie, że mogło być inaczej, wydawało mu się zupełnie dzikiem i niesłychanem.

Dziewczyna, kręcąc się po izdebce, szczebiotała:

— U Gabrysia jest ładnie, ciasno, ale ładnie, bo czyściutko, i kwiaty przyozdabiają. A czemu Gabrys jeszcze ptaków jakich, szczygłów lub czyżyków, w klatce nie trzyma? Wesolo byłoby, żeby sobie pośród tej zieloności szczebiotały.

— Nie mogę, żałuję — odpowiedział. — Ptkom w klatce męka okropna. I na co? Pod dachem kryje się przed zimą mnóstwo wróbl; ja im poślad przez okno sypię... kiedy wysypię, to zlatują się prawie chmurą i dawaj ziarenka w plewach wyszukiwać, chwytac, nawzajem sobie odbierać... czysta pociecha! Prawie jak pośród ludzi! Ale nasycone odlatują i może po swoich ukrytych gniazdach dziękują tej ręce, która je nakarmiła.

Salusia, wachając kosmate liście geranium, zaśmiała się.

— W takim razie, wróble są lepsze od ludzi, którzy Gabrysiowi nigdy, zdaje się, nie dziękują za to, że dla nich się ze wszystkiego ogolocił. Słyszę, brat to nigdy Gabrysia nie odwiedza, a synowczyki jeszcze i nagrawiają się ze stryja!... Czy to prawda?

— A prawda! — odpowiedział i ręką machnął, gdy zaś ona odwróciła się od wazonów, śpiesznie zauważył:

— Salusia piesków moich jeszcze nie widziała.

Drzwi od sieni otwierając, zawołał.

— Sargas! Wilczek!

Dwa kudłate kundelki do izdebki wpadły i, wesolo kitami wywijając, zwijac się zaczęły około jego wysokich zrudziałych cholew. Salusia ku sobie je przywoływała, Sagasa zwłaszcza, który był stary i swawolił z nią

wtedy jeszcze, gdy była niedoroślą. Gabrys zaś, znowu o czemś sobie przypominając, z niezwykłą sobie żywością zawołał:

— Gołębie piękne mam... jak śnieg bielutkie... chce Salusia zobaczyć? Zaraz przyniosę.

Widać było, że pragnął wszystkie bogactwa swoje jej pokazać, wszystkim, co tylko posiadał i lubił, przyjąć ją i zabawić.

Z żywością młodego chłopca do sieni wyszedł i zaraz słyszeć się dały ciężkie stapania jego po drabinie na strych wiodącej. Salusia tymczasem, po izbie wzrokiem wodząc, zatrzymała go na wiszących nad tapczanem skrzypcach i, wskoczywszy na tapczan, zdjęła je ze ściany i smyczkiem po strunach powiodła. Po izdebce rozszedł się ostry, piskliwy dźwięk, ona zaśmiała się głośno. Padająca z okna smuga słoneczna opasywała ją i skrzypce; Gabrys, białego gołębia w obu rękach trzymając, stał w progu ze wzrokiem ku niej wzniesionym i ustami w zachwyconym uśmiechu otwartymi. Ale ona w mgnieniu oka na ziemię zeskoczyła i, skrzypce na pościel rzuciwszy, znalazła się tuż przed nim.

— Ładny gołąbek! miły gołąbek! — wołała, pąsowe usta przykładając do dzioba oswojonego i spokojnego ptaka, dłonią delikatnie muskała śnieżne jego pióra, a głowę tak pochylała, że warkocze jej muskały także schyloną twarz Gabrysia. W tem, podniósłszy oczy, spotkała się niemi z jego oczyma i nagle przycichła. Pod czołem drobnymi zmarszczkami okrytem, wśród twarzy chudej, długiej, kępą twardych wąsów sterczącej, były to oczy młode, czarne i ogniste, oczy rodu Osipowiczów. tylko w tej chwili do głębi zmaczone i wzruszone. Nad niemi po drobnych zmarszczkach czoła, błdziły rumiane smugi. Salusia przycichła, gołębia pieścić przestała i, odszedłszy, usiadła na zydlu przy stole, z twarzą na dłoń spuszczoną. Posmutniała, lecz wcale, wcale nie dla tego, że niezwykle wyraz spostrzegła na twarzy Gabrysia.

Ani myślała odgadywać co czuł on lub myślał, gdy tak wzruszonym wzrokiem na nią patrzył. Co on tam osobliwego mógł czuć lub myśleć? Posmutniała, bo oczy Gabrysia przypomniały jej w tej chwili inne, w dalekiej już, jak się jej zdawało, przeszłości pozostawione. Tak samo z nią bywało, ilekroć usłyszała głośny śmiech stryjecznego brata, który, trzebaż trafia! zupełnie był podobnym do śmiechu człowieka daleko też w przeszłości na zawsze pozostającego! Ale trafy podobne zdarzały się jej nie rzadko. Czasem ktoś wyraz jakiś wymówi, ruch zrobi, spojrzy na nią w jakiś sposób — co więcej, wiatr czasem tak jakoś powieje, niebo przyćmi się, lampka zamigocze, że traf! i jest już przypomnienie jego, albo jakiejś rozmowy z nim, albo jakiejś chwili, często malutkiej, która im wspólnie była zleciała i na zawsze stopiła się w przeszłości.

Gabrys gołębia do sionki wpuścił i do Salusi miał się zbliżyć, gdy w kuchni coś przeciągle zastękało i zajączało.

— Gabrys! daj ziólek! Oj, Boże mój, Boże! człowiek bez kropli wody umierać musi! Gabrys, czy ty masz Boga w sercu, że mnie tak opuszczasz i garnka z ziółkami nawet nie podasz... Gabrys! oj, oj! oj, oj, oj!

On zniknął już w kuchence i przez wąskie drzwi czki widać było, że komuś niewidzialnemu śpiesznie garnuszek jakiś podawał i słycać, że do kogoś, wciąż jęczącego i gderliwie zrzedzającego, zcicha kilka słów powiedział. Potem, gdy stękanie i zrzedzenie umilkło, do izdebki wrócił i na tapczanie usiadł.

— Ciotka chora? — zapytała Salusia.

Skinął twierdząco głową.

— A Gabrys jej służy?

Nic nie odpowiedział. Patrzył na nią, ale inaczej, niż przed chwilą: uważnie i niespokojnie. Teraz, gdy przestała śmiać się i szczebiotać, a zamyślona i chmurna, z twarzą na rękę opartą, siedziała, można było zauważyć zaszłe w niej zmiany. Świeża zawsze jak majowa róża,

twarz jej była przecież nieco szczuplejszą niż dawniej i pod oczami rysowały się ciemne kółka. Jakby cień, jakby leciuchna zasłona przyćmiewała blask jej zdrowej i pięknej młodości; czerwone usta wydawały się bledsze i smutne. Milczała, patrząc w ziemię; Gabrys z cicha zapytał:

— Czego Salusia posmutniała?

Wtedy ona, ręką zakrywając oczy, szeptać zaczęła:

— Żeby Gabrys wiedział jak mnie czasem ciężko, ciężko, ciężko...

Umilkła, a on, zasmucony także, oczu z niej nie spuszczał.

— Czasem to i wesoło mnie bywa, nawet cieszę się... Co to? na takie gospodarstwo iść, w zgodzie być ze wszystkimi, u wszystkich w uważaniu... ale czasem to znów myślę sobie: żeby ich dyabli wzięli za to, że oni zrobili mnie taką nieszczęśliwą! nieszczęśliwą!

Za głowę się schwyciła i zerwała się ze stolka.

— Nie trzeba przeklinać... — nieśmiało zaczął Gabrys, ale ona go nie słyszała, cała w ogniu, z wargami żałośnie wzdętymi, z rozognionym wzrokiem.

— Ja jego nie chcę, nie chcę, nie lubię, nienawidzę... — wołała i ręką w pięść złożoną uderzyła w stół.

— Kogo? — z przerażeniem zaszeptał Gabrys.

— A Cydzika tego... żeby on wskrósł ziemi był poszedł, nim do mnie ze swatem przyjechał... berbec ten, smarkacz, niedojda... kiedy on do mnie podchodzi, to mnie się zdaje, że ślimak lezie i nawet suknię swoją uchylam, aby nie dotknął...

Aż zdyszana od uniesienia, twarzą obróciła się ku oknu i widać było, że załamała rękę. Gabrys, naprzód pochylony, chwilę z otwartymi ustami i przerażeniem oczyma siedział, a potem z trwogą mówić zaczął:

— To jakżeż?... to cóż z tego będzie? Przecież on przyszedł mąż Salusi...

— Jeszcze niewiadomo! — sarknęła i, nagle odwracając się od okna, mówić zaczęła:

— Żebym ja choć jaką wiadomość o nim miała! żebym choć cokolwiek o nim posłyszała! Boże mój, Boże, jak ja przyjazdu Końcowej czekam... Może już jutro, albo pojutrze przyjedzie! Tak jej czekam, jak nigdy niczego nie czekałam!

— A na cóż Salusi Końcowa potrzebna?

— Gabrys głupi i nic nie rozumie! Ona pewno cokolwiek o nim wie, a może go i widziała, może on i przyjeżdżał do niej, ażeby dowiedzieć się, co to takiego stało się ze mną i z nami obojgiem... Oj, co to stało się? co to stało się? ja i sama tego nie wiem i nie rozumiem...

Z załamanemi rękoma stojąc, osłupiałemi, nieruchomemi oczyma zdawała się coś lub kogoś zapytywać o zagadkę swojego losu i swojej boleści. Boleść pogięła w zmarszczki jej zazwyczaj gładkie jak marmur czoło i kąty ust drobnych w dół opuściła.

Gabrys w obiedwie dłonie głowę ujął i, kołysząc się na obie strony, zcicha szeptał:

— Jezus Marya! Jezus Marya! cóż z tego będzie? cóż z tego będzie?

Nagle zerwał się, do kuchni wybiegł i wrócił, niosąc spory garnek, z którego łyżka drewniana sterczała i który na stole postawiwszy, nieśmiało prosić zaczął:

— Może Salusia zje troszkę bobu... może zje... dawniej bardzo bób lubiła, no, zjedz troszkę... pamiętasz, jak kiedyś często do mnie na bób przychodziłaś? zjedz i teraz, no, zjedz!

— Nie chcę, niech Gabrys mnie swoim bobem nie dokucza! — rzucając ramionami, sarknęła i nadąsana na stołku usiadła. — Jednak, myślała, ludzie prawdę mówią, że Gabrys jest głupim. Przyszedł mu też ten bób do głowy, kiedy mnie tak smutno, tak smutno, tak źle! Przecież ja wiem, że u Cydzika nie bób, lecz jakie tylko ze-

chcę przysmaki będę jadła, a pomimo to, tak smutno, tak źle...

On tymczasem, pomyślał chwilę, aż cichutko na swoich podartych podeszwach stąpając, jakby skradając się, podszedł do okna i, parę kwitnących gałązek heliotropu zerwawszy, przed Salusią z niemi stanął.

— To może Salusia kwiatek sobie do włosów przypnie? Proszę przypiąć! taki pachnący! Ale pewnie bez lusterka uczynić tego nie można? u mnie jest kawałeczek lusterka, zaraz przyniosę...

I już po kawałeczek lusterka iść miał, kiedy ona wstała, splecione ręce nad głowę wyciągnęła i mówić zaczęła:

— Nie chcę ja kwiatka, nie chcę lusterka, nie chcę niczego... pójdę już sobie...

Poszła, o pożegnaniu się z nim ani myśląc, a on jej nie zatrzymywał, z gałązkami heliotropu w palcach, na środku izby stał, jak skamieniały. Z zamyslenia wyrwało go stękanie i jęczenie w kuchence.

— Gabryś... oj, oj, oj! bój się Boga, Gabryś! Czemu ty garnków od ognia nie odstawisz? Toż wykipią i łyżki ciepłej strawy do gęby wziąć nie będzie! Gabryś... pewno tam na co zagawronił się, gamoń, harbuz! Oj, oj, oj! Gabryś, głupi Gabryś... choć ziólek napić się daj!

W godzinę później Salusia z Pancewiczową do bliżkiego miasteczka pojechała po niektóre jeszcze przedślubne sprawunki, a gdy około wieczoru wróciła, kilka dziewcząt i kawalerów przyszło prosić, aby z nimi na *hurbę* czyli na tańczące zebranie poszła. Od przejażdżki zarumieniona, porobione sprawunki z zadowoleniem dziewczętom pokazując, drożyła się jednak, odmawiała, lecz aby tylko podrażnić się trochę z tymi, którzy ją otaczali, prosili, zaklinali. Nigdy przedtem w całej okolicy tak nie lubiono jej, jak teraz, nigdy nie miała tylu asystentów i pochlebników. Zdarzyło się jej było i przedtem parę

partyj nie bardzo złych, ale nie bardzo i dobrych, za któremi ani brat, ani siostry, ani jej własne upodobanie wcale nie obstawały, więc je odrzuciła. Bywali też i dawniej tacy, którzy dawali jej do poznania, lub też i wyraźnie mówili, że jest najładniejszą panną w okolicy i na wiele mil dookoła, że pięknego losu warta, że przy niej nie jedna i wcale droga panna tanieje. Ale nie zdarzało się to ani tak ciągle, ani od takich ludzi, jak teraz. Teraz ceny wprost na nią nie znano. Adaś Strupiński desperował przed Pancewiczową, że Cydzikowi dał się uprzedzić; Józik Łozowski i paru innych przy każdej wzmiance o tem, że była zaręczoną, sępa pokazywali i zcicha wygrażali nawet, że tego młodzika, który im taką pannę z przed nosa zabiera, kiedykolwiek na gorzkie jabłko stłuką. Konstanty z wielkiem zadowoleniem na te tryumfy siostry spoglądał i z ręką na kłębie głośno śmiał się.

— W ręce całować mnie powinna za to, żem ją na taki brylant, dla wszystkich pożądaną, wykierował! Dawniej, to na dwa lata znajdował się jeden konkurent i to lada jaki... a jak ją jedynak pana Onufrego zatargował to i wszyscy kupić-by radzi! Cha, cha, cha! kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie to leży! U mnie zawsze taka robota!

Pancewiczowa, jako niemłoda i doświadczona kobieta, niedowierzająco uśmiechała się i złośliwie czarnemi oczyma błyskała.

— At — mówiła — wiadomo, koń zatargowany, panna zaręczona — największą cenę mają. A żeby teraz z Cydzikiem rozeszło się, to i wszyscy-by od niej poodpadali.

Salusia tymczasem w swojej miejskiej, zgrabnej sukni, z czerwoną kokardą na czarnych warkoczach, szła ścieżkami i podwórkami przez okolicę, na czele gwarnej gromady dziewcząt i kawalerów, która, to gęsim sznurem rozwijała się na ścieżkach, to w ciasnych przejściach pomiędzy płotami stłoczona, wpośród psot i śmiechów

po kostki grzęzła w śniegu. Szła prędko, zamaszycie, z podniesioną głową, z oczyma dumą i zadowoleniem rozbłysłymi. Mówiła głośno, żwawo odcinała się na zaczepki, żarty i komplementy, rozbawiona, dumna. Jednak, zdarzało się nie rzadko, że po przetańczonym kontredansie lub krakowiaku liczne i hałaśliwe towarzystwo, w obszernej, prawie pustej i jedną lampką słabo oświetlonej izbie zgromadzone, spostrzegało nagle jej nieobecność. Niepostrzeżenie dla wszystkich, w połowie zabawy zniknęła, pogoni bojąc się, jak strzała przebywała okolicę i na braterskie podwórko wpadłszy, zdyszana opierała się o płotek. Gdyby ją aż tu ścigano, gotowa była płotek przeskoczyć i skryć się w chacie Gabrysia. Nie ścigano jednak przez urazę lub przystojność, a ona długie kwadransy z łokciami o płotek opartymi i twarzą w dłoniach stała i myślała.

Czasem, nie codziennie, ale czasem, Gabrys w swojej chałupie na skrzypcach grał. Z za dwu sporych i blade połyskujących okienek, wydobywały się przewlekłe melodie różnych starych pieśni: „Tam na błoni błyszczy kwiecie“, albo „Idzie żołnierz borem lasem“, albo jeszcze „Poleć motylku, poleć tam dalej“. Powiewy wiatru porwały tony tych melodyj i niosły je nad owiniętymi w śniegi dachami, nad domami uciszonymi, w których jedno po drugim gasły światła, przez szumiące zlekka sploty gałęzi, aż na drogę wybojami powyżłabianą, biegnącą brzegiem rozłogu, mętnie i zda się bezgranicznie bielejącego w ciemności. Z innego końca okolicy, tym jakby na spotkanie, nadlatywały dźwięki wcale inne, skoczne, wesołe, przy których późno w noc, gdy starszyzna twardo już spała i okna wszystkich domów pogasły, młodzież na *hurbę* zebrana kręciła się w polce, lub hołubcę w krakowiaku wybijała. Salusia, twarz zakrywając dłońmi, pod gwiazdami czy pod chmurami, w grubym zmroku, w powiewach wiatru, w lecących powietrzem tonach muzycznych, u płotka stojąc — płakała.



Kiedy przed trzema tygodniami po raz drugi przybywające swaty przyjęła, a kobyłkę Jaśmonta do stajni wprowadzono, doświadczyła takiego uczucia, jakby spadł z niej wielki ciężar, jakby z klótni, trwogi, walki, wstała do miłej ciszy i spokoju. Stało się! klamka zapadła, mnóstwo krewnych i znajomych, którzy dnia tego do domu Konstantego schodzili się jak na odpust, świadkami było jej postanowienia i przyrzeczenia. Wiedziała, że cofnąć się już nie może pod karą publicznego pośmiewiska i potępienia, nie czuła zresztą do cofania się żadnej ochoty. Głowę miała nabitą tem wielkiem gospodarstwem, którego panią miała zostać, uszy napelnione powinszowaniami najpoważniejszych w okolicy ludzi, policzki wygniecione pocałunkami sióstr i przyjaciółek. Cieszyła się, gości częstowała, w kuchni, razem z Pancewiczową, z zawiniętymi po łokcie rękawami, oładki z kartofli, jajecznice i inne przysmaki smażyła, wysokich progów nie przebywała inaczej, jak z wysokimi też podskokami, z narzeczonym wyprawiała żarty i śmiechy, musztrując go, do wszystkich usług popychając, trochę wysmiewając, drażniąc się z nim i wogóle obchodząc się jak z niedorośłym chłopczykiem. On zaś, nieczem nie zrażony, lecz owszem, zachwycony wszystkiem, co tylko od niej pochodziło, ze swoją kołkowatą figurą i prawie dziecinną twarzą, jak cień za nią laził, ogień w piecu na rozkaz jej rozniecał, wodę ze studni przynosił, drewka na trzaski rozłupywał, a gdy drwiąc, nazywała go niezgrabiaszem, harbuzem, niedostałą trawą, patrzył na nią z zachwyceniem, dwa rzędy białych, jak kość słoniowa, zębów w szerokim uśmiechu ukazując. Wszyscy też już widzieli i nie pocichu wcale mówili, że łatwo jej przyjdzie kozła i barana z takiego męża zrobić i że teraz już zgadnąć można, kto w dostatnim domu Onufrego Cydzika wszechwładnym panem zostanie. Bo ona i teścia zawojować potrafi — przepowiadano; a pan Onufry choć gruby i pieniędzmi nadziany, tak skakać będzie, jak mu synowa zagwizdże! Przepo-

wiednie te pochlebiały jej i mile w niej głaskały chęć i nadzieję panowania, rządzenia, różnorodnych chlub i bla-sków.

Trwało tak przez całe trzy dni, to jest, aż do wy-jazdu Końcowej, która, choć przez rodzeństwo zatrzymy-wana, do męża i dzieci powracać musiała. Już przez cały ranek wyjazd jej poprzedzający Salusia chodziła po domu nagle jakoś uciszona, z omglonemi i zamyślonemi oczami, aż gdy Końcowa salopę kłaść i głowę chustką owijać za-częła, na szyję jej się rzuciła i wybuchnęła głośnym, rze-wnym płaczem. Tak silnie ramionami objęła siostrę, tak mocno przycisnęła się do niej i tak gwałtownemi poca-łunkami ją okrywała, łzami przytem oblewając, jakby ta siostra była jedynym i drogim skarbem, od którego ona za nic oderwać się nie mogła. Sama Końcowa i wszyscy obecni, zrazu zdziwieni tym gwałtem żalu i płaczu u dziew-czyni, która wczoraj jeszcze była wesołym skowronkiem i skaczącą kozą, wkrótce zarazili się nim sami i gdy Końcowa na ganek wyszła, podniosło się dokoła niej ta-kie powszechne i głośne wzdychanie, łkanie, jęczenie i ucieranie nosów, jakby ją w trumnie z domu wyno-szono. Ona, na własnych nogach stojąc; także łkała i nos ucierała, a Salusia czepiała się jej wciąż rękoma jak skarbu jedynego, jak ostatniej, zda się, deski ratunku i zbawienia. Pierwszy Konstanty, załzawione oczy ręką ocierając, energicznie zawołał:

— No, dość! kiedy bieży, to bieży... Anulka, siadaj i jedź, bo ta waryatka zapłacze się na śmierć!

Waryatka na saniach siedzącą siostrę jeszcze obej-mowała i całowała, przyczem, nie wiedzieć kiedy na sanie wskoczywszy, krzyknęła na parobka: jedź! i tak jak stała, bez wszelkiego okrycia w jednej sukni pojechała. Rodzeństwu, które z ganku na nią wrzeszczało, aby wy-siadła i wracała, odkrzyknęła płaczliwym głosem: — Ja tylko trochę Anulkę przeprowadzę!

Przeprowadziła o całe pięć wiorst i byłaby może

dalej jeszcze przeprowadzała, gdyby, jak opowiadał powożący parobek, Końcowa nie kazała stanąć i prawie gwałtem z sanek na ziemię jej nie zepchnęła. Z wycieczki tej powróciła, bynajmniej nie zziębła, owszem, szybkim biegiem rozgrzana, z karmazynowemi od mrozu policzkami, uszami, ale jak struta, jak zabita, taka smutna, zamyślona i milcząca. Nikt nie rozumiał i zresztą nie dochodził bardzo, co jej się stało; ona sama dokładnej sprawy z tego przed sobą nie zdawała, tylko doświadczała takich uczuć, jakby wraz z odjazdem Końcowej coś się w niej z wielką boleścią zerwało, coś ostatecznie i na wieki dla niej przepadło. Potem, zastanowiwszy się, zrozumiała i jasno powiedziała sobie, że Końcowa była świadkiem jej na wieki utraconego szczęścia, jedyną osobą, która niegdyś przy najmniej sprzyjała Jerzemu, która nawet do zbliżenia jej z nim dopomagała, że zatem, rozłączając się z nią, znowu i po raz już ostatni rozłączała się z Jerzym. Teraz już samych tylko wrogów jego dokoła siebie widzieć będzie, albo takich, którzy jego nie znają i nie o nim nie wiedzą, a o których ona ani myślała wtenczas, gdy była szczęśliwą!... Wtedy też, po raz pierwszy od chwili, w której list z rekuzą i zaręczynowym pierścieniem do niego wysłała, stanął przed nią jak żywy, a taki smutny, taki na nią rozżalony, z taką desperacją na nią patrzący, że nie mogąc dłużej z tym obrazem przed oczyma na miejscu usiedzieć, z domu wybiegła i, z ganku na drogę wyboistą, na szerokie, białe pole patrząc, pomyślała: „Żeby tak polecieć! żeby do niego polecieć! Ach, jakbym leciała! leciała!“ I patrząc na niebo, myślą modliła się: „Boże, Boże! przemień ty mnie w wolnego ptaka, abym więzów ani złych ludzi nie znała i mogła lecieć do niego, lecieć!“ Nie przemieniła się w wolnego ptaka, nie poleciała, i sama nie spostrzegła, że po raz pierwszy w życiu, brata i siostry nazwała złymi ludźmi. Tego też wieczora takimi jakimiś złemi oczyma na wszystkich patrzała, tak opry-

skliwie odpowiadała siostrze, gdy ją do pomocy w jakiejś robocie wzywały, że Pancewiczowa ją upominała:

— Czegóż to ludziom osą w oczy się rzucasz? Nie wczas ci jeszcze z przyczyny Cydzikowego bogactwa nos do góry zadzierać!

Ona zerwała się i ofuknęła.

— Niech Cydzika razem z jego bogactwem dyabli wezmą!

Poczem do przeciwka, w którym z siostrami sypiała, wypadła, dwoje drzwi zamykając za sobą z takim trzaskiem, jakby dwa pistolety jeden po drugim wypaliły.

Ale nazajutrz pan Onufry Cydzik, sam już przyjechał, aby za przyjęcie synowskich swatów podziękować i przyszlą synową poznać. Konstanty z wielkimi honorami go przyjmował, sąsiadów i sąsiadek zeszło się tyle, że w świetlicy zrobiło się ciasno, a Salusia, wystrojona i tryumfująca, z uśmiechami i rumieńcami, dygała przed grubym i czerwonym teściem, który wobec wszystkich w rękę ją całował, bardzo czule na nią przebiegłymi oczkami starego dusigrosza patrzył i w pięknych słowach dziękował za promocję, którą chacie jego uczyniła, zgadzając się gospodynią i panią jej zostać. Potem też zaraz dzień zaręczyn za tydzień, a ślubu za trzy tygodnie wyznaczono.

Trzy tygodnie — czas duży; o tem, że koniec mieć muszą, Salusia myśleć nie chciała; myśl o skończeniu się tych trzech tygodni odpędzała od siebie, jak złą zmoreę.

— Kiedy to jeszcze będzie! — mówiła sobie i, machnąwszy ręką, szła wszystkie kąty rodzinnej zagrody oglądać. Cały rok tu nie była, u Końcowej bawiąc, więc witała się ze wszystkim i wszystko ją cieszyło: bydelko, owieczki, piękna stodoła, kury, z których parę sama była wyhodowała, kogut z jaskrawem opierzeniem, który ją znał i na wołanie jej do ręki przychodził, kilkoro kwiczących w chlewku prosiątek, nawet drzewa w sadzie,

które, choć śniegiem osypane, albo od szronu błyszczące, jedno po drugim oglądała.

Raz z budynku, w którym stało ze trzydzieści owiec, wychodząc, do brata, który, gwiżdżąc sobie: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! z rękami w kieszeniach kurty szedł przez podwórko, z umizgiem rzekła:

— Kostuś, daj ty mnie na nowe gospodarstwo choć dwie owieczki! Niech ja tam, w cudzym domu wszystkiego swego potrosze mam!

— Sześć dam! sama sobie wybierz! — odpowiedział — kiedy bieży, to bieży...

I poszedł dalej, gwiżdżąc ciągle, tylko ciszej trochę, niż przedtem. Co to małżeństwo siostry kosztować go będzie — strach! Ale panowie Cydziki nie powiedzą, że do ich domu siostrę z gołemi rękami wepchnął. Że pięć *p* wniesie, było to dla wszystkich widocznem: niechże i szóste ma nie lada jakie, i niech panowie Cydziki panów Osipowiczów znają!

Salusia zaś, prawie przez pół dnia w oborze siedząc, z trzydziestu owiec sześć wybierała, wybrane pieściła, po obficie już odrosłych runach głaskała, na ziemi przyśiadłszy, gadała do nich, nazywała je swojemi. Potem, gdy całe stadko, jakby zadziwione, czy przełęknione, z żałościem beczeniem gęsto dokoła niej się zbiło, ona, w tym kudłatym ścisku na zgniecionej słomie siedząc, wybranym swoim dla odznaczenia ich od innych, zawiązywała na szyjach czerwone tasiemki, które w tym celu z sobą przyniosła, i aż głowę na obie strony przechylała, przypatrując się, jak te tasiemki ładnie odbijały od run szarych, czarnych i brunatnych. Jeszcze nie skończyła tego zajęcia, gdy we wrotach obory aż zdyszany od pośpiechu rozległ się głos Pancewiczowej:

— Salusia! do domu! prędko! Cydzik ze swatem i z obrączkami przyjechał!

Teraz dopiero przypomniała sobie, że był to dzień na zaręczyny wyznaczony. W tym też dniu, a raczej tego

wieczora, po raz pierwszy prosto w oczy losowi swemu spojrzala, bo Władysław Cydzik, złote obrączki na swój i jej palec włożywszy, we wcale osobliwy sposób asystować jej począł. O zuchwałości jakiegokolwiek nie myślało, ani też jej czuło to zaledwie dorosłe chłopię, które miłość po raz pierwszy i nagle w pułapkę pochwyciła, żyły warem, a serce zaledwie zrozumiałem dla niego zachwyceniem napelniając. Pokazano mu dziewczynę piękną jak marzenie upalnego lata i powiedziano, że żona jego zostać może. Od pierwszego spojrzenia zapragnął, aby została, i po pierwszych odrzuconych swatach, przez całą drogę do Bohatyrewicz, w ramię i ręce Jaśmonta całował, prosząc i jęcząc, aby od zamiaru pojechania z drugimi swatami nie odstępował i aby cokolwiek takiego zrobił, coby Salusię do przyjęcia ich skłoniło. Nigdy przedtem żadnej kobiety zbliżka nie znał, do żadnej się nie zalecał i ani wiedział, ani myślał o tem, w jaki sposób najzgrabniej i najskuteczniej czynić to należy. Siła nieznana, pierwszy raz do życia obudzona, popychała go ku narzeczonej, nieśmiałość przewyciężała, różne nieznane dotąd ochoty i myśli budziła; więc gdy Salusia, dla ugośzczenia swata i kilku przybyłych na zaręczyny krewnych, z kuchni do świetlicy i napowrót przechodziła, on, jak kółkowaty cień, krok w krok za nią chodził, ciężkimi butami stukając i zatrzymując się wszędzie, gdzie stawała, a idąc znowu, gdy skierowywała się w którąkolwiek stronę. Miał przytem ciągle usta w szerokim i dziwnie błogim uśmiechu otwarte, a oczy w nią, jak w tęczę, wlepione i bardzo błyszczące. Możliwość myśleć, że gdyby go ktokolwiek teraz w gładkie i wyprostowane plecy pięścią uderzył, albo i batem ćwiknął, on-by tego nie uczuł i nawet nie zauważył. Salusia przez czas jakiś nie zwracała na niego żadnej uwagi, aż gdy parę razy na suknię jej nastąpił, a raz odwracającej się z pośpiechem tak niezgrabnie wlaźł w drogę, że niesioną salaterką w bok go stuknęła i o mało jej z rąk nie wypuściła, spojrzala na

jego tyczkowatą, cienką figurę, otwarte usta, wytrzeszczone i w nią wlepione oczy i zrazu śmiech, a potem gniew ją ogarnął.

— Czego pan Władysław chodzi za mną jak cielę za krową! — sarknęła — proszę się i ludziom nie płatać się pod nogami!

Złękniiony, natychmiast na najbliższym stolku usiadł, a na jej usta wystąpił i długo z nich nie znikał uśmiešek ledwie widzialny, lecz zły i wzgardliwy. Rozmowy nie starał się zawiązać z nią ani razu, ale kiedy do wieczery zasiadano, z wielkim gwałtem zerwał się ze swego stolka i Pancewicza z jednej strony, a Jaśmonta z drugiej łokciami roztrącił, aby przy Salusi usiąść. A jaką korzyść w tem siedzeniu przy niej mógł dla siebie upatrywać, nie rozumiała, gdyż ani słowa do niej nie przemówił, tylko ciągle na nią patrzył i raz bardzo delikatnie pod stołem za suknię ją pociągnął. Uczynił to dlatego, aby wzrok jej ku sobie skierować i dlatego także, aby dotknąć się choćby jej sukni; ale ją, od stóp do głowy przebiegl dreszcz taki, że aż wstrząsnęła się i pierwszy raz uczuła do tego dzieciaka taki wstręt, jaki od dzieciństwa czuła do ślimaków. Jego powolne, niezgrabne ruchy, podługowata, blada twarz, nawet miodowy wyraz oczu i uśmiechu, nieprzeparcie przypominały jej ślimaka. Uczucia te wzrastały przy każdym nowych odwiedzinach Cydzika, które powtórzyły się jeszcze parę razy, aż nakoniec nie miała dla niego w myśli nazw innych, jak mazgaj, kolek, gawron, ślimak, smarkacz — tę ostatnią szczególnie. Prawie pacholęcy wiek narzeczonego wzbudzał w niej odrazę, ze wzgardliwym lekceważeniem połączoną. Wolałaby już — o, sto razy wolałaby — wyjść za starego. Wiedziałaaby przynajmniej, że powinna go szanować, że bez ubliżenia sobie może mu być posłuszną, że w każdym wypadku znajdzie u niego rozumne i doświadczone zdanie. Ale ten! Boże, zlituj się! ze swoim rozkochaniem wydawał się jej czemś budzącem takie

obrzydzenie i zarazem taką ochotę do śmiechu, jak żeby naprzykład dwunastoletni synek Pancewiczowej w niej się rozkochał i żenić się z nią zapragnął. Wszystkie jej moralne i fizyczne siły, cała dojrzałość i świadomość miłosnych wzruszeń, ze stosunku z Jerzym zaczerpnięta, podnosiły bunt przeciw wszelkiemu zbliżeniu się ku niej tego dzieciaka. Każdy zaś gwałtowny poryw tego buntu sprowadzał przystęp tęsknoty za tamtym... dalekim, utraconym, którego teraz chwilami, zapewne przez ciągle porównywanie go z Cydzikiem, tak uwielbiała, że gdyby zagnęła przed nią stanął, na klęczki-by przed nim upadła.

— Nie mój on już, nie mój, nie mój! — myślała tej nocy, która po zaręczynach nastąpiła — ale taki piękny, taki rozumny, taki śmiały, miły, dobry!

A potem, zaczęła w myśli z nim rozmawiać. Narzekała przed nim, że do domu odjechała, że ślubu z sobą nie wzięli przedtem choćby, nim on miejsce w książęcych majątkach otrzymał, że teraz już z tej pułapki, w którą ją ulowiono, nijak wydostać się nie może; a on wyrzuty jej czynił, mówił, iż bardzo jest nieszczęśliwym, i patrzył na nią tak smutnie, że ona przepraszać go zaczęła, błagać, aby jej przebaczył, aby o niej zapomniał i z drugą był szczęśliwy, ale trochę, trochę o niej zawsze pamiętał... czasem, czasem do pamięci przywracał ją — i ją, i te chwilki, które im kiedyś razem upływały.

— Salusia! czego przewracasz się, aż łóżko trzeszczy, i stękasz? — odzywała się ze swego łóżka Pancewiczowa. — Może ci się co złego przyśniło? To przeżegnaj się i „Zdrowaś Marya“ zmów...

Może siostra dobrze radzi, może istotnie pacierzem odeгна tęsknotę. Zaczynała szeptać: „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna!“ ale zanim zdążyła wyszeptać: „Pan z tobą“, już znowu do Jerzego mówiła: „Żebyś ty wiedział, Jerzy, jaka ja biedna! Ani mnie u kogo poradzić się, ani kogo o ratunek poprosić... Jeden Gabrys taki, że mogę

przed nim o swoim smutku gadać, ale cóż on pomoże, kiedy — głupi!”

Jednak nazajutrz dzień błysnął, choć bladym, ale złotem słońcem, błękit nieba przez koronki bezlistnych krzaków do okien świetlicy zajrzał; Zaniewska przyjechała i przywiozła siostrze trzy spodnice, które sama utkała, dywanik kupny z jelonkiem i parę funtów najpiękniejszego w świecie lnu. Spodnice, jak spodnice, choć piękne i mocne, były jednak dobrem, którego znakomitą ilość Salusia już posiadała; ale jelonek na dywaniku wydał się jej cudem piękności, a wobec lnu poprostu wpadła w zachwycenie. Po babkach, prababkach miała odziedziczoną namiętą słabość do lnu i prąść lubiła ogromnie, a od roku już nie przędła. Zaraz też kołowrotek swój ze świronka przyniosła, w świetlicy u długiego piecaka umieściła, garść lnu przytwierdziła do osady i, na stolku usiadłszy, palcami w wodzie umoczonemi cieniutką nitkę wysnuwać, a stopą o ponoże rytmicznie uderzać zaczęła. Kółko w ruch się puściło, kręciło się, warczało, aż migotało, nitka coraz gęściej, coraz grubiej owijała się koło szpulki, a prządce, z krwi babek i prababek, z bujnej a ulubioną pracą rozkołysanej młodości, na myśl z ust wypływała wesoła piosnka:

— „Nad strumykiem stała,
Tra la, la, la, la,
Rączki załamała,
Tra la, la, la, la,
Cóż ja pocznę biedna,
Tra la, la, la, la,
Że ja jestem jedna?
Tra la, la, la, la!

Kiedy tak siedziała przed warczącym i migocącym kółkiem, z opuszczonym na plecy warkoczem i rozbłyśniętymi oczyma, z rękoma nieco ku osadzie podniesionymi, ze stopą rytmicznie ponoże poruszającą i na całą świetlicę, na cały dom, prawie na całe podwórko, skoczną

piosnkę śpiewała, znajdujący się w świetlicy kawalerowie oczu od niej oderwać nie mogli i kołowrotek ścisłem kołem otaczali. Potem Adaś Stupiński, najlepszy śpiewak w okolicy, a teraz jej najgorętszy asystent, w niezmiernie dobry humor wpadłszy, z kolei intonował:

— „Hej jejmoście, hej kobiety,
Zkąd bierzecie te podniety,
Do wiecznego trajkotania,
Do zrzędzenia i łajania!“

albo:

„Szynkareczko, szafareczko,
Bój się Boga, stój!
Tam się śmiejesz,
A tu lejesz
Miód na kaftan mój!“

Inni dopomagali mu zrazu od niechcenia, potem coraz żwawiej, aż nakoniec ściany prawie drżały i het precz, nad drogę, nad polne śniegi leciało, gdy zgodnym chórem huknęli ostatnią strofę:

— „Biegnij, dziewczę, wczas,
By pogodzić, nie zaszkodzić,
Miodem oblej nas!“

Salusi było znowu wesoło. Wogólności, czuła w sobie zawsze jakby dwie oddzielne istoty, z których gdy jedna szczebiotała, śmiała się, śpiewała, druga kędyś głęboko, na dnie, smuciła się i wzdychała. W zamian, ilekroć, z jakiegokolwiek przyczyny, pierwsza milkła, druga podnosiła się, rosła i napelniała ją całą ciemnymi myślami, tęsknotą, buntem, wstrętem. To drugie zdarzało się zawsze, ilekroć zobaczyła stryjecznego brata Michała i jego żonę. Gdy on zaśmiał się — a śmiał się często — jej jakby ostra szpilka przez serce przechodziła; żona zaś jego miała upodobanie przy Salusi siadać i różne, dziwne zwierzzenia jej czynić. Ta mała, chuda, bladawa blondynka przed kilku miesiącami zaślubiona, zawsze, przy każdym

spotkaniu mówiła jej na ucho mnóstwo rzeczy, od których słuchania twarz Salusi stawała się aż karmazynową, których jednak słuchała z palącą ciekawością i nieznośną boleścią dokoła serca. Ta młoda mężatka niezmiennie lubiła mówić i szeptać o swoich małżeńskich sprawach, szepcząc chichotała, a w oczach słuchającej kręciły się łzy. W gruncie rzeczy Salusia poczytywała młodziutką bratową za głupią i wcale nie ładną gąskę. — Mój Boże — myślała — nawet takie osiągają na świecie szczęście, a ja!... I potem, gdy Emilki już nie było, często zamyslała się i wzdrygała. — Więc jej przypadnie w udziale z Cydzikiem... z tym kółkiem, ślimakiem, dzieciuchem żyć w takim przybliżeniu, o jakim opowiadała Emilka...

Przez czas pewien odpędzała od siebie trwogę i odrazę, do pewnego stopnia uspakajała się myślą: kiedy to jeszcze nastąpi! Jeszcze za trzy tygodnie, za dwa, za dziesięć dni; aż przyszedł dzień, w którym powiedziała sobie: za tydzień! i przeleżała się tak okropnie, jak gdyby o tem, co ją ma spotkać, dowiadywała się po raz pierwszy. Jezus Marya, już za tydzień! ej, nie! to żadnym sposobem być nie może! Dotąd miewała często chwile, w których zamiar wyjścia za Cydzika wydawał się jej czemś tylko tymczasowem i nie mającem nigdy naprawdę dojść do skutku. — Często, gdy słyszała mówiących o rychłym jej ślubie i zawczasu Cydzika mężem jej nazywających, myślała: „jeszcze niewiadomo! jeszcze niewiadomo jak to będzie!“ Ale gdyby ktokolwiek zapytał ją: jakie dla tej wątpliwości ma powody? — nie potrafiłaby na to pytanie odpowiedzieć, bo nie miała żadnych. Wprost instynkt samoobrony w niej pracował i głucho, biernie dotąd, lecz nieustannie, sprzeciwiał się, nietylko wywieranym na nią wpływom zewnętrznym, ale i jej własnym ambicyom i pożądaniam. Teraz trudno już było pociechę i zapomnienie znajdować w pustych wyrazach: jeszcze niewiadomo! Z bardzo blizkiego faktu zsuwała się mglista zasłona; przyszłość, którą ona umyślnie dotąd starała się

zdaleka sobie przedstawiać, następowała na nią, pleców jej dotykała. Oj, oj! już za tydzień! Wyraźnie słyszała za sobą stuk zamykających się drzwi i brzęk zapadającej klamki. Za temi drzwiami pozostawał Jerzy; ta klamka zamykała ją sam na sam z Cydzikiem. Czuła cierpięcie skóry na plecach i chwilami taki strach, że aż nogi jej drżały, aby z zagrody wylecieć i lecieć prosto przed siebie, niewiedzieć dokąd, dokądkolwiek, gdzie oczy poniosą... Ej nie, myślała, to nie może być za tydzień. Niech tam już sobie będzie później, owszem, niech sobie będzie, ale później, później, nie tak już zaraz! Żeby to ślub odłożyć... trzeba koniecznie odłożyć, ale jakim sposobem? Wszystko już przygotowane, umówione, goście weselni zaproszeni. Uprzeć się, powiedzieć, że ona inaczej nie chce i nie zgodzi się, jak tylko, ażeby ślub odbył się po Wielkiejnocy? Będzie okropna kłótnia i zawierucha w domu, Kostanty chyba ją wybije, ludzie na języki wezmą, Cydziki zaraz z gniewami, z żałami wystąpią. Co tu robić? Myślała, myślała, i nic wymyśleć, na nic jeszcze odważyć się i zdecydować nie mogła, aż raz, dla siebie samej niespodziewanie, gdy, u okna świetlicy nowe koszule sobie szyjąc, sam na sam znalazła się z bratem, głowę z nad roboty podniosła i przemówiła:

— Kostuś, a żeby to mój ślub do wiosny odłożyć?

Powiedziała to bez żadnego uprzedniego zamiaru, tak bardzo pod wpływem pracującego w niej instynktu, że aż zdziwiło ją brzmienie własnego głosu i wydało się jej, że nie ona, ale kto inny słowa te wypowiedział. Konstanty, który wybierał się do stodoły, na środku świetlicy stanął.

— A toż co? a toż dla jakiej przyczyny? — zapytał.

Nie patrząc na niego, z cicha szepnęła:

— Po Wielkanocy tak pięknie będzie, zielono...

— U ciebie samej zielono w głowie, a i wróbli też tam skacze co niemiara! — żartując jeszcze, odrzekł Konstanty i ku drzwiom zmierzał, ale ona zerwała się z sie-

dzenia, robotę na ziemię rzuciła i, do niego przypadłszy, pochwyciła go za obie ręce.

— Kostuś — ze wzniesionemi ku niemu oczyma śpiesznie mówiła — jeśli Boga kochasz, jeśli mnie co dobrego życzysz, zlituj się, bądź łaskaw, odłóż do wiosny... ja tobie do śmierci za to będę wdzięczna...

— Zwaryowała! jak Boga Kocham, zwaryowała! — gniewnie już odtrącając ją, zawołał — co ty bałamucisz? Babskie bzdurstwa! wlaż na gruszkę, kopaj pietruszkę...

Ale ona osunęła się na ziemię i kolana jego już obejmowała.

— Kostuś, ty mnie jak ojciec był... mnie tobie umierające rodzice przyporuczyli... wyświadczy ty mnie tę łaskę, odłóż do wiosny... co tobie szkodzi? Ja, czy tak czy tak, podług życzenia twego uczynię... ale po Wielkanocy... mój drogi... mój złotny...

On teraz rozgniewał się już na dobre.

— Bajki babom! — krzyknął — ot waryatka! Ja starania i serce swoje dla niej wykładam, koszta ponoszę, szczęście jej upewniam, a ona tu waryactwa jakieś wyprawuje! Żebyś rozumna była, to do takiego szczęścia, jak to, które ja tobie przygotowałem, biegłabyś i leciała, nie to, ażebyś o odwołanie jego prosić! Ot, szkoda psu białego chleba! Lepiej-by pewno było czarny chleb z chmem na spółkę gryźć! Głupia! ani ty waż się o tem odwołaniu jeszcze raz choćby pisać, bo o umierających rodzicach zapomnę i wytłukę, jak Boga Kocham, wytłukę... bo kiedy bieży to bieży, a gdy upadnie to leży! to sobie pamiętaj!

Odepchnął ją i, szerokimi krokami ze świetlicy wyszedłszy, drzwiami na cały dom trzasnął. Ona podniosła się z ziemi i prawie nienawistnym wzrokiem za nim strzelila.

Wkrótce potem stała w kuchni przy niedużej angielskiej maszynie, pod którą palił się wielki ogień, a na której w dwu garnkach gotowały się groch i kapuśniak

na obiad i w ogromnym żelaznym saganie grzała się woda. Pancewiczowa, w chustce po chłopsku na głowie zawiązanej, bosa, w wielkim fartuchu, jak wichher krzątała się i szumiała po kuchni, obiadu doglądając i bieliznę do prania przygotowując. Salusia, z założonemi na piersi rękoma, czas jakiś przy maszynie wyprostowana stała, nieruchomemi oczyma z pod brwi ściągniętych przed siebie patrzyła, aż donośnym i cieńszym jakoś, niż zwykle, głosem, nie patrząc na siostrę, przemówiła:

— Wiesz, Kazia? Ja za tydzień ślubu z Cydzikiem nie wezmę.

Jakby gwałtownie szumiący wichher nagle ustał, tak cicho zrobiło się w kuchni. Pancewiczowa, z balią w rękach, jak wryta stanęła.

— A toż dla jakiej przyczyny? — po chwili milczącego osłupienia zapytała.

— Dla tej, że nie chcę — jeszcze donośniej i cieniej odparła Salusia.

Pancewiczowa balię ze stukiem na ziemię postawiła.

— At, — zaśmiała się, ale zgryźliwie — myślałam, że już rozumu nabrałaś, a ty jak byłaś głupia, tak i jesteś! Nie chcę! nie chcę! Święty Boże, czego tu nie chcieć? Może młodego chłopca z pięknej familii i jak kot marcowy w tobie zakochanego? Może dziedzictwa takiego, na jakim ledwie która szlachcianka siedziała? Może tego zdwojonego posagu, którym ciebie braciszek, z krzywdą innych sióstr, równie rodzonych, obdarza!

— Ja jego o to nie prosiłam i Kazia niech mi tego nie wymawia, bo wezmę, wszystko wam w oczy cisnę i — bywajcie! na Berdyczew do mnie drobnemi literkami pisujcie!

Z podniesionego i bardzo cienkiego jej głosu, wyprostowanej postawy i oczu błyskawice ciskających, wydać było, że porywała ją nieprzewyciężona ochota do kłótni. Pancewiczową wcale też łatwo było ochotę taką

zarazić; tym razem jednak gniew jej przewycięzało zdziwienie.

— Salusia — zaczęła — co się tobie dziś stało? Blekotu najadła się, czy co? Ja tu dla niej pracuję, haruję, dom i dzieci opuściwszy, a ona przychodzi głupstwa mnie gadać! Ot, lepiej elegancką sukieneczkę zdej, rękawy od koszuli zawiń i do prania się weź. Twoją bieleźną wyprać trzeba, bo przecież z brudną do mężowskiego domu nie wejdiesz, a i Kostanty praczki dla swojej najmować nie będzie, kiedy nas dwie tu siedzi. Słyszysz, Salusia? pomóż sagan z maszyny zdjąć!

Prędkimi, niecierpliwymi ruchami, z zaciśniętymi usty, Salusia rozpiniała i zdejmowała stanik miejskiej sukni i spodniczkę z turniurą, a w samodziałowej spodnicy zostawszy i rękawy koszuli wyżej niż po łokcie zawiązawszy, wspólnie z siostrą bez wielkiej trudności sagan z maszyny zdjęła i gorącą wodę do balii z niego wylewać zaczęła. Ze strumienia wrzątku, lejącego się do balii, wybuchała ogromna para, napelniała kuchenkę nieprzejrzaną prawie mgłą, owijała obie kobiety i na ich twarzach osiadała kroplistą rosą. Uwiędłe, ostre rysy Pancewiczowej, o czarnych jak smoła brwiach i oczach, kruczemi włosami i czerwonawą chustką otoczone, w tej szarej mgle miały wyraz energiczny i zacięty. Nie od niej, nie od niej-to z pewnością przyjsie mogła dla Salusi łagodna rada i pociecha! Gdy sagan, do połowy już wypróżniony, na maszynie napowrót już był ustawiony, Salusia nad balią stanęła i rękoma do roboty przygotowanymi otarła z twarzy zgęszczone krople pary.

— Jednakowoż — odezwała się bardzo głośno i cienko, — ja za tydzień z Cydzikiem ślubu nie wezmę.

Poczem nie odzywała się już do siostry ani jednym słowem. Nad balią schylona, z rękoma zanurzonemi w rozmydlonej wodzie, z zaciśniętymi wargami, prała, mydlila, szorowała, wyciskała tak zawzięcie, tak nieustannie, zarazem tak głośno i zamaszyście, jakby w tej robocie za-

topić się z duszą i ciałem, jakby ogłuszyć się nią pragnęła.

Cale dwa dni zeszły jej na tej ciężkiej i nieustannej pracy; przez cale dwa dni nikt słowa wychodzącego z ust jej nie usłyszał. Ponura i milcząca była jak grób; oczy jedne zdawały się w niej żyć, rozmyślać, tęsknić, rozpaczać. Pancewiczowa, która wcale nie lubiła milczeć, ze złością przezywała ją sępem i mruczydłem; Konstanty ręką lekceważąco machał i śmiał się:

— Panięskie fochy przedślubne! Babskie bzdurstwa, głupi byłby, ktoby dbał o to! fiu, fiu! fiu, fiu!

Pancewicz, mądrze żółtemi brwiami ruszając, z powagą prawił:

— Na to skromność panięska przez Boga jest stworzoną, aby panny po swoim wianeczku, i nie utraciwszy go jeszcze, lamentowały!

Gości w domu nie bywało przez te dni żadnych, bo kawalerów, którzy według zwyczaju w odwiedziny przychodzili, Salusia, ze stosami mokrej bielizny w gołych rękach, popędliwie odprawiała.

— Proszę tu teraz nie przychodzić! Teraz ja na zbijanie bąków czasu, ani też ochoty wcale nie mam!

Kilka razy na dzień przed dom wybiegała i, machinalnie ręce fartuchem ocierając, na drogę patrzyła. Dlaczego ta Końcowa już nie przyjeżdża? Czekala jej, jak kropli wody w pragnieniu, jak promyka nadziei w rozpacz, i doczekać się nie mogąc, parę razy do chaty Gabrysia wpadła z wołaniem:

— Gabrys, czemu ta Końcowa nie przyjeżdża?

A gdy on za każdym razem dziwił się i zapytywał: na co jej ta siostra tak bardzo potrzebna? — odrzkiwała: Gabrys głupi, Gabrys nic nie rozumie! — i, trzaskając za sobą drzwiami, z powrotem do balii leciała; Gabrys zaś długo, jak do miejsca przykuty, stał z wyrazem zmartwienia i coraz większego zakłopotania na długiej, żółtej, kościstej twarzy.

Doczekała się наконец i wnet po wejściu do domu tej najmilszej siostry, salopę i chustkę prawie z niej zerwawszy, ze śmiechem i płaczem rzuciła się jej na szyję. Potem pozostania z nią sam na sam tak niecierpliwie czekała, że na ślubny strój, który Końcowa przywiozła jej w prezencie, zaledwie parę razy rzuciła okiem. Nakoniec, kiedy Końcowa naprzeciwek wyszła i w przywiezionym z sobą kuferku czegoś szukać zaczęła, Salusia na palcach za nią wbiegła, niespokojnie spojrzała dokoła i, na ziemi przy niej przysiadając, zaszeptwała:

— Anulka, gadajże, co się z nim dzieje? Co on tobie mówił? Czy bardzo desperuje? Czy okropnie na mnie narzeka? Czy zmizerniał? A co ty jemu powiedziała?

— Kto? komu? — bardzo zajęta wydobywaniem czegoś z kuferka, z roztargnieniem zapytywała Końcowa.

— Kto? komu? — przedrzeźniała ją Salusia — Jezus, Marya! jacy wy wszyscy niedomyślni! No gadajże, Anulka, jeżeli Boga kochasz, gadaj! ty o nim pewno wszystko wiesz, on do ciebie pewno przyjeżdżał...

Mówiła jak w gorączce, oczyma pożerała siostrę, która nakoniec domyśliła się: o kogo i o co jej chodzi.

— W imię ojca i syna — żegnając się, zaczęła — a jaż zkąd mogę cokolwiek o nim wiedzieć? a jaż jakim sposobem...

— Jakto zkąd? jakto jakim sposobem? czyż on do ciebie nie przyjeżdżał?

— Ani go widziały moje oczy, ani oczekiwałam jego przyjazdu, ani on też o przyjeździe pewno nie myślał!

— Nie myślał! — jak echo powtórzyła Salusia i dalej zapytywała:

— Ale list to najpewniej od niego miałaś!

— Ani mru mru nie odezwał się do mnie!

— Nie odezwał się!

Ręce jej, jakby czemś uderzone, w dół opadły.

— No, to gadajże przynajmniej, co o nim słyszałaś?

Może chory? Może jeszcze wszystkiego między nami za skończone nie uważa? Czy bardzo rozgniewany?

Kończowa ramionami wzruszyła i rozłożyła ręce.

— Ani ja go widziałam, ani ja o nim słyszałam, ani mnie nawet w głowie powstało dowiadywać się o niego. Bo i po co już teraz dowiadywać się, kiedy on cudzym dla nas jest i cudzym na zawsze pozostanie, a może jeszcze i wrogiem.

— Może on czym wrogiem jest, ale pewno nie moim — sarknęła Salusia, a potem, siostrę ramieniem obejmując i w twarz jej zaglądając, z umizgiem zaszeptła:

— Prawdę mówisz, Anulka? a? prawdę mówisz? Nie widziałaś? nie słyszałaś? Moja najdroższa, moja ty miła, moja ty złotna, powiedz prawdę, powiedz!

Kończowa zżymnęła się.

— A odczepże się ty odemnie ze swojemi głupimi zapytaniami i proszeniami! Co ja ci gadać będę? Nie widziałam, nie słyszałam, nie dowiadywałam się — i tyle! A i tobie już nie wczas dowiadywać się o niego, kiedy za dwa dni ślub z drugim będziesz brała...

Salusia wstała, z opuszczonemi rękoma do sieni wyszła i tam, jak słup stanawszy, z oczami w ziemię wlepionemi szeptała:

— Jak kamień do wody... jak kamień do wody!...

Miała takie uczucie jakby teraz, teraz dopiero, gdy Kończowa żadnem słowem i żadną wieścią nie zawiązała na nowo starganej pomiędzy nimi nici, nic ta zerwała się ostatecznie i już na zawsze. Jeżeli od niej niczego nie dowiedziała się o Jerzym, to już od nikogo nie usłyszy o nim nigdy... nigdy... nigdy! Jak kamień do wody wpadł i przepadł! Żyje kędyś na świecie, chodzi, mówi, pracuje, może kiedy z drugą szczęśliwy będzie, ale dla niej — jak kamień do wody wpadł! Przepadł!

Dotąd, głucho i dla niej samej nie zupełnie świadomie tłała w niej była myśl, że jeśli Jerzy przez Kończową prześle jej jakie słowa prośby, żalu, choćby naj-

okrutniejszego wyrzutu, jeżeli upomni się o przyrzeczenie, które mu dała, i spełnienia jego zażąda, ona zbuntuje się, narobi klótni, wrzawy, piekło w domu podniesie, lecz z Cydzikiem zerwie, wszystko, co jej dano i dać obiecano, familii w oczy ciśnie i z Końcową do miasta odjedzie. — Ale on nie! Ambitny! Ambicya większa w nim widać nad kochanie: zaskalił się w obrażonej ambicyi i palcem nie kiwnął, okiem nie mrugnął dlatego, aby ją odzyskać; jak do wody wpadł — przepadł.

Kiedy tak, to tak. Skoro on nie dba o nią, więc i ona bardzo kontenta jest z tego, że mu pokazała, iż bez niego żyć może. Dobrze. Na weselu swoim tańczyć będzie, aż ha! aby potem wszystkiego dobrego, na bogatym gospodarstwie siedząc, kosztować i używać. Jeżeli zaś kiedykolwiek w życiu spotka go i zobaczy, pokaże mu i miną i wszystkim, że co on, to nie ona i że familia miała rację, nie chcąc ją wydać za człowieka wcale innego urodzenia i majątku!

Przez cały dzień następny bawiła się bardzo dobrze. Ledwie nie wszystkie dziewczęta z okolicy zbiegły się dla oglądania jej ślubnej sukni z białej alpagi, tiulowego welonu i pomarańczowego wianka. Piękne palto z syberyjny, na które złożyły się wszystkie trzy siostry, powszechne też uwielbienie obudziło. Nad wieczorem przyjechała pani Bohaterowiczowa z Bohatyrewicz, na swanie zaproszona, i przywiozła, oprócz prawdziwie już całej furi pierogów i pieczeni, czepeczek różowy, jak cukierek śliczny, w mieście zrobiony. Swania przyjechała tak wcześnie raz dlatego, że było jej do Tolłoczek dość odległe, a po wtóre, że pochlebioną i ucieszoną się czuła tem, iż ją właśnie na swanie zapraszano, nie zaś drugą ciotkę Salusi, niedaleko ztąd na osobnym folwarku siedzącą, Steckiewiczową. Wieczorem dnia tego przybyli też dwaj panowie Bohaterowicze i jeden pan Steckiewicz ze Stecek, w domu zapanowały gwarne rozmowy, a nietylko po domu, ale po całej zagrodzie i po całej prawie okolicy

zapachniały, zaszemrały, wstępną przygrywką w powietrzu, zda się, zagrały weselne gody. Salusia, ciotkę swanę za różowy czepeczek z uniesieniem uściskała i poprosiła, aby, jako doświadczona gospodyni, pomogła jej w braterskiej oborze dwie krówki wybrać; potem jej i wszystkim zebranym dziewczętom pokazywała swoje owieczki, len, dywanik z jelonkiem i różne inne drogocenności, które znajdowały się w jej wyprawie, potem jeszcze Panciewiczowej do pomocy stanęła w kuchni, w której ogień smalił się wciąż, jak w piekle, a gdy z zawiniętymi po łokcie rękawami, w wielkim fartuchu z panami Bohaterowiczem i Steckiewiczem głośno i ciągle gawędziła, Adaś Strupiński i Józik Łozowski ledwie sobie wąsów nie powyrywali, tak zapalczywie kręcili je z zazdrości i udawanej fantazyi. Późno i bardzo zmęczona spać poszła, usnęła prędko i spała twardo, aż obudziły ją czyjeś uściśnienia i pocałunki. Otworzywszy oczy, zobaczyła Końcową, która, na pościeli jej siedząc, obejmowała ją, całowała i ze łzami kręcącemi się w oczach mówiła:

— Salka! dziś twój dziewiczy wieczór! Jaka ja kontenta, Salka, że ciebie jutro już mężatką zobaczę, że ty już upewnioną przyszłość będziesz miała, że wszystko tobie tak dobrze poszło! Ja ciebie zawsze z całej familii najlepiej lubiłam, ty dla moich dzieci taka dobra byłaś, gdy chorowały... to też cieszę się, tak cieszę się, że dziś już twój dziewiczy wieczór!

Salusia porwała się, jak struna wyprostowana usiadła na łóżku i z szeroko otwartymi oczami, które, przy roztarganych we śnie włosach, nadawały jej wyraz prawie nieprzytomnego przestachu, krzyknęła:

— Jezus Marya! jutro! już jutro!

I zanim Końcowa słowo przemówić mogła, ona już na szyi jej wisiała, tuliła się do siostry, i, cała jak w febrze trzęsąc się, mówiła:

— Ja nie chcę... ja nie chcę... ja tak prędko nie chcę!... Anulko, moja Anulko, moja ty droga, moja ty

złotna, ratuj mnie, dopomóż, powiedz Kostantemu, żeby odłożył... poproś ty ich wszystkich za mnie, wstaw się, orędowniczką moją bądź... kiedy Boga kochasz... kiedy dzieciom swoim szczęścia życzysz... ratuj... niech ślub odłożą... ja tak prędko nie chcę, ja nie chcę...

Ręce siostry całowała i oblewała łzami. Kończowa, zdziwiona, przerażona, zrazu z pieszczotą i łagodnie jej perswadowała, tłumaczyła, że to, czego żąda, stać się nie może, że na utratę takiej partyi przez głupie kaprysy narażać się nie powinna, że Kostanty za nic na odłożenie ślubu się nie zgodzi; a potem, gdy Salusia wciąż prosiła i w ręce ją całowała, zniecierpliwiła się i wprost jej oświadczyła, że ani myśli dla jej głupich kaprysów z familią się różnić, że chybaby ją za waryatkę poczytano, gdyby z czemś podobnem tak już nie wczas wystąpiła, że radzi siostrze, aby fonfry stroić zaprzestała, bo jeżeli, broń Boże, jaką awanturę zrobi i Cydzika od siebie odtrąci, to ona sama, Kończowa, choć zawsze w największej przyjaźni z nią żyła, za siostrę jej nie uzna, wyrzeczce się, znać nie zechce i w każdym wypadku drzwi swego domu przed nosem jej zamknie. To wypowiedziawszy, zagniewana i płacząca, bo pomimo wszystko do Salusi wielką słabość miała, wyszła i udała się do kuchni, aby dwóm starszym siostrom dopomódz w robieniu ciasta na gąski, ciastka podługowatej formy, któremi każda panna na swoim dziewiczym wieczorze gości częstować powinna.

Dzień przeszedł w zamęcie, na rozmowach, przychodzeniu i wychodzeniu gości i domowych, na gotowaniu i na pieczeniu, na żartach przez młodzież wyprawianych z panny młodej, która, wbrew zwyczajowi swemu, niedbale ubrana, z roztarganą kosą na plecach, w krzywo zapiętym staniu, z zapadłemi oczyma i prawie karmazynowemi rumieńcami na policzkach, chodziła pośród całej tej krętaniny jak nieprzytomna, ni w pięć ni w dziewięć na zwracane do niej słowa odpowiadała, albo i wcale nie odpowiadała, a siostrom w zajęciach, zamiast pomagać, tak przez

roztargnienie przeszkadzała, że ją наконец z kuchni wypędziły. Zmrok zapadać zaczął, gdy do sieni wszedł Gabrys i, jakby przełęknięty panującym w domu ruchem, zrazu u drzwi się zatrzymał. W długiej kapocie, wysoki, prosty jak tyka i tylko z głową nakształt złamanej makówki zwieszoną, pociesznie wyglądał z dwoma mirtowymi drzewkami, które trzymał w ramionach. To też, gdy stanął u drzwi, kilka osób znajdujących się w sieni żartować z niego zaczęło.

— A co Gabrys powie?

— Czemu to Gabrys na dziewiczy wieczór sąsiadki lepiej się nie ustroił?

— Dlaczego Gabrys mirty swoje oddaje? możeby się na własne wesele przydały?

— A kiedy Gabrysia wesele nastąpi?

— Dlaczego Gabrys się nie żeni? Na takie pałace, jak Gabrysia, pewnie ochotniczek nie brakuje!

— Gabrys pewnie jutro tańczyć z nami będzie! Proszę ze mną do krakowiaka.

— Ale chyba insze buty włoży, bo te rozlecą się, gdy tylko piętą ruszy!...

On nic nikomu nie odpowiadał, z mirtami ku drzwiom przeciwka podeszedł i, zaglądając przez nie, z cicha zawołał:

— Salusia! Salusia! mirty przyniosłem!

Ale w izdebce nazywającej się przeciwkiem Salusi nie było, tylko Pancewiczowa i Zaniewska krzątały się około zmieniania kuchennych swoich toalet na czystsze i przyzwoitsze. Pierwsza też, czarną spodnicę przez głowę zarzucając, ofuknęła:

— Niech Gabrys ze swemi mirtami tu się nie płacze! Proszę gdziekolwiek postawić i iść sobie!

On wazoniki u okna umieścił, ale nie odchodził, postać trochę i przemówił:

— Pani Pancewiczowo!

Kilka razy ciche to wołanie powtórzyć musiał, zanim pani Pancewiczowa opryskliwie zapytała:

— Czego?

Tajemniczym gestem palca przyzywał ją do kąta, w którym stał, a gdy zaciekawiona, stanik zapinając, zbliżyła się, szeptać zaczął:

— Niech pani Pancewiczowa dobrze popatrzy na Salusię i zobaczy, jak ona wygląda i do czego zrobiła się podobna...

— Albo co? — niecierpliwie spytała.

— A to — szeptem zawsze odpowiedział — że ja pani Pancewiczowej, jako starszej siostrze, mówię i ostrzegam, aby, broń Boże, jakie nieszczęście z tego nie wyniknęło.

— Jakie nieszczęście? z czego? — rozczesując ogromne czarne włosy, z zapytaniem wtrąciła się Zaniewska.

— Dla Salusi, z tego małżeństwa. Ona Cydzika nie chce, a tamtego odżalować...

Obie siostry zakończyły:

— Co Gabrys plecie? czego Gabrys tu przyszedł, czas nam darmo zabierać! Niech Gabrys ze swoją głupotą...

— Ja głupi — przerwał — to prawda. Jednakowoż niektóre rzeczy może lepiej od rozumnych postrzegam i pani Pancewiczowej, równie jak i pani Zaniewskiej, mówię, że ślub Salusi odłożyć trzeba, albo i ze wszystkim Cydzika odprawić...

— A Gabrysia na jego miejsce postawić przed ołtarzem?

— Aby dobrana para była! — obie zadrwiły, a jemu, jakby wszystka krew do twarzy się zbiegła, tak poczerwieniał. Jednak, na drwiny nie odpowiadając, głośniejsze, niż mówił przedtem, dokończył:

— Bo ona nie ze wszystkim taka, jak insze, ona swoją wolę i śmiałość ma, jej bieda jaka stać się może, a na sumienie familii grzech padnie.

— No, to niechaj pada, a Gabrys niech już sobie ztąd idzie, bo my na gadanie z głupimi czasu nie mamy — odpowiedziała Pancewiczowa. A Zaniewska dodała:

— Ot, ruszył konceptem, jak ciele ogonem! Widać dlatego, że sam tak dobrze na świecie wykierował się, to i drugim rady dawać chętny. Tylko że nie każdy lubi w dziurawych butach, czy też trzewikach, chodzić...

— Wiadomo, głupi Gabrys! Co taki rozumnego wymyślić zdoła.

Odwróciły się; on, powoli i ciężko stąpając, odszedł, a w tejże chwili przed gankiem rozległ się odgłos zajeżdżających sanek, brzęk dzwonek na odświętnej uprząży, gwar powitalnych okrzyków, klaskanie pocałunków. Pan młody ze swatem i družbantami przyjechał.

W wigilię ślubu śmielszy nieco, niż zwykle, może towarzystwem družbantów rozochocony, Władysław Cydzik wszedł do sieni dość raźnie, w szubie czarnymi barankami podbitej i zlekka tylko na ramiona narzuconej, widząc więc było z pod niej dokładnie cienką i prostą jego figurę, w czarnym tużurku i kwiecistej kamizelce, połyskującej srebrną, szeroką dewizką. Na szyi miał biały krawat z dużą kokardą, a na głowie czarną barankową czapkę, którą w progu zdjął mu z głowy jeden z družbantów, bo on sam uczynić tego nie mógł, w obu rękach trzymając coś dużego, okrągłego i osłoniętego białym płótnem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu! — huknęły u proga cztery naraz męskie głosy, a swat obok pana młodego, znowu jak silny dąb obok smukłej latorośli stając, mówił dalej:

— Oto przyjeżdżamy po klejnot nam przyobiecany, wielkiej drogocенności, o gościnę prosimy, a wprędce od-



jedziemy z tem, po cośmy przyjechali, w wielkiej wesołości. Czy wolno wejść?

Trzy siostry panny młodej, brat jej, swania, oboje Michałostwo, jako stryjeczni, razem i z powagą odpowiedzieli:

— Pięknie prosimy. Proszę wejść. Czem chata bogata, tem rada.

Swat, z lekka szturchnął w łokieć pana młodego, który też zaraz ku Pancewiczowej podszedł i podał jej trzymany w rękach przedmiot, a ona, jako pannie młodej matkę zastępująca, przyjęła go z powagą i, płótno zeń odrzuciwszy, wszystkim oczom ukazała pierog ogromny, cały białym lukrem polewany i gęsto natykany cukrowymi jagodami, grzybkami, kwiatkami. Nie lada jakim panem młodym być potrzeba, aby do domu panny młodej z tak eleganckim i kosztownym pierogiem przyjechać! To też podziwiano go długo i jednogłośnie, aż na koniec Konstanty bardzo uprzejmie zaprosił przybyłych do świetlicy.

Zaraz też nadbiegły cztery drużki w morderowych i granatowych sukienkach, przyszła wystrojona i wyczesana, z błyszczącemi szpilkami we włosach podswania, zwabione perspektywą gąsek, zaczęły zbiegać się dzieci.

W świetlicy zrobiło się bardzo gorąco; to też Kończowa zdziwiła się ogromnie, gdy, pośpiesznie szukając Salsi, zobaczyła ją przyciśniętą do pieca, bardzo bladą, a kurczącą się i drżącą jakby od zimna. — Za rękę ją porwawszy, uczuła w dłoni jakby kawał lodu, ale długo nie zastanawiając się nad tem, pociągnęła ją z sobą do kuchni.

— Gąski z pieca wyjmować trzeba! gąski z pieca — śpiesznie szeptała.

W kuchni szumiały i buchały parą trzy samowarki — jeden domowy, a dwa od sąsiadów pożyczone, Zaniewska z pomocą podswani i druzek nalewała herbatę do szklanek, zarówno jak samowarki, domowych i pożyczonych;

Pancewiczowa zaś wchodzącej Salusi w jedną rękę spory kosz, a w drugą koczerhę podała.

— Wyjmujże prędko — rzekła — bo spalą się na węgiel!

I odjęła deskę, otwór pieca zasłaniającą. Wyjmowanie z pieca gąsek jest czynnością, której panna młoda własnoręcznie dokonać powinna; Salusia bardzo dobrze i od dzieciństwa o tem wiedziała, więc wzięwszy z rąk siostry kosz i koczerhę, zaczęła ostatnią w czarną otchłań piecową zanurzać i z niej podługowate, pięknie zarumienione ciastka wygrabywać. Co zagrabiła koczerhą, to ze trzydzieści lub z pięćdziesiąt gąsek wydobyła, które za każdym razem zsypywała do kosza. Tej robocie jej, lampkę z kominkiem w rękę trzymając, przyświecała Kończowa i zasmuconym, trochę nawet przestraszonym wzrokiem patrzyła na dwa sznurki łez, które z oczu Salusi toczyły się po białych jej policzkach. Ani krzywiła się, ani słówkiem bodaj najmniejszym się odzywała; możnaby nawet myśleć, że nie oddychała, tylko, ilekroć koczerha w piecu o cegły zaskrobie, sznurek łez z jej oczu popłynie; ilekroć sygną się gradem do kosza gąski, na jej twarzy powstaje nowy sznurek tych kropli, w których światło lampy prześwieca się i błyszczy.

— Salka — przemówiła nakoniec Kończowa — co tobie jest? Odezwij się choć słówkiem, bo aż straszno na ciebie patrzeć!

Nie odezwała się, nie spojrzała nawet na nią, a gdy piec zupełnie już był z gąsek opróżniony, kosz w rękę wzięła i z nim do świetlicy weszła. Za nią trzy kobiety wniosły na tackach szklanki z herbatą i rozdawać je zaczęły, od swani i swata zaczynając. Ona rozdawała gąski. W tłumie, w gwarze rozmów i śmiechów, w pstrociznie kobiecych i męskich ubrań, chodziła wyprostowana i biała, z roztarganym warkoczem na plecach i — od swani i swata zaczawszy — a na dzieciach kończąc, wszystkim po garści gąsek dawała. Czy słyszała długi i płynny kom-

pliment, którym wymowny swat jej podziękował? Czy widziała jak Cydzik, kręcąc się wciąż za nią, pożerał ją błyszczącymi oczyma? Czy czuła pocałunki, które na białych i mokrych policzkach co moment składały jej drużki? Niktby na pewno powiedzieć nie mógł, tak wysmukła kibić jej była sztywną a rysy nieruchomymi. Raz tylko za-



sza w niej mała i przez nikogo zresztą nie spostrzeżona zmiana. Stryjeczny, z pierwszym družbantem rozmawiając, z czegoś tak głośno się zaśmiał, że śmiech jego, młoda, silna, dźwięczną gamą, jak dzwonek potoku nad szmerem rzeki, wzbił się nad gwarem. Salusia drgnęła i czarne brwi, nakształt posępnej chmury, ściągnęły się i zjeżyły nad spuszczonej jej powiekami. Wkrótce też z opróżnionym koszem ze świetlicy wychodziła, a za nią rozległo się wołanie pierwszej drużki:

— Mirt! mirt! gdzie mirt? Proszę nam dać mirtu! wezas trzeba wianuszek spleść i bukiecików nawiazać hurbę! hurbę!

Końcowa, niespokojna jakaś i często na młodszą siostrę oczyma rzucająca, wyręczając ją, poprowadziła drużki na przeciwiek, z kąd wkrótce dziewczęta zabrały dwa mirtowe drzewka i tryumfalnie niosły je do świetlicy. Salusia stała w sieni, z pustym koszem w ręku, do ściany przyciśnięta

i niesione przez drużki Gabrysiowe mirty wzrokiem przeprowadzała; poczem rzuciła kosz i, z sieni na podwórze wybiegłszy, ku zagrodzie Gabrysia pobiegła. Ale nie biegła długo. Gabrys stał za niskim swoim płotkiem i, policzek na dloni opierając, patrzył na dom Konstantego, oświetlonemi oknami błyszczący i jak wichrem, szumiący gwarem. Zaledwie spostrzegł w grubym mroku biegnącą

Salusię; ona już płotek przeskoczyła i, ręce na szyję mu zarzucając, jak przestraszone dziecko do matki, przylgnęła do jego piersi:

— Gabrys! Gabrys! — szeptała — ja nie chcę, ja nie mogę, ja umrę... nie wytrzymam! Tak mnie boli...

On, ramionami ją ogarnął i, zdawało się, że głosu z piersi wydobyć nie mógł; głowę chylił ku jej głowie, ustami już prawie dotykał jej włosów, jednak nie dotknął ich, tylko zaszeptał:

— Co boli? co cię boli? Salka, moja ty droga...

Ona, w objęciu jego zwieszona, ledwie dosłyszalnym szeptem skarżyła się:

— Ciagle mi on przed oczami stoi... ciągle... ciągle... ciągle głos jego słyszę mówiący: „nie dbaj o posag, czy ci brat da, czy nie da... ja cię w jednej koszuli wezmę i szczęśliwy będę!“ Taki on dobry był, tak on mnie kochał... a co ja jemu zrobiłam! co zrobiłam!

Gabrys podniósł głowę, w ciemne niebo spojrzął i tak westchnął, że aż gruba kapota wysoko podniosła mu się u piersi. Potem znowu schylił się nad nią i ustami tuż, tuż przy jej czole, jednak nie dotykając go, szepnął:

— Zapomnisz... odżalujesz...

Ręce jej z szyi jego opadły. Wyprostowała się i krzyknęła:

— Ani ja o nim zapomnę, ani ja go odżaluję... Gabrys głupi jest... Gabrys nic nie rozumie...

Od domu doszły wołania:

— Salusia! Salusia! Salusia!

— Ot, już i wołają! — sarknęła. — Wiesz, Gabrys... Ściśniętą pięścią jednej ręki w dłoń drugiej uderzyła.

— Wiesz, Gabrys? Tak chcę, tak chcę wszystko im w oczy cisnąć i polecieć... polecieć!...

Splasnęła dłońmi i ku domowi pobięła.

Czas upływał, było już dobrze po północy, a świetlica przedstawiała jeszcze widok ożywionego, gwarnego roju. Starsi, stół obsiadając, wieczery dojadali i o ró-

żnych gospodarskich, sąsiedzkich sprawach rozprawiali, perorowali; drużki przy innym, mniejszym i zielonością okrytym stoliku gałązki mirtu białymi wstążeczkami związywały, która to zresztą robota szła im powoli, bo przeszkadzało jej rozmowami i psotami kilku kawalerów. Nagle parę cienkich dziewczęcych głosów z nad zielonej powodzi mirtu zawołało:

— Salusia, daj wstążeczek! już ani kawaleczka nie ma, a jeszcze bukiecików trza nawiązać hurbę! hurbę!



Przed paru godzinami Salusia pęk białych wstążeczek na komodę w bokówce rzuciła; teraz więc tam wbiegła, a za nią, na pięty prawie jej następując, wsunął się Cydzik. W izdebce, oświetlonej małą lampką, nikogo nie było; wstążeczek też Salusia nie zobaczyła na komodzie: ktoś widać w zawierusze zrzucić je lub gdzieindziej położyć musiał. Schylona nieco, wzrokiem szukała ich na ziemi, aż nagle uczuła, że ramię jakieś kibić jej opasuje. Jak oparzona skoczyła, obejrzała się i tuż prawie przy swojej twarzy zobaczyła młodocianą, podługowatą, rozżarzonemi oczami świecącą twarz narzeczonego. Gwałtownym ruchem wyrwała się z jego

objęcia i, pod ścianę usuwając się, z rozbłysłemi także oczyma, krzyknęła:

— A toż co? Czy to pięknie takie napaści czynić?

Ale on nie mógł już dłużej powściągnąć tej przemożnej siły, która ogniem grała w jego żyłach i ciągnęła go do dziewczyny, jutro mającej mu być poślubioną. Rozzuchwalała go ta siła i z dzieciństwa prędko w świadom-

móść męzkich praw przerzuciła. Znowu przysunął się do Salusi i, rękę jej chwytając, zaszeptał:

— Przecież jutro już ślub nasz będzie... to dziś można choć pocałować...

I rozplomieniony, natarczywy, wprost darł się do twarzy jej, do ust, rękę jej w palcach gniotąc tak, jakby miał ją zmiążdżyć. Lecz ona także nie była istotą słabą i, z bolącego uścisku rękę wyrwawszy, napastnika odepchnęła:

— Jeszcze my nie po ślubie! — zawołała — jeszcze niewiadomo!

Cydzik jednak, rozgniewany, w mowę jej wpadł. Zaindyczył się, trochę nawet w boki się wziął i, przymrużeniem oczyma patrząc na nią, mówił:

— Jakto niewiadomo? owszem, wiadomo, że Salusia jutro moją żoną zostanie i co każe, to będzie robiła, bo przed ołtarzem posłuszeństwo zaprzysięgnie!

Teraz ona z bladej zrobiła się czerwoną i oczy jej zaiskrzyły się, jak dwa żuzle.

— A niedoczekanie twoje, abys ty miał moim panem być i swoją wolę na mnie wywierać! — krzyknęła.

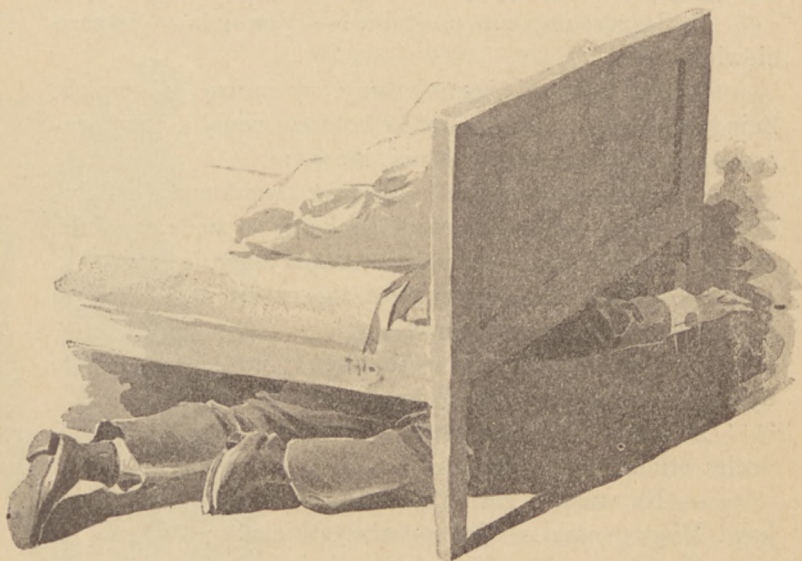
Zrywając z palca obrączkę, głosem od szybkiego oddechu stłumionym, wrzasnęła:

— Na, masz! Za swoje bogactwo inszą niewolnicę kup! Między nami — już po wszystkim!

Cisnęła na niego złote kółko, które, u nóg mu upadłszy, potoczyło się przez izdebkę i pod łóżkiem Konstantego zniknęło. Cydzik miał teraz minę człowieka spiorunowanego przestrachem i zmartwieniem. Z rozwartymi ustami, żałosnym wzrokiem ścigał obrączkę, aż gdy zniknęła, do łóżka podszedł, ukląkł naprzód, potem, jak długi, podeszwami do góry wyciągnął się na ziemi i całą głowę, a także obie ręce, pod łóżko wsunawszy, jął obrączki szukać, palcami po podłodze grabiąc. Salusia, z wyrazem niewysłowionej urągliwości na twarzy, przez chwilę na niego patrzyła, aż tysiące dumnych, wzgardliwych błyskawic wyrzucając z oczu, zaśmiała się długo, głośno, po-

czem, z bokówki wybiegłszy, jak strzała przebiegła świetlicę, sień i znalazła się na przeciwku.

Tu było pusto i ciemnawo; na stole u okna palił się kawałek żółtej świeczki, krzywo w mosiężny lichtarz wsadzony. Gwar ze świetlicy głucho przez dwoje zamkniętych drzwi dochodził, w kuchni, za nawpół zamkniętymi drzwiczkami, słychać było tylko sapanie Pancewiczowej,



która, śmiertelnie zmęczona, przyłożyła się tam na twardej ławce i usnęła.

Salusia wielką skrzynię otworzyła, na ziemi przed nią uklękła i przy mętnej świetle stojącej na stole świeczki prędko, gwałtownie, różne przedmioty wydobywać z niej zaczęła. Skrzynia była wielka, na zielono pomalowana, kilku żelaznymi sztabami okuta, z bombiastem wiekiem, które, całe świętymi obrazkami od wnętrza wyklejone, ledwie zamykać się mogło nad mnóstwem odzieży, szczelnie i piętrząco skrzynię wypełniającej. Była to jej

skrzynia i jej wyprawa odzież, suta, rozmaita. Ale ona nie brała żadnej z rzeczy starannie i na wierzchu ułożonych, lecz z samego prawie dna wyciągała stary, znoszony paltot i również znoszone, choć całe jeszcze, trzewiki. Przedmioty te na ziemi przy sobie położywszy, wyjęła jeszcze i za stanik wsunęła parę złożonych we



czworo arkuszy, które były dokumentami do jutrzejszego ślubu przygotowanymi, a które do przechowania dał jej Konstanty. Następnie w głębokim kątku skrzyni znalazła jeszcze małą skórzaną pugiłaresik (dar, który uczynił jej szwagier Koniec, z wdzięczności za pracowite pielęgnowanie jego chorych dzieci) i trochę znajdującą się w nim drobnej monety przeliczywszy, włożyła go do kieszeni. Nakoniec jeszcze chwilę czegoś szukała, aż

znowu, zwitek papierów znalazłszy, tak jak tamten, za stanik go zasunęła. Były to listy Jerzego, kilka listów, które od czasu rozstania się z nim od niego otrzymała.

Teraz zamknęła skrzynię, z ziemi powstała, na stolku usiadłszy, nowe i trochę ciasne trzewiki, które miała na nogach, zmieniała na stare i od wynoszenia rozluźnione; ciepłe jeszcze, ale stare palto szczelnie na sobie zapięła i dużą, na pościeli jej leżącą chustką obwiązała sobie głowę. Wszystko to czyniła bardzo cicho i bardzo prędko. Nie sprawiała większego szmeru od przebiegającej myszy, i nie zabrało to jej więcej czasu, niż go na porządne odmówienie pacierza potrzeba. Potem, przez trochę zaledwie otwarte drzwi do sieni wybiegłszy, jak kotka przesunęła się pod ścianą, na ganek i z ganku, pod płotkiem, gdzie cień był najgłębszy dalej pomknęła. Jednak, prawie od samych wrót podwórka powróciła jeszcze, na ganek wskoczyła i przed zamkniętymi drzwiami domu na klęczki upadłszy, usta do progu ich przyłożyła, zalkała, a wnet znowu porwawszy się na nogi, pobiegła i w głębokich już cieniach zniknęła.

Więcej niż pół godziny upłynęło, a Władysław Cydzik stał jeszcze w drzwiach rozdzielających świetlicę z bokówką, z miną wyleknioną i zgryzioną, z wydobytą z pod łóżka obrączką w mocno ściśniętej pięści. Sam nie wiedział co mu teraz począć należy; chwilami gniewem wrzał, chwilami żal w nim wzbierał i do oczu napływały łzy, aż w swata jak w tęczę wpatrywać się zaczął i powoli ku stołowi, za którym on siedział, postąpił.

— Panie Jaśmont! — zaszeptał — panie Jaśmont! panie Jaśmont!

I tajemniczym kiwaniem głowy i palca przyzywał go ku sobie.

— A co tam takiego? Czego pan Władysław chce odemnie? — od zajmującej rozmowy oderwany, zapytał Jaśmont.

— Chodź pan, chodź! coś ciś pod sekretem powiem! —

tajemniczo wciąż szeptał chłopak, a Jaśmont, zobaczywszy, że chłopakowi na płacz się zbiera z za stołu wstał i wyszedł z nim do sieni. Tam słychać było jak z sobą żywo, choć z cicha, szeptali, poczem Jaśmont, mocno zasępiony, do świetlicy zajrzał i zawołał:

— Panie Kostanty, proszę na sekret!

Teraz już we trzech w sieni szeptali, ale krótko, bo wnet dało się słyszeć donośne wołanie Konstantego, w którym gniew brzmiał:

— Salusia! Salusia! Salusia!

Drużki popodnosiły się ze stołków. Pancewiczowa w kuchni zerwała się z ławki, Zaniewska, Końcowa, swania do sieni wybiegły. Z tych szeptów i z brzmienia głosu Konstantego, wszyscy coś niedobrego przeczuli. Wnet też po całym domu zrazu, potem po podwórku i całej zagrodzie rozległy się kobiece i męskie wołania, na różne tony wywołujące jedno imię:

— Salusia! Salusia! Salka!

Parę latarek, pomiędzy drzewami i dokoła budynków obnoszonych, błysnęło w ciemnościach, wśród przyciszonych rozmów, które nie gwar już, ale jakby tajemnicą nabrzmiały szum sprawiały, aż wreszcie ozwały się łkania. To Końcowa i jedna z drużek — wielka przyjaciółka Salusi — płakać zaczęły. Jaśmont, nadrabiając rezonem i awanturę z obrączką w tajemnicy jeszcze przed szerszym ogółem zachować pragnąc, śmiał się głośno i wołał:

— Figielki panińskie! figielki! Skryła się gdzieś filutka, ażeby większej jeszcze ceny u oblubieńca nabyć!

Konstanty, z latarnią po wszystkich kątach zagrody chodząc, przez zaciśnięte zęby mruczał:



— Zabiję! jak Boga kocham zabiję, na umierających rodziców nie uważając...

Pancewiczowa jak wichur w różne strony latała i głośniejsza nad wszystkich, przeraźliwie darła się:

— Salusia! Salusia! wariatka! głupia! smarkata! Salusia! Salusia!

Jednak i w tym darcu się przeraźliwym, złością zrazu nabrzmiałem, drżał już zaczynający się płacz.

Nikt nie widział Gabryś, który, gdy tylko w zagrodzie Konstantego ruch powstał i rozbrzmiały głosy, jedno imię

wywołujące, z chaty swojej wyszedł i, płótek przestąpiwszy, nieco na uboczu stanął. Zrazu, stał z rękoma przy głowie, jak człowiek, w którego uderzył grom przerażenia, potem, ze zwieszoną głową, głęboko myśleć się zdawał, aż do stojącej na podwórku gromadki mężczyzn i kobiet, pomiędzy którymi znajdował się Konstanty, przystąpiwszy, cichym, jakby zdławionym głosem wymówił:

— Salusia do ciotki Steckiewiczowej pobiegła!

Słowa te wszystkich zrazu wprawiły w osłupienie, ale uspokoiły też i pocieszyły.

— Zkąd Gabryś o tem wie? — porywając go obu rękoma za kaptę zawołała Kończowa.

— A bo widziałem jak szła — odpowiedział — i pytałem dokąd idzie? Powiedziała, że do Steckiewiczowej.



— O tej porze? czego? — zawołało chórem wiele głosów.

Gabrys ramionami wzruszył. Przy świetle latarki, którą trzymał Konstanty, twarz jego wyglądała zbiedzona i mizerna, z głupkowatym uśmiechem pod kępą czarnych wąsów.

— Czy ja wiem? — na nikogo nie patrząc, powoli zaczął. — Mówiła, iż ciotka rozniewana za to, że na swanie zaproszoną nie została... więc poleci do niej, przeprosi, piękny jaki prezent dostanie i jak świt nazad do domu przyleci...

— Tak mówiła?

— A mówiła.

— Gabrys na własne uszy to od niej słyszał?

— A na czyjeż?

— Zwaryowała! głupia! o tej porze! kto to słyszał? czysta waryatka! — zagadały kobiety.

Gabrys głową potrząsł; cichy, lecz długi śmiech zatrząsł mu u piersi grubą kapotą.

— A cóż to za waryactwo i cóż to za głupstwo jest, kiedy kto chce piękny prezent dostać? — wymówił.

Słuszna uwaga. To prawda! Jaka ta Salusia jednakoż jest praktyczna, kiedy nawet jednego przedślubnego prezentu, który dostać była powinna, nie darowała, ale po niego aż w nocy poleciała do bogatej ciotki. Ho, ho! minister baba! — Jaśmont śmiał się, takim obrotem sprawy zadowolony, boć kiedy do ciotki po przedślubny prezent poleciała, to widać z Cydzikiem naprawdę zrywać nie zamierza i awanturę z obrączką tylko przez próżne panieńskie fochy zrobiła. Drużki aż podskakiwały. Tęga Salka! I fatygi w nocy nie pożałowała! Ciekawość też co od ciotki dostanie! Może i całą sztukę płótna, bo podobno Steckiewiczowa płótna ma tyle, że aż skrzynie od niego pękają. Nawet Pancewiczowa śmiała się i Konstanty uspokoił się trochę, złagodniał.

— Taka już w naszym rodzie krew — zauważył. —

Każdy na wszystko odważy się, gdy czego bardzo zechce. Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży. U Osipowiczów tak!

Gabrys słuchał tych rozmów i uwag i na rozweselone twarze spoglądał.

— To nie żadne waryactwo i nie żadna głupota po prezent, choćby i w nocy, lecieć, — powtórzył. — A kiedy piękny prezent dostanie, z tryumfem przed wszystkimi wyjdzie!

I gruba kapota drżała mu wciąż u piersi od cichego, wewnętrznego śmiechu.

— Jednakowoż — rzekł Konstanty — ja zaraz konia założę i po nią do Steckiewiczów pojedę. Trzy wiorsty — bagatelka. Przywiozę ją tu zaraz i niechaj choć trochę wyśpi się przed porankiem ślubnym.

Końcowa uczepliła się mu do ramienia.

— Ja z tobą pojedę, Kostuś!

Mniej od innych czuła się uspokojoną i wcale nie była zachwyconą tem lataniem siostry w nocy po prezent; zresztą i nie zupełnie w nie uwierzyła.

Gdy zagroda Konstantego przycichła, a on sam, z Końcową, jednokonnemi sankami za wrota wyjechał, Gabrys z zapaloną latarką do swojej stajenki wszedł, przed mizernym konikiem wsypał do żłobu sporą miarkę owsa, pomieszanego z sieczką, a potem małe, niepodkute sanki opatrywał, sianem uścielał, do drogi widocznie sposobił.





VI.

Switanie dnia znalazło ją więcej niż o milę od Tolłoczek oddaloną, wspinającą się po szerokiej drodze na dość wysoką górę. Nie była jeszcze ani trochę zmęczona, szła raźnie, a gdy z rzedniejących mroków nocnych przydrożne drzewa i białe za niemi pola w dość wyraźnych już zarysach wychylać się zaczęły, przystanęła, chustkę z twarzy odgarnęła i rozejrzała się dokoła.

Jak daleko słuch i wzrok sięgnąć mogły, panowała tu ogromna cisza i pustka. Słyszać było tylko lekki przedpo-rankowy wiatr, muskający wierzchołki drzew i zaspy pol-nych śniegów, a wychylający się z mroków świat, z zakry-temi jeszcze krańcami, podobnym był do białawego, bez-brzeżnego morza, którego najlżejsze drgnienie życia nie poruszy. Nic, tylko dwa rzędy nagich drzew przy drodze, za niemi to białawe, martwe, nieruchome morze, z cie-

mnemi gdzieniegdzie plamami samotnych krzaków, niebo, po którym płyną porozdzierane welony chmur, i ona, dość szybkim, pewnym krokiem wspinająca się pod górę, u której dalekiego jeszcze szczytu, leniwie, sennie, z wahaniem się jakby, z przestankami, poruszają się ogromne skrzydła wietrznego młyna.

Nakoniec znajdowała się wśród tych szerokich, samotnych przestworzy, na które z podwórka swojego rodzinnego domu tak często z utęsknieniem i pragnieniem wolności patrzała. Nakoniec była wolną jak ptak; leciała. Po wiele razy mówiła sobie: „polecę!” i poleciała. Po wiele też razy powtarzała w myśli: „cisnę im wszystko w oczy!” i cisnęła. Przyszłość bezpieczną, dostatki zapewnione, posag, owieczki, dywanik z jelonkiem, skrzynię aż po szczyt bombiastego wieka wypchaną — cisnęła, i w starym paltocie, w znoszonych trzewikach, z kilkudziesięciu groszami w kieszeni i dwoma zwitkami papieru za stanikiem, poleciała.

Nie przestraszała jej ani cisza, ani pustka, ani kilkomilowa droga, którą przebyć musiała, aby stanąć u zamierzonego kresu. Napaści zbójców, lub jakichkolwiek złych ludzi, nie przychodziły jej na myśl wtedy nawet, gdy szła jeszcze w ciemnościach nocnych, a teraz dzień nad światem powstaje, przed jego końcem u celu swego stanie najpewniej — czegoż więcej bać się? Kilkomilowa droga! Hej, hej! albo to raz, z siostrami lub rówieśnicami, w lecie i zimie, na festywy do kościołów cudami słynących, do krewnych na zabawy biegała mil kilka, aż się za stopami jej kurzyło, i jeszcze, na miejsce przybywszy, po miasteczku chodziła, lub całą noc tańczyła! Czegoż więc bać się? Zabłądzi może? Gdzie tam! Po pierwsze, wszelkie miejsce i wszelką drogę na końcu języka znaleźć można, a po drugie, ta droga jest jej w większej części dobrze znana, bo cztery mile od Tolłoczek a o dwie tylko od Laskowa znajduje się miasteczko z kościołem cudami słynącym, do którego nie raz i nie

dwa w swoim życiu, dzieckiem jeszcze będąc, i później, na festywy z kompanią chodziła! Czegoż więc się bać? O tamte ostatnie dwie mile zapyta się w miasteczku, i w mig je przeleci. Najgorszą byłoby rzeczą, gdyby znajomych jakich na drodze napotkała, którzyby mogli zabawić ją, albo o niej dać znać do Tolloczek. Lecz nie bardzo spodziewa się tego: zimową porą ludzie nie tak to bardzo się ruszają, a jeżeli kogo idącego lub jadącego z oddali ujrzy, na wszelki wypadek chustką tak twarz zasłoni, aby nikt poznać jej nie mógł. Czegoż więc się bać?

Była już u wierzchołka góry; ogromne, suche ramiona młyna sennie, zwolna, bez najlżejszego szelestu poruszały się prawie nad jej głową. Stała. A! wszak to młyn Gabrysiowego szwagra. Siostra Gabrysia z kilkorgiem małych i dorastających dzieci mieszka w tej chatynce, która w pobliżu młyna, tuż przy drodze, wśród niskich opłotków, prawie w trzeciej części śniegiem zasypała stoi i śpi. Wygląda, jakby spała, bo za dwoma białymi od mrozu okienkami panuje zupełna cisza; drzwi, na których progu leży wałek śniegu, szczelnie zamknięte, dwa drzewa nawet pośród opłotków stoją nieruchome. Jednak, kto wie, czy wszyscy śpią tam jeszcze? Może gospodyni obudziła się i zaraz wyjdzie z chaty, z wiadrem w ręku, po wodę do studzienki, której zóraw szary i wysoki sterczy jak pochylony nieco dziób śpiącego ptaka? Może młynarz nocował w młynie i zaraz z niego wyjdzie, aby po rozgrzanie się i posiłek zająć do chaty? Znają oni ją dobrze, zdawna, i żeby nie wiedzieć jak twarz osłaniała, po figurze i chodzie poznać mogą. Trzeba młyn i chatę Gabrysiowej siostry zdala obejść! Ale jak? Ej, co to trudnego? Ot ścieżyna nieduża, jednokonnymi saneczkami ujeżdżona, pomyka w pole; po przeciwnej młynowi stronie gościńca półkolem jakoś bieży. Pewnie ona kiedyś napowrót do gościńca przyprowadzi, a jeżeli i nie przyprowadzi, gołem polem do niego do-

brnąć będzie można. Teraz, gdyby i bród, albo rów jaki na drodze się znalazł, łatwo go przebyć, bo wszelkie wody na świecie lodem stoją.

Z gościńca na boczną, niedużą dróżkę zbiegła i szła już czystem, pustem polem, nawet bez drzew przydrożnych, kręto posuwając się po krętym szlaku wyżłobionych przez sanie kolein.

Pod niebem i w powietrzu robiło się coraz widniej; jeszcze parę gwiazdek małych śród ruchomej krepy obłoków błysnęło i zgasło; natomiast w ciszy zawsze takiej, że nie przerywał jej nawet najlżejszy szezebiot ptaka, ani najmniejszy szmer przypadłego do ziemi wiatru, na wschodniej stronie nieba powstała i zwolna rozszerzała się, rosła, rubinowa wstęga jutrzeńki. Blaski tego ognia, z za świata jakby wybuchającego, rzuciły się na śniegi i popłynęły po nich jak różowe rzeki i jeziora, oświeciły kilka dalekich drzew polnych, — tak, że wyglądały one jak wyrastające z alabastrów koronkowe słupy rumianej światłości, — i wreszcie drżące promyki położyły na wierzchołku krzyża, który nad szerokim, nagim, milczącym polem rozpiął ramiona wysokie, nagie, milczące.

Salusia przystanęła znowu i zapatrzyła się na jutrzeńkę oczami, które zrazu uśmiechnięte i zachwyczone, powoli zachodzić poczęły łzami. Otóż i na dobre rozpoczął się już dziwny i najważniejszy dzień jej życia! Dziwny, — bo po raz pierwszy, odkąd żyje, ona, dziecko chaty dostatniej i rodziny licznej, znajduje się bez dachu, bez osłony, bez nikogo przy sobie, swego, czy obcego, sama, samiutka jedna, pośród tego wielkiego, ciszą i samotnością tylko dyszącego świata; najważniejszy, — bo od tego jak się zakończy, zależy całe jej życie.

U stóp krzyża leżał duży gładki kamień. Może w innych, łagodniejszych porach roku ludzie siadywali tu, modlili się, dumali; teraz na okrywającym go śniegu widać było ślady chodu wielkiego ptaka, czy może małego zwierzątka — ślady, które starła klękająca na kamieniu Salusia.



Na kamieniu uklękła, krzyż obu ramionami objęła, i z przyciśniętą do niego skronią, w jutrzienkę zapatrzona, modliła się cicho:

— Boże, mój Boże! daj, abym znalazła jego zdrowym i dla mnie życliwym; aby wszystko mnie dobrze poszło! Boże, mój Boże! daj, aby on mnie odpuścił tę winę, którą przeciw niemu popełniłam; daj, abym szczęśliwie do niego doszła, i jego, w zdrowiu i dobrem dla mnie sercu znalazłszy, nigdy już z nim rozłączoną nie została!

Potem przeżegnała się i zaczęła mówić zwyczajny, prawdziwy pacierz, ale za nie dokończyć go nie mogła.

— Ojcie nasz... — zaczęła i mówiła dalej.

— Daj, abym go znalazła zdrowym i dla mnie życliwym... któryś jest w niebie... aby życie jak w niebie przeszło mnie przy nim... przyjdź królestwo twoje... aby odpuścił on mnie tę winę, którą przeciw niemu popełniłam... bądź wola twoja, jako w niebie tak i na ziemi... abym na tej ziemi, inszego przyjaciela i opiekuna, oprócz jego jednego, nie miała...

Rozplakała się. Twarz w skraju chustki, którą miała na głowie, ukryła i poplakała trochę, ale niedługo. Nie w czas płkanie długie temu, kto długą drogę przed sobą ma. Na łzach do celu swego nie dopłynąć. Trzeba iść. Krzyż pocałowała, wstała i poszła, z powrotem ku gościńcowi się kierując, czasem w śniegu wyżej niż po kostki brnąc, czasem ostrożnie przebywając małe zamarzłe bródki, aż odzież wysoko podniósłszy, rów wązki lecz głęboki przeskoczyła, i już na gościńcu się znalazłszy, rażnym, przedkim krokiem jak strzała prosto przed siebie poszła.

Więc szła do Jerzego! Tak, po wiele razy w dniach ostatnich doświadczała niewysłowionego pragnienia i przebłysków zamiaru, aby uciec i do niego pójść, aż nakoniec uciekła i poszła. Wiedziała doskonale, że powrót do rodzinnego domu, do swoich, będzie już dla niej na bardzo długo, jeżeli nie na zawsze, niemożliwym. Możeby jej,

gdyby wróciła, przyjąć nawet nie chciano, a jeżeliby i przyjęto, dostałaby się w takie pośmiewisko i prześladowanie, że pewno za nic-by go nie zniosła. Z Konstantym chybaby sobie oczy nawzajem powydzielali, taka byłaby pomiędzy nimi kłótnia. On jej nigdy do śmierci nie daruje, ani wstydu, który mu ucieczką swoją sprawiła, ani daremnie wyłożonych kosztów, ani tego procesu, który Cydziki, także o wyłożone kosztą najpewniej z nim zawiodą. Za boże stworzenie nie uważałby jej teraz, obchodziłby się z nią gorzej niż z psem, a ona znów nie taka, aby ubliżenie i krzywdy cierpliwie znosić mogła! Nie; teraz już łatwiej wilk z baranem wyżyłby pod jednym dachem, niż ona z bratem. Z siostrami prawie tak samo. Jedna Końcowa może przebłagałaby się wprędce, lecz i to nie pewne, bo wobec groźby poróżnienia się z familią bardzo jest lękliwa. A krewni! sąsiedzi! znajomi! Ci to wprost oczy-by jej urąganiem wyjadali, wzgardą oblewali, na syczących językach nosiliby ją po całym świecie! Nie! wiedziała ona bardzo dobrze o tem, że z całym swoim światem zerwała, że wszystko, co było lub być mogło jej własnem, za siebie cisnęła, na zawsze utraciła, że powrotu żadnego nigdzie dla niej nie ma, i że, jak świat szeroki i długi, sama jest, sama jedna, z myślą tylko o tym człowieku, który nie raz i nie sto razy mówił, że kocha ją nad wszystko na świecie, nie raz, nie dziesięć razy ręce, oczy, usta, nawet nogi jej całował, i wreszcie pisał do niej: „w jednej koszuli cię wezmę i za szczęśliwego się poczytam, że odemnie jednego wszystko będziesz miała“. Ale niemożliwość wszelkiego powrotu nie przestraszała jej bynajmniej, ani też samotność nie zasmucała. Owszem, myśl, iż zrzuciła z siebie wszelkie łańcuchy, iż stanowczo odczepiła się od tego kołka, gawrona, ślimaka, smarkacza, który śmiał jeszcze o swoim nad nią panowaniu gadać, napelniała ją taką dumą, że aż prostowała się idąc i głowę wysoko podnosiła. Otóż postawiła na swoim! Otóż nie pójdzie za Cydzika, ale zostanie żoną tego, którego sama

sobie, z własnej woli, z własnego rozumu i serca wybrała. Cham! niech sobie będzie cham, ale dla niej jest najdroższym. Ziemi swojej nie ma! Niechaj nie ma! Głowę i ręce ma, a ona także nie jest bez głowy i bez rąk. Przekonała się już, że bez niego żyć nie może, że on dla niej miłszy i droższy nad pochodzenie, ambicję, ziemię, rodzinę; więc cały świat mógłby ją teraz potępiać, lub wyśmiewać, a ona tylko zaśmiałaby się, figę pokazałaby całemu światu i dalej szłaby do niego.

Szła i myślała: jakże to teraz pomiędzy nami będzie? A jakże ma być? Ot, po prostu, do Laskowa przyjdzie, jego we dworze wynajdzie, stanie przed nim i powie: „Jerzy! daruj ty mnie tę winę, którą przeciw tobie popełniłam, choćby dlatego, że wszystkich porzuciłam i wszystko za siebie cisnęłam, aby do ciebie przyjść. Tak cię kocham i tak żyć bez ciebie nie mogę“... To dopiero on się ucieszy! Chyba zadusi ją w uściśnieniach! Kiedy o tych uściśnieniach pomyślała, aż słabość w nogach uczuła i zmuszona usiąść pod najbliższem drzewem, ogniste spłonioną twarz zasłoniła dłońmi. I wstydziła się przed samą sobą swoich myśli i myślała, że... kiedy on znów tak, jak dawniej, ją pocałuje, z nią niewiadomo chyba co się zrobi! Trzeba iść! trzeba iść! trzeba iść!

Zerwała się z ziemi i po odpoczynku, acz krótkim, prędzej jeszcze, niż wprzód, szła.

A cóż później nastąpi? Cóż ma nastąpić? Wiadomo: żadnych trudności w załatwieniu wszystkiego nie spostrzega. Jerzy tymczasem odwiezie ją do swoich rodziców, dla których ona, choć to chłopci, uprzejmą i pokorną się okaże, w gospodarstwie nawet im pomagać i wszystko co każą robić będzie. Tam czas jej przejdzie do Wielkiej Nocy, a na wiosnę ślub z sobą wezmą i Jerzy do siebie ją zabierze. Ot i wszystko. Dwadzieścia trzy lata ma i wie bardzo dobrze, iż w tym wieku nikt nie może jej zabronić wyjść za kogo tylko zechce; papiery do ślubu potrzebne wzięła z sobą, żadnych tedy przeszkód połą-

czenie się ich spotkać nie może. A po ślubie — to już nikt żadnej szkody i żadnego ubliżenia nie będzie mógł jej wyrządzić, bo po pierwsze: z Jerzym będzie połączoną, o co dba najwięcej; a po drugie: na tę terazniejszą ucieczkę jej do niego, welon ślubny opadnie i zetrze z niej wszelką hańbę. Bo i wcale hańby w tem nie ma, że poszła do tego, z którym wzajemnie, nie raz i nie dziesięć razy, dozgonne kochanie sobie przyrzekali, który, zobaczywszy ją, jakby po raz drugi na świat się narodzi i za to, że okazała się taką śmiałą i wierną, przez całe życie na rękę nosić ją będzie!

Pomimo pogody i rubinowej jutrzienki w zaraniu, dzień zrobił się pochmurnym, ciemnowym, bez słońca, które jakby nawet wcale nie wschodziło, tak odrazu zasłoniły je ciemno-szare, białawemi plamami usiane obłoki. Salusia często na niebo spoglądała. Może śnieg będzie padał, bo i mrozu prawie nie ma i te białe obłoki zdają się być śniegiem nadziane. Ale jej o to bynajmniej nie chodzi! Jeżeli i spadnie śnieg, to cichy, bo wiatr czasem tylko zawiewa, łagodny, ledwie trochę szemrzący, a śnieżycą bez mrozu i wiatru, to głupstwo; niebezpieczeństwa nie ma w niej żadnego, ani wielkiej przykrości: owszem czasem to i miło patrzeć, jak te białe, przeczyste płatki z rzadka w powietrzu latają, wzajemnie, zda się, popychają się i gonią, lub też tak powietrze napełnią, że nie widać nieba ani ziemi, tylko ten niezmierny, migający gąszcz niby ptaków bielutkich, małych, lekkich, a zarazem takich jakoś w swojej wielkiej cichości poważnych i smętnych!

Tymczasem jednak nic nie padało i o południu Salusia szła jeszcze gościńcem trochę już zmęczona, niewiele, jednak tyle, że o potrzebie odpoczynku pomyślała. Na dnie jej charakteru istniejąca praktyczność, ta sama, która ją do przyjęcia dużego posagu i świetnej partyi była nakłoniła, przez którą w stanowczej chwili, nie zapomniała wyjąć ze skrzyni papierów do ślubu potrzebnych i gar-

stki drobnej monety, teraz także nasunęła jej uwagę, że jeżeli zmęczy się zbyt, może jej sił zabraknąć dla dojścia dziś jeszcze do zamierzonego celu. Zaszła więc do małej przydrożnej karczemki, wypila szklanekę mleka z razowym chlebem i na wąskiej ławce pod ścianą około godziny przesiedziała. Kilka razy nogi aż same przez się zrywały się jej do dalszego chodu, ale ona rozkazywała sobie siedzieć, dobrze odpocząć, aby później tem prędzej i pewniej zejść. Ludzi, których paru w karczemce siedziało, zapytała tylko: jak daleko jeszcze do miasteczka z cudami słynącym kościołem? — a dowiedziawszy się, że tylko wiorst ośm, aż w ręce z radości klasnęła. Piorunem już te ośm wiorst przeleci, w miasteczku odpocznie znowu, a tam już tylko dwie milki zostaną. Zaledwie ściemnieje, ona w Laskowie już będzie, a i to jest też pomyślnem, że przyjdzie tam o szarej godzinie. Za dnia trochę wstydu czułaby przed obcymi, którzyby pewnie przyglądali się jej z ciekawością; a po ciemku wszystkie koty szare, i zanim kto rozpozna, czy młodą jest, czy starą, ładną czy brzydką, o Jerzego dopyta się zobaczy go i o wszystko inne dbać przestanie.

Jednak w miasteczku odpoczywać nie potrzebowała. Za karczemką, z której wyszła, gościniec stał się ludniejszym niż był przedtem; bliskość większego nieco zbiorowiska ludzi czuć się tu dawała; na drodze dość często ukazywali się piosi wędrowcy i jednokonne sanki.

— A, żeby też mię ktokolwiek podwiózł do miasteczka! — pomyślała.

I o wiorstę od karczemki, zobaczywszy chłopą jadącego w pożądanym dla niej kierunku, zakrzyknęła na niego z brzegu drogi, aby ją na sanki swoje zabrał.

— Zapłacę gospodarzowi! Proszę was, gospodarzu, dowieźcie mię do miasteczka!

Chłop głową na znak przyzwolenia kiwnął, konia zatrzymał; ona, zadowolona, rada, jak ptak na saneczki zleciała i pojechała.

Wszystko dobrze idzie! Ot i jedzie sobie jak pani, odpoczywa, a gdy odpocznie doskonale, nogi wiatrem dalej ją poniosą. Zrobiło się jej wesoło, pocichu nucić sobie zaczęła i nuciąc, myślała o tem, jak to po raz pierwszy poznała się z Jerzym. Pożar w mieście powstał, obie z Anulką na to widowisko poleciały i stojąc w tłumie, przypatrywały się płomieniom i ludziom, którzy rozmaitemi sposobami gasić je usiłowali. Pomimo ścisłu i gorąca przysunęły się przez ciekawość, jak tylko można było najbliżej, i zobaczyły drabinę podnoszącą się od ziemi, aż prawie pod strych gorejącego domu, całą w dymie stojącą, językami ognia tu i ówdzie muskaną, a gdy oczy do góry wzniosła, u szczytu tej drabiny pokazał się człowiek, niosący w rękach skrzynkę niedużą, ale na której widok jacyś ludzie, na dole stojący, ręce wyciągać, krzyczeć, jęczeć zaczęli. Całe ich bogactwo w skrzynce tej zawierać się musiało; ten zaś, który ją z ognia wynosił, wydał się Salusi takim pięknym, silnym, śmiałym, że prawie więcej do wymalowanego na obrazie kościelnym archaniola, niżeli do człowieka, był podobnym. Ani rozumiała, co go w jej oczach takim pięknym i nadzwyczajnym uczyniło, ani siebie o to zapytywała, tylko cicho szeptała do siostry:

— Patrzaj, patrzaj... jaki śmiały... jaki śmiały... ot, śmiały!

Potem, stało się tak jakoś, że zlekła się ogromnie, aby drabina nie złamała się pod nim, aby go śmigające ze stron obu płomienie nie ogarnęły, aby nie stracił równowagi, i nie upadł; krzyknęła z przestachu i w górę podniosła ręce, jakby jemu na pomoc lub na ratunek. Wtedy on z pośrodku jeszcze drabiny spojrzał na nią i uśmiechnął się, poczem, na ziemię zstąpiwszy, oddał skrzynię płaczącym i jęczącym ludziom, którzy mu za nią ogromnie dziękowali, po rękach go całując, zbawicielem swoim nazywając. Ale on wyrwał się im prędko i z twarzą od dymu oczernioną, w odzieniu tu i ówdzie

przez ogień osmalonem, znowu spojrział na nią, a tuż przy niej Końca zobaczywszy, prędko do niego się zbliżył; pokazało się, że byli z Końcem dalekimi znajomymi, ale teraz, bardzo prędko stali się sobie blizkimi. Już nazajutrz Jerzy do Końców przyszedł i coraz częściej, coraz na dłużej przychodził... Jak ona mogła choć na moment zapomnieć o tem pierwszym zobaczeniu i poznaniu jego, kiedy-to jak archanioł w płomieniach i dymie zjawił się przed jej oczyma, taki śmiały, zgrabny, piękny, nade wszystko śmiały! Teraz znowu widzi go takim przed oczyma, jak żywego, i dziękuje Bogu, że także śmiałości jej nie poskapił, przez którą po chwilowem ubłędzeniu zdołała na drogę do niego wiodącą powrócić.

— Gospodarzu — ozwała się nagle — nie znacie czasem nadleśnego z Laskowa, Jerzego Chutki?

Chłop nie znał nadleśnego z Laskowa, ale słyszał, że tam teraz jest jakiś nowy, młody, który w niedługim czasie ożenić się ma podobno.

— Ehe! — pomyślała Salusia — miał on ten zamiar, potem już nie miał, a teraz znów mieć będzie!

I zaśmiała się z cicha.

— Ot, siurpryzę mu zrobię!

Poprosiła chłopca, aby i przez miasteczko ją przewiózł, bo miała tu znajomych, i lękała się ich napotkać. Mijając kościół cudami słynący, przeżegnała się i zaszepotała znowu:

— Boże mój, Boże, daj abym go zdrowym znalazła, i aby mi wszystko dobrze poszło!

Za miasteczkiem z sanek zeskoczyła, gospodarzowi pięknie podziękowała, zapłaciła i rozpytała się go o drogę do Laskowa, którą on, jakkolwiek oddawna już w Laskowie nie był, znał bardzo dobrze.

Nie trudna do zapamiętania droga. Naprzód przed siebie iść; potem przy trzech krzyżach na prawo wziąć się i już jak strzelił, prosto ku wielkiemu lasowi, a przez las też prosto jak strzelił, szeroką, ujeżdżoną drogą, aż

do końca lasu, z kąd dwór, mniej już, niżli o wiorstę, jak na dłoni da się widzieć.

Poszła i w prędcie zajęło ją i trochę zabawiło stado kawek, które, z ogromnym łopotem skrzydeł, tuż przy drodze, na pole zleciały. Wszystkie stworzenia lubiła bardzo, ptaki więcej jeszcze, niż inne, to też i tym, idąc nieco wolniej, przypatrywała się z zajęciem, jak pocieszenie i ładnie wyglądały, rozsypane na śniegu, czarne jak smoła, z popielatemi na szyjach obrózkami. Nie zazdrościła już im skrzydeł. Po co jej skrzydła, skoro ma silne i wypoczęte nogi, które wprędce już zaniosą ją tam, gdzie znaleźć się pragnie!

Przy trzech krzyżach jednak silnie i smutnie uderzyło ją wrażenie, zupełnie nowego dla niej widnokregu. Natura stawiała się coraz więcej niepodobną do tej, wśród której urodziła się i wzrosła. Dziecię stron bezleśnych, małemi, ale częstemi wzgórzami sfalowanych, znała dotąd małe tylko brzeźniaki i olszynki, po mokrych łąkach rozsiane, albo rzadkie sosnowe zarośla, obrastające piaszczyste wzgórza. Teraz gładka jak stół płaszczyzna, pośród której się znalazła, nadewszystko zaś pas lasu, który ciemną, z obu końców niedoścignioną dla oka ścianą, niedaleko już przed nią stanął, wionęły na nią smutkiem. Wszystko tu insze! — pomyślała, — wszystko inaczej! — i uczuła tę samą żalność, która ją była zmusiła do powrócenia od wrót podwórka ku rodzinnemu progowi i do złożenia na nim pocałunku. Obróciła się też twarzą w stronę, z której przybywała. Tam, w tamtej stronie, tak daleko, że ani zajrzeć, ani dosłyszeć niepodobna, na bezleśnym rozłogu stoi szereg domostw, pośród których jedno jak na dłoni widzi, z sadem, podwórkiem, nową żółtą stodołą, z płotkiem, za którym szarzeje chatka Gabrysia, z oborą, w której między sporem stadkiem stoi sześć owieczek z czerwonymi tasiemkami na szarych, czarnych, brunatnych runach. Sama nie wiedziała jak i kiedy pokłoniła się, a w myśli, zakręciły się jej słowa: bądźcie zdrowe,

moje owieczki! Wnętrze tego domostwa widzi także: przed dziadową, rozłożystą kanapą, wzorzystym kilimkiem obitą, komodę jasionową, kołowrotek przed piecem, z prześlicznym lnem u osady, wyprawną skrzynię zieloną, żelazem w kilkoro przepasaną, z wiekiem od wnętrza oklejonym świętymi obrazkami. Pokłoniła się znowu: bądźcie zdrowe, kanapo, skrzynio, a nadewszystko, kołowrotku kochany, na którym od dzieciństwa przedłłam! Na kanapie rozparty siedzi Konstanty, i gwiżdże: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! Jednakowoż dobre on miał dla niej chęci, posag jej dawał prawie nad możność wielki, o najlepsze swaty wystarał się dla niej, wspominał często, że mu ją umierające rodzice przyporuczyli... Pokłoniła się: bądź zdrów Konstanty! Pancewiczowa jak wichur w kuchni szumi i kłóci się z Zaniewską. Kończowa, rozповіда bratu różne miejskie wydarzenia i anegdotki! One też dla niej nieraz życzliwemi były, do niedoszedłego jej wesela starań dokładały, podarunkami ją osypywały. Bądźcie zdrowe, siostry rodzone!

Naprzeciw niej, ku lasowi się kierując, nadbiegały, rozłożyste parokonne sanki, uprężą brzęczące i hałaśliwe od głośnej rozmowy kilku ciasno obsiadujących je osób. Kiedy mimo niej przelatywały, zasłyszała parę razy powtórzony w rozmowie wyraz: pan młody! a zpod zsuwającej się chustki błysnął na głowie kobiecej wielki, czerwony kwiat.

— Na jakieś wesele jadą! — pomyślała.

Ale co ją mogło obchodzić, dokąd jacyś nieznajomi ludzie jadą? Może cały kwadrans strawiła na rozmyślaniu, stojąc obrócona, nie w tę stronę, w którą powinna była iść. Zimnemi rękoma mokre oczy otarła i, ku lasowi obróciwszy się, znowu szła — szła i myślała:

— Dla ciebie, Jerzy, wyrzekłam się wszystkiego swego i wszystkich swoich! Dla ciebie sierotą bez rodziny i chaty zostałam! Dla ciebie wszystko za siebie cisnęłam i rozłączyłam się, może na wieki, z tem, do czego oczy

przyzwyczajone były a serce przylgnęło! Ale ty mnie to wszystko zastąpisz, wynagrodzisz, zapłacisz, mój ty najdroższy, mój śliczny, mój złotny!

Idąc wciąż dalej i dalej, długo przypominała sobie moment, w którym on po raz pierwszy powiedział jej, że kocha ją nad życie, że ilekroć z nią nie jest, widoku jej jak kania deszczu pożąda, że wtedy jedynem jego szczęściem będzie, jeżeli ona zgodzi się połączyć się z nim na zawsze, jego najdroższą i wieczną żoną i towarzyszką zostać. Przypominała sobie, jak wyglądał wtedy, gdy to mówił, jakimi oczami na nią patrzył, jak ją w ręce całował, co ona jemu odpowiedziała, a on z jej odpowiedzi cieszył się jak waryat, mówić prawie nie mógł, i tylko — choć bronila się trochę — objął ją i pierwszy raz, ale nie raz, pocałował. Tak zagłębiła się w tych przypomnieniach, że zapomniała prawie, gdzie się znajduje, świata dokoła siebie nie widziała i jakby ze snu obudziła się, usłyszawszy za sobą szelest posuwających się sań i głuchy tentent kopyt końskich po śniegu. Znowu przeleciały mimo niej parokonne sanie, ale tym razem, nie towarzystwo żadne, tylko pięciu, czy sześciu muzykantów wiozące. Poznała to po grubym dziobem sterczącej pośrodku basetli i innych instrumentach, które w długich futerałach stały lub leżały pomiędzy tymi ludźmi i na ich kolanach.

— Muzyka dokądciś jedzie! — pomyślała, lecz tylko przelotnie, bo spostrzegła zarazem, że znajduje się już w lesie, i przejął ją smutek niewypowiedziany. Tak posępnie tu było; te sosny ciemnozielone takim żalobnym szlakiem rozdzielały białą ziemię z szarem niebem, tak wysoką i smutnie szumiącą gęstwiną rozpościerały się na prawo i na lewo, zda się dwie ściany nieprzeniknione, świat boży zakrywające i tym swoim szumem nieustannym, śpiewnym, jakby płaczące i narzekające, jakby z ciężkiem wzdychaniem prorokujące nieszczęście. Ale ona nie spodziewała się nieszczęścia: owszem, ku swemu szczęściu, ku swojej ra-

dości biegła; mogą sobie te posępne ściany wzdychać, lamentować, złe proroctwa chmurnemu niebu szeptać: jej nie nastraszą! Ona, teraz zwłaszcza, gdy wszystką przeszłość przypomniła, wierzy w kochanie Jerzego, jak w Ewangelie, i w to, że mniej niż za godzinę, nie będzie na świecie szczęśliwszych ludzi nad ich dwoje. Żeby tylko jemu, gdy ją ujrzy, nie zrobiło się co złego z radości! Słyszała o tem, że wielka i niespodziewana radość, równie jak nagła boleść, człowieka o chorobę przyprowadzić może, więc parę razy pomyślała: żeby tylko jemu, gdy ją ujrzy, broń Boże, nie zrobiło się co złego z radości!

Wczesny zmrok zimowy zapadać począł; leśna droga szeroka, ujeżdżona, ciemniała jednak, a stojące po obu stronach ściany z ciemno-zielonych drzew stawały się czarnymi. Duży ptak jakiś załopotał głośno skrzydłami, żałośnie zajęczał i jakby coś ciężkiego w gęstwinę spadło, taki rozległ się tam suchy stuk i trzask. — Salusię trwoga zdjęła; pierwszy raz w tej kilkomilowej podróży zlekła się i uczuła przyspieszone od trwogi uderzenia serca. Ale bo, też nigdy jeszcze dotąd w tak wielkim lesie nie była. Dzikie zwierzęta i nawet rozbójnicy na myśl jej przyszli. Żeby to już prędzej wyjść z tego lasu! Ach, dzięki Bogu, znowu ktoś jedzie! Rażniejszą i odważniejszą się uczuła, usłyszawszy za sobą dość dalekie jeszcze pobrzęki uprzęży i tentent kopyt końskich. Dość dalekie zrazu, szybko przecież nadjeżdżały i prawie pędem ją ominęły sanki, tym razem w jednego, ale rosłego konia zaprzęzone, elegancko wyglądające i na których, oprócz woźnicy, dwóch panów siedziało. Nie było jeszcze tak ciemno, aby nie mogła po szubach rozpoznać, że byli to panowie, i dostrzedz na ich rękach białych rękawiczek, a z za szub rozwierających się u szyi białych krawatów. — Spóźnili się widać i śpieszyli bardzo, bo na woźnicę wołali: „popędzaj!” a on pięknego, rosłego konia w galop prawie puszczał.

— Najpewniej gdzieściś wesele się odbywa, — myślała Salusia. — Dziś też i jej wesele odbywać się miało. O tej

porze byłyby już dawno po ślubie, po obiedzie, ściany domu aż skakałyby od tańców i muzyki. A teraz! Boże, jak straszno musi być w tym domu! Jakie gniewy i przekleństwa miotają tam na nią! Jak Konstanty ponuro patrzy i nawet już nie gwizdże! Jak siostry płaczą, zwłaszcza Anulka! Żal zdejmował ją znowu, tem większy, że ciemne, wysokie ściany lasu ciągle szumiały, wzdychały, lamentowały, jakby nad nią, jakby nad dolą jej dziwną, rozdartą, jakby nad chatą jej rodzinną, teraz ponurą, gniewem i złorzeczeniami od dołu po strych napełnioną. Śpieszyła też, śpieszyła, wszystkie pozostające jeszcze siły wytężyła, aby z lasu wyjść co rychlej, aż ukazał się jej koniec najpierw jednej jego ściany, potem drugiej i jakby na świat narodziła się, jakby jej z serca bolący ciężar spadł, gdy zobaczyła наконец odkryte niebo, pole i pośród pola, w ciemnym wianku lasu stojący, topolami, niby wieżami, aż pod chmury strzelający dwór.

Na polu jaśniej było, niż w lesie; jednak i tutaj panowała już szara godzina, a we dworze pod topolami tyle świeciło się ruchomych i nieruchomych świateł, jakby tam jakąś iluminację urządzono. Z daleka już zobaczyła długi, niski dom, którego wszystkie okna w rzęsimem świetle stały. Mniejsze światełka, pewno od pozapalanych latarek pochodzące, kręciły się, jakby w powietrzu, w pewnem od domu oddaleniu. — Co tam się dzieje takiego? Zgromadzenie jakieś, zabawa? At, nic dziwnego, wszakże to dzisiaj niedziela zapustna, a posesor córki dorosłe ma. Po raz pierwszy od dawna przypomniła sobie te córki posesora, o których mówił jej niegdyś człowiek z tych okolic do miasta przybyły, i uczuła niepokój, niewyraźną lecz dolegliwą przykrość około serca. Zaraz przecież pocieszyła się myślą: to i dobrze, żem w czas zabawy i zgromadzenia trafiła! Nikt wielkiej uwagi na moje przyjście i na widzenie się nasze z Jerzym nie zwróci. Poproszę kogo, aby go zawołał: zobaczymy się, pogadamy i choćby

tej nocy jeszcze on konia założy i do swoich rodziców mnie odwiezie!

Gdy tylko w bramę weszła, wyskoczyły naprzeciw niej ze szczekaniem dwa psy podwórzowe, ale może dlatego, że się ich nie lękała i śmiało szła naprzód, prędko odstały i ku domowi napowrót pobiegły. Ona stanęła na chwilę i rozejrzała się dokoła. W głębi obszernego dziedzińca dom na tle nagich drzew ogrodowych, z niskimi i oświetlonymi oknami, pod którymi ciżba ludzka stoi, przypatrując się zapewne temu, co dzieje się w jego wnętrzu. Na prawo budynki gospodarskie i oficyna; na lewo wielkie półkole topoli włoskich, do samych sztachet ogrodu dobiegające. Wrota jednego z budynków, zapewne stajni, rozwarłe; latarki tam migocą, konie rżą, ludzie rozmawiają. Pod topolami cisza, jak zresztą i na całym dziedzińcu, który pustką stoi i białością śniegu w zmroku świeci. Życie, wyraźnie świąteczne i wezbrane, skupiło się tu na dwóch punktach: w domu i około stajni.

Salusia zwolna szła cichą stroną dziedzińca, pod topolami. Chciała zrazu pod stajnię podejść i zapytać uwiijających się tam ludzi, pewno furmanów: gdzie mieszka pan nadleśny i jakim sposobem zobaczyć się z nim może? Ale wstyd ją zdjął i trochę obawa przed nieznanymi i prostymi ludźmi. Jeszczeby jej grubijaństwo jakie powiedziałeli lub nawet i wyrządzili. Oficyna świeciła dwoma oknami, ale Salusia zmiarkowała prędko, że piekarnia tam być musi, bo światło pochodziło od ognia palącego się w piecu, inne zaś okna oficyny były ciemne. Z listów Jerzego wiedziała, że mieszka w oficynie: zapewne też te ciemne okna, do jego mieszkania należały, on zaś sam znajduje się w dużym domu, na zabawie. Bo i dla czegoż znajdować-by się tam nie miał? Zaproszono go, poszedł. Znowu niepokój i dolegliwą przykrość około serca uczuła; wolałaby aby w mieszkaniu Jerzego jedno okienko było oświetlone i aby on za niem siedział samotny, do niej tęskniący. Za rzadko rosnącymi topolami zobaczyła duży, okrągły

dół, śniegiem osypany, lecz tu i owdzie jakby czarnymi dziurami poplamiony. — To ten staw, o którym pisał Jerzy, gdy pozycyę Laskowa jej opisywał, a te czarne dziury, to przereble, w których dziś, najdalej wczoraj, ryby łowiono, skoro ich jeszcze śnieg nie przysypał. Widywała w swoich stronach stawy, na których lody dla łowienia ryb przerąbywano, to też i ten z łatwością rozpoznała.

Znajdowała się już prawie za plecami ludzi, przez oświetlone okna we wnętrze domu spoglądających. — Byli to, jak z ubrań poznać mogła, służący wszelkich stopni: niżsi oficyaliści, parobcy, żony i ich dzieci, dziewczki piekarniane. Może też i z pobliskiej wsi jakiej trochę ludzi zwabionych ciekawością przyszło, bo tłum był duży, a skupiał się cały przed trzema oknami, z za których też dochodził gwar wielu głosów, z dzwonieniem naczyń stołowych zmieszany.

— Co tu zrobić, aby dowiedzieć się, gdzie on jest i jakimkolwiek sposobem z nim się zobaczyć? — myślała Salusia i po krótkim namysle weisnęła się pomiędzy siermięgi, kozuchy, duże chusty i z niejaką trudnością do samego okna dotarła. — Przedzierając się przez tłumy myślała, że może Jerzego za tem oknem zobaczy i kogokolwiek ze stojących tu ludzi o przywołanie go poprosi.

Za trzema oświetlonymi oknami widać było scenę pełną życia, ruchu, barw i hałasu. Pośrodku największej w całym domu izby, niskiej, z belkowanym sufitem i ścianami, białym tynkiem okrytymi, stał długi stół, lampami oświetlony, śnieżnym obrusem, i mnóstwem różnych naczyń okryty, a otoczony przez trzydziestu może siedzących dokoła niego ludzi: kobiet i mężczyzn, starych i młodych, najrozmaiciej poubieranych. Z ubrań, z ruchów, z cery twarzy rozpoznać można było panów, chłopów i ludzi stanu pośredniego. Pierwszych było najmniej dwóch zaledwie, pewno majątnych obywateli z sąsiedztwa; drugich już więcej, bo para starych ludzi, i kilku młodych mężczyzn; trzecich najwięcej: widocznie, wyżsi ofi-

cyaliści z sąsiednich dworów, folwarków. Na głowach kobiet i dziewcząt paliły się kolorowe kwiaty i wstążki. Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem chłopów, przyodziaanych w krótkie siermiężki, mieli na szyjach białe krawaty, u wszystkich też, siermiężnych nie wyłączając, tkwiły u boków zielone gałązki mirtu, białemi wstążeczkami pozwiązywane. Po tych mirtach poznać już można było weselne gody, ale oznakę ich najpewniejszą przedstawiała młoda, różowa blondynka, cała w bieli z mirtowym wiankiem na przezroczystym woalu, który głowę jej, i prawie całą kibić, jakby mgłą białą, osłaniał. Siedziała u końca długiego stołu, obok młodego też, ładnego mężczyzny z jasnymi włosami i delikatnie zarysowaną twarzą.

Za oknem, w ciżbie stojąca dziewczyna w znoszonym paltocie i chustce na głowie, twarz przyklejała do szyby i czarne płonące oczy wlepiała w młodą parę u końca stołu siedzącą.

— Co to? co to? co to? — myślała; panna młoda... wesele... czego on przy niej siedzi? Może starszym družbantem jest, a w tych stronach, taki zwyczaj, że przy pannie młodej starszy družbant na godach weselnych siedzi? Dziwny zwyczaj! dziwny zwyczaj!

Zwróciła się ku najbliższej stojącej kobiecie i głosem, którego sama-by nie poznała, który jakby nie do niej należał, przemówiła:

— Moja pani, czyje to wesele?

Zapytanej widok osoby nieznanym jej wcale nie zadziwił. Przy podobnych okazjach tyle płacze się zawsze nieznanym ludzi! Dworską być musiała i odpowiedziała grzecznie:

— Córkę posesora, pana Kuleszy.

— A za kogoż ona wychodzi? — zapytała znowu dziewczyna z czarnemi, palającemi oczyma, które dworskiej kobiecie wydały się nieprzytomnemi, co jednak nie przeszkodziło jej uprzejmie jeszcze odpowiedzieć:

— Za tutejszego nadleśnego, Jerzego Chutkę!

Dziewczyna z czarnemi oczyma z całej siły obu rękami schwyła się za ramę okna. Nogi ugiwały się pod nią, ale po głowie, jak opętany, kręcił się i hasał jeden tylko wyraz:

— Nieprawda! nieprawda! nieprawda! nieprawda!

I patrzała znowu, szeroko otwartemi, palającemi, nieprzytomnemi oczyma. Patrzała na starego chłopca z ciemną twarzą, z wielkimi wąsami, w grubym brunatnym surducie, po drugiej stronie panny młodej siedzącego.

— To pewno jego ociec! — myślała.

Patrzała na chłopkę, wyczesaną, przystrojoną, ale zawsze prostą chłopkę, o twarzy bardzo pomarszczonej i ciemnej.

— To pewno jego matka!

Ci młodzi chłopcy w siermiężkach, to pewno jego bracia; tamci w mundurkach z błyszczącemi guzikami, może jej bracia, bo nawet jeden — bardzo do niej podobny; a ten pan tłusty, rumiany, który dokola stołu chodzi i wino w kieliszki nalewa, to jej ociec.

Nagle obróciła się znowu do obok stojącej kobiety.

— Już po ślubie? — zapytała.

— A ma się rozumieć! kiedy obiad jedzą, to już widać, że po ślubie. Godzin ze cztery może, jak powrócili od...

Nie dokończyła, zaśmiała się i wszyscy pod oknem stojący śmiać się zaczęli; bo w izbie, ktoś u końca stołu grubym głosem krzyknął:

— Kwaśne wino!

Na ten okrzyk, jakby na dane hasło, wszyscy mężczyźni, nawet i niektóre kobiety, z miejsc powstawali i wołać zaczęli: kwaśne wino! kwaśne wino! kwaśne wino! Wołając tak, zaczerwienione i rozochoczone twarze jedni ku drugim obracali, kieliszki wysoko podnosili, filuternie oczyma mrugali. Dwaj panowie nawet śmieli się i gestami sąsiadów-ekonomów do głośniejszego wołania, zachęcali,

zaś trzej chłopcy w ubraniach z błyszczącymi guzikami wołali najnatarczywiej; kobiety w jaskrawych kwiatach chichotały tak, że aż przeginały się na poręczach krzeseł; dziewczęta we wstążkach pomiędzy sobą i z panną młodą na migi o czemś wstydliwem i razem zabawnem rozmawiały.

W tej zawierusze barw, póż, ruchów, głosów, we mgle woalu i w ogniu rumieńców, panna młoda poczęła bardzo szybko, w różne strony głową obracać i oczyma rzucać, to w dół, to w górę, to w prawo, to w lewo, zupełnie jak przelekniona ptaszyna. Pan młody, przeciwnie, siedział spokojny i zamyślony, jak człowiek, przez którego życie i duszę niedawno ciężka chmura przepłynęła i który śmiać się tak łatwo, świeżo, swobodnie, jak śmiał się dawniej, jeszcze nie może, albo i nigdy już nie będzie. Jednak, choć bez wielkiej wesołości, przyjaźnie i z uśmiechem na pannę młodą spoglądał; im więcej ona głową kręciła i szafirowemi oczyma na wszystkie strony rzucała, tem bliżej przechylał się ku niej, aż gdy weselni goście, nietylko okrzyku swego wydawać nie przestawali, lecz coraz głośniejsze, z coraz większemi śmiechami i żartami wołali: „kwaśne wino! kwaśne wino! kwaśne wino!“, on żywym ruchem wpół ją objął, ku sobie przyciągnął i w same usta pocałował. Wtedy ona, niezmiernie już zawstydzona, w mgnieniu oka wyrwała się mu z objęć i do ojca jego przypadła, i ręce na szyję starcowi zarzucała, twarz kryjąc u grubego jego surduta. Staremu chłopu powieki prędko latać zaczęły, objął ją tak, że ciemna jego ręka, jak wielka brunatna plama odbiła się na śnieżnej bieli jej stroju i szorstkim wąsem zjeżzone usta tak długo do głowy jej przyciskał, że aż woal w tem miejscu zapadł i najkrzywiej w świecie przekreślił się na nim wianuszek mirtowy. A Jerzy, rękę o poręcz krzesła opierając, stał wysmukły, zgrabny w swoim czarnem ubraniu, z gałązką mirtową u boku i na uścisk starego ojca z młodzintką żoną patrzył, ze spokojnym wprawdzie, lecz takim



uśmiechem, iż łatwo odgadnąć było można, że czuł się szczęśliwym.

Nikt ze stojących za oknami nie zauważył jak Salusia odeszła, nikt nie widział, jak przesunęła się pod półkolem topoli, minęła je, nad samym brzegiem stawu usiadła i głowę wzięła w obie ręce.

Jak kamień, mający kształt ciężko zadumanej kobiety, siedziała i ciągle, ciągle, bezustannie myślała.

— Jerzy! Jerzy! Jerzy! mój Jerzy!

Czuła, że utraciła go na zawsze, lecz jasnej świadomości o tem nie było jeszcze w jej głowie, ani o niczem; tylko z chaosu, z pustki, z ogromnej bólesci, występowało w niej jasne i palące jedno to imię:

— Jerzy! Jerzy! Jerzy!

I jeszcze rzecz jedna: obraz jego, jasny, wypukły, w najdrobniejszych szczegółach widzialny, w tej chwili, gdy stał u stołu, na uścisk starego ojca z młodzieńką żoną patrzył z uśmiechem poważnego szczęścia...

Wtem od strony domu coś śpiewnego, skocznego, hucznego zadźwięczało, w powietrzu się rozległo, nad zamazły staw przyleciało i kobietę u brzegu stawu siedzącą, niby szatankami w ciemnościach skaczącemi, otoczyło tonami wygrywanej przez kilka instrumentów polki.

Porwała się na nogi, wstała i krzyknęła:

— Jezus Marya! Jego wesele! Jezus Marya! Jezus Marya! Jego wesele!

Krzyknąwszy tak, padła twarzą ku ziemi i śnieg w usta nabierać zaczęła, dla zatamowania krzyków, które ostatkiem przytomności powstrzymywane, szemrały w niej jak warczący wrzątek. Wtem uczuła wilgotne dotknięcie na splecionych i nad głową zarzuconych rękach. Podniosła się nieco i zobaczyła jednego z psów podwórzowych, który, obwąchując ją, wilgotnym pyskiem rąk jej dotknął. Drugi pies w pobliżu biegał, coś około stawu ze spuszczo- nym pyskiem wietrząc. Na zwierzęta te, jedyne żywe

istoty, które się w bliskości jej znajdowały, patrząc, zaszeptala:

— Co ja teraz pocznę? co ja teraz pocznę? gdzie ja teraz pójdę? Co ja teraz pocznę? gdzie ja teraz podzieję się? co ja teraz pocznę?

Ogromnym przestraczem zdjeta, wstała i naokoło siebie po ciemnościach wodziła wzrokiem. Teraz dopiero uczuła niewysłowioną, bezgraniczną pustkę i samotność, która rozlegała się dokoła niej, od krańca do krańca wielkiego świata.

Nikogo już swego na całym świecie! Sama jedna, sama jedna, w ciemnościach świata i własnych! Ani tu pozostać, ani gdziekolwiek pójść. Ztąd iść trzeba, ale niema dokąd. I sił już nie ma, do niczego, do niczego! Ze szczęściem w sercu, pewnie-by po przebytej drodze skakała jeszcze, ale teraz i ustać na nogach trudno. Żeby mróz był wielki, położyłaby się tu, na brzegu stawu, aby zamarznąć. Żeby wielka śnieżycą padała, położyłaby się także, aby ją śnieg zasypał. Ale mrozu prawie niema i nie nie pada. Teraz ciemno, to dobrze; ale kiedyś przecie rozwidnieje, a wtedy co? Pójść sobie? a dokąd? I już iść nie zdoła! Nogi ma jak podcięte: drżą i uginają się ku ziemi. Jeżeli nie pójdzie, zobaczą ją, znajdą tu, dowiedzą się wszyscy, że ona leciała do niego, leciała do niego, jak waryatka, jak ulicznica ostatnia, leciała i przyleciała, na jego wesele z drugą! Jak ta muzyka gra! jak ta muzyka gra! On tam tańczy! on tam tańczy! on tańczy! a ona tu, tak blisko, w ciemności umiera z boleści i strachu. Jaki ten świat! jaki ten świat okropny! Po co ona urodziła się? Żeby choć ta muzyka grać przestała! Ale muzyka gra, gra, gra, z za tych oświetlonych okien wylatuje, rojem ją naokoło oblazi, kąsa, rwie, kole, do waryacyi przyprowadza...

— Boże mój, ja zwaryuję! — krzyknęła, chwytając się za głowę, i w tejże chwili wzrokiem spotkała jedną

z dziur czarnych, plamiących powierzchnię stawu w zmroku białawą.

— Przełomka! przełomka! przełomka! Ryby tu łowiono. Na wesele ryby łowiono! Teraz do niej jedna ryba wpadnie... wpadnie i zniknie, i nikt nie dowie się nigdy, że tu była i nikt nie dowie się gdzie się podziała.

Stała z rękoma przy głowie i na czarną plamę pośród białawej powierzchni stawu patrzyła i do siebie mówiła:

— Wiem już gdzie pójdę! wiem już gdzie ucieknę, wiem już gdzie schowam się na wieczne czasy! Tańcz, Jerzy, i bądź sobie kontent, bądź zdrow, bądź zdrow, tańcz wesoło... Ja sobie pójdę... ja pójdę... pójdę i nigdy nie powrócę... nigdzie nie powrócę... na wieki sobie pójdę...

I szła. Szła brzegiem stawu ku miejscu, z którego najbliżej było po łodzie do przełomki.

Ale przed parą już minutami dał się słyszeć u bramy cichy szelest małych sanek, które w mizernego konika zaprzężone, podjechały nieco pod topole i stanęły. Wysoki człowiek w kożuchu wysiadł z nich, lejce koło topoli okręcił i szedł powoli, pilnie rozglądając się dokoła, a gdy na staw za topolami spojrział, nagle przystanął, wpatrzył się badawczo i potem jak strzała pobiegł w stronę błądzącego nad nim kobiecego cienia.

— Salusia! — głośnym szeptem zawołał i już był przy niej, za ręce ją pochwycił, a nim czas miała słowo rzec, lub ruchu jakiego dokonać, wpatrując się w nią, zaszeptał:

— Już tam po wszystkim! już tam po wszystkim! — i głową na dom oświetlony wskazał.

— Gabryś! Gabryś! Gabryś! — sennym, wpół nieprzytomnym głosem wymówiła. A on, nie tak powoli, jak mówił zwykle, ale owszem, w sposób przyśpieszony, prawie zdyszany zaczął:

— Przystanąwszy w miasteczku, dowiedziałem się, że już po wszystkim; tam ślub brali. Jezus Marya! przełakłem się... a tu kobyła słaba, prędko iść nie chciała...

Prędzej-bym już piechotą doszedł, ale jakim sposobem ciebie-bym mógł zabrać, gdybym sanki i kobyłę gdzie zostawił...

Potem, ostrożnie, delikatnie na głowie jej dłoń kładąc, zaszeptał:

— Biedna ty... srogo ty już na ubocz zeszła... dla strasznie krętej ścieżki gościniec opuściła... Salka, Salka! coś ty zrobiła?

— To mnie puść! — ręce z rąk jego wyrwać usiłując, krzyknęła — co zrobiłam, to zrobiłam, moja rzecz! moja bieda! Jużbym była naprawiła wszystko, żebyś mię nie zatrzymał! Zkąd-eś ty się tu wziął? co cię tu przyniosło! Puść!

Ale on puszczać jej ani myślał. Niktby też spodziewać się nie mógł, aby palce jego takimi żelaznymi obęczami być mogły, jak te, któremi ręce Salusi obejmował.

— Topić się chciałaś... — mówił — koło stawu chodziłaś... najbliższej drogi szukałaś do przełomki... oj, Salka! Salka! Salka! A zkąd ja tu wziął się! Ich zwiodłem... w drugiej stronie cię szukali, potem okolicę przetrząsać zaczęli, a ja jeden wiedziałem, gdzie ty poleciała... Wiedziałem... zgadłem... i pomyślałem sobie: albo tam wszystko dobrze pójdzie, to uspokoję się i pocieszony do chaty powrócę, albo, broń Boże, zły przypadek jaki, ku pomocy stanę... A tu, ot jaki przypadek!

Salusia zakała; pierwsze, odkiedy tu przysła, lzy, rzadkie, palące z oczu jej popłynęły. Już rąk nie wyrwała, a on, nie wypuszczając ich z dłoni, mówił:

— I potrzebną okazała się moja pomoc... a ot, jaką ona będzie... Teraz, ty taka biedna, że już i ja odważę się radę tobie dać, już i moja rada dla ciebie dobra... Nie trza, aby żywa dusza dowiedziała się kiedykolwiek, że ty tu byłaś. Na sanki ze mną siedziesz i do młyna cię zawiozę, do mojej siostry. Ona nie zła kobieta i mnie wdzięczność winna, a ja jej i prosić nie będę, aby ciebie przystojnie przyjęła, ale każe i posłucha. Jej powiem, żem

cię z Tolłoczek przywiózł, a w Tolłoczkach znowu, że poleciałaś do mojej siostry i tam siedzisz... Posiedzisz troszkę u niej, tydzień, dwa, trzy... o półtorej mili i wiatr ci żadnych głosów z Tolłoczek nie przyniesie... uspokoisz się, odpoczniesz... a ja do Końcowej pojadę z prośbą, aby wybaczyła siostrze i wzięła ją do siebie... Wybaczysz pewno, weźmie, w mieście rozweselisz się, robotę sobie jaką wynajdziesz, dobry los może kiedykolwiek spotkasz... Tak ja sobie wszystko przez drogę od miasteczka wykombinowałem, i tak będzie! chodź! na sanki siadaj! pojedziem!

Pociągał ją za sobą, ale ona znowu opierała się i z całej siły wyrywać się mu zaczęła.

— Nie chcę! — wołała — nie chcę, nie chcę! nigdzie nie chcę! Tu pozostanę, gdzie on jest! Do przełomki wskoczę i tu pozostanę, gdzie on jest! Puść!

— Nie, Salka! nie puszczę!

— Puść! — wołała, a czując, że on ją, zmęczoną i osłabioną, zwycięży, prosić zaczęła:

— Gabryś, kochany, miły, drogi, złotny, puść! Już nie do przełomki skoczę, tylko tam... tam... pod okno... raz jeden na niego spojrzę... jeden razik jeszcze, ostatni... a potem z tobą pojadę... Puść!

Łkała i, aż ku ziemi przysiadając, opierała się mu i wyrywała.

Wtedy on, takim głosem jakiego nigdy nie miał, twardym i srogim, wymówił:

— Nie trzeba! Nie trzeba serca daremnie szarpać! Nie trzeba nasuwać się ludzkim oczom, które zdrajcami sekretu być mogą!

A gdy jeszcze wyrywała się, prosiła i prawie krzyczeń zaczęła, obu ramionami ją objął, jak dziecko z ziemi podniósł, tak do siebie przycisnął, że najmniejszego ruchu zrobić nie mogła i, ku saniom poniósł. Kiedy posadził już ją na saniach, króciutką chwilę stał o krawędź ich oparty, z głową spuszczoną, jakby mu sił albo

tehu zabrakło, i żadne światło niebieskie ani ziemskie nie oświecało wyrazu męki, która twarz mu okrywała. Rychło jednak lejce od drzewa odjął i obok niej siadł na sankach, które z tak cichym szelestem, że go nawet psy nie dosłyszały, wysunęły się za bramę.

Jechali leśną, szeroką, ciemną drogą, którą ona tylko co przedtem przebywała, posuwali się powoli, bez wstrząśnień po dobrze ujeżdżonym śniegu. Salusia, w skraj chustki, którą na głowie miała, twarz ukrywając, z cicha, głęboko, długo płakała, aż niezmierne zmęczenie płacz nawet w niej zatamowało: uciszyła się zupełnie. Cicho też było w lesie, tak ciemno, że droga, pomiędzy dwiema czarnymi ścianami, pod chmurnem niebem, białała jak rozciągnięta na dnie otchłani. Po wierzchołkach czarnych ścian szły przyciszone szумы, niby gwary szeptów i wzdychań, niby złe wieści, albo prorocтва, przesyłane od ziemi chmurnemu niebu.

Ujechali już wiorst kilka, gdy Salusia pochyliła się i jedną z trzymających lejce rąk Gabrysia pocałowała. On parę razy po głowie ją pogłaskał i łagodnie ku swemu ramieniu przechylił.

— Zaśnij! — rzekł — odpocznij!

Czy usnęła, czy też rozmyślała? — nie można było dostrzedz w ciemności, ale z głową na jego ramieniu opartą siedziała tak cicha, jak najgłębszy sen. — A on, nie tylko małego konika nie popędział, lecz owszem powolny chód jego wstrzymywał jeszcze, aby sanki posuwały się, o ile podobna, bez wstrząśnień i bez szelestu. — Wszystko jedno: przed świtem do młyna dojadą.

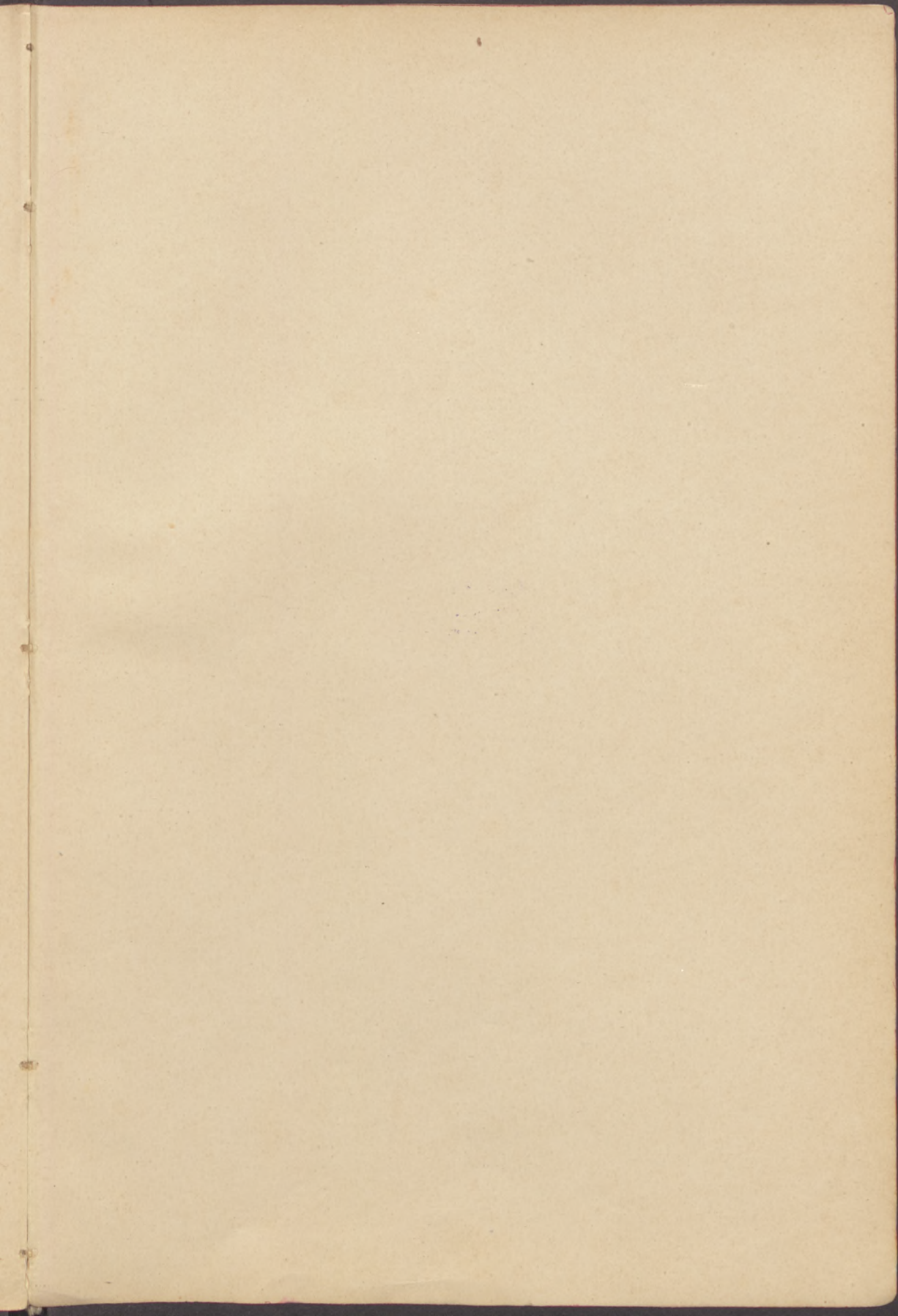
— Zaśnij, Salka! odpocznij!

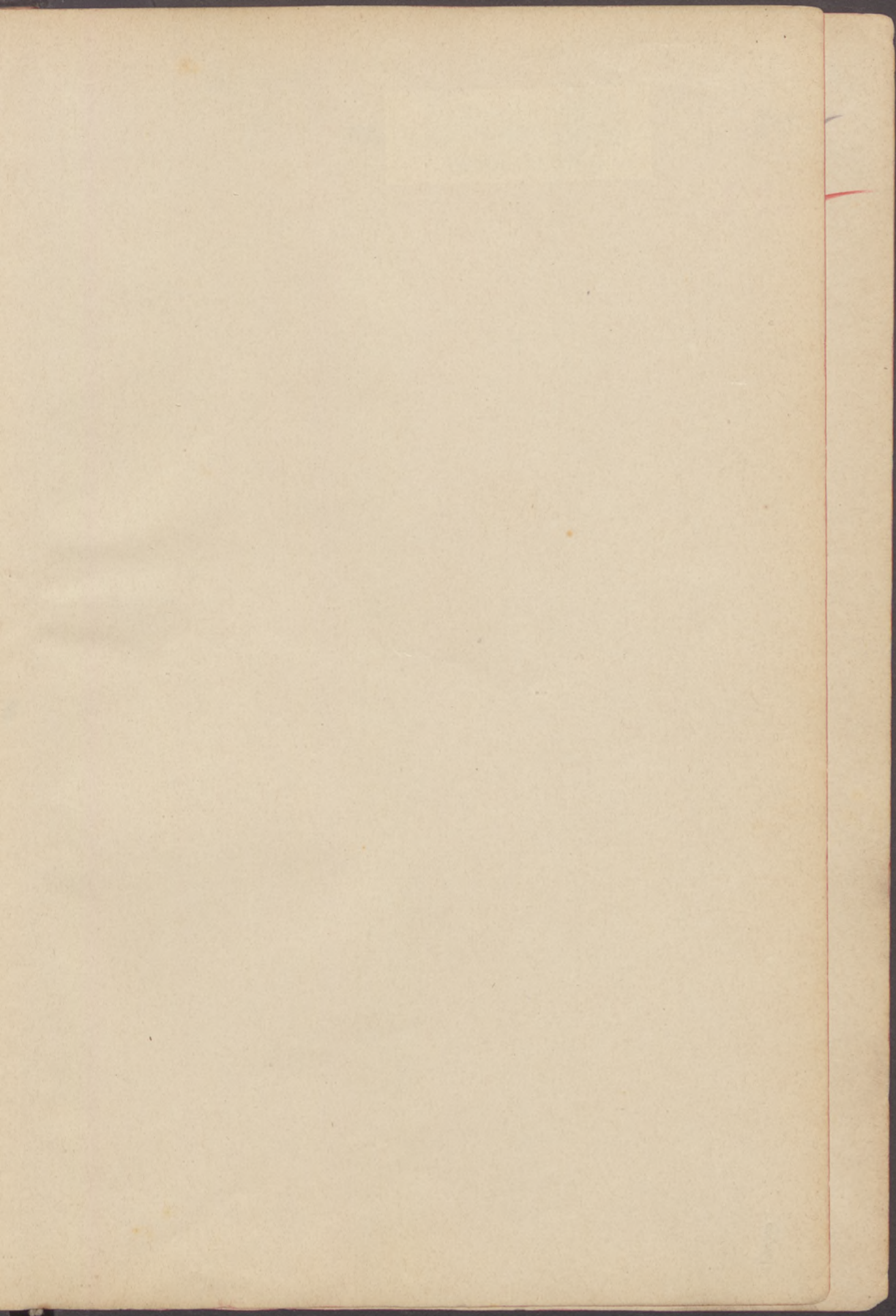
Nie był starym; miał nie wiele więcej nad lat czterdzieści, lecz oddałby całą resztę życia, choćby najdłuższego, za trzy dni z tą kobietą przeżyte pod jednym dachem, z ustami przy ustach, z duszą przy duszy. — Nigdy jednak tego jej nie powie. — Zbyt biednym jest, sponiewieranym, w biedzie i poniewierce przed czasem

zestarzałym, aby śmiało zażądać dla siebie jej pięknej, bujnej, kwitnącej młodości. Gdyby nawet oddała mu ją sama, nie przyjąłby tej ofiary. — Pomimo to, od hańby, rozpacz, samobójstwa, uwozi ją pod uczeiwy dach siostrzany, z takim szacunkiem, jak świętą, tak troskliwie, jak chore dziecko. A dla siebie, oprócz tego, aby ona teraz pocieszoną i kiedykolwiek jeszcze szczęśliwą być mogła, głupi Gabrys niczego więcej nie spodziewa się i nie wymaga — niczego!

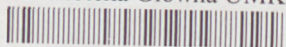
KONIEC.







Biblioteka Główna UMK



300022339605

005258

2

2/12/61

~~80~~

220

